

Graham Masterton

Muzyka z
zaświatów

ROZDZIAŁ 1

Spojrzała na mnie, schodząc za mężem po frontowych schodach. Miała w sobie coś bardzo niezwykłego, posłała mi jednak tak zniewalający uśmiech, że zapomniałem, co to było. Dopiero po prawie trzech miesiącach zrozumiałem, o co chodziło, ale wtedy moje życie zawaliło się jak licha dekoracja teatralna.

Była drobna i szczupła i miała równo przycięte popielate włosy. Tego dnia włożyła bluzkę z krótkim rękawem w najbledszym z możliwych odcieni żółci oraz szare spodnie z podwyższoną talią. Ale to jej szelmowski uśmiech i filuternie zmrużone oczy tak na mnie podziały — jakby dawała mi znać, że dzieli ze mną jakąś tajemnicę.

- Hej, Lalo, gdzie mam to postawić? — zawołała z kuchennego aneksu Margot.

- Co postawić? — zapytałem, nadal obserwując nieznaną blondynkę, która właśnie przechodziła przez ulicę.

- To coś, co wygląda jak gaśnica.

- To nie gaśnica, ale mój dozownik do ciasta.

Margot weszła do salonu, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

- Tak. Życ bez niego nie mogę. Dzięki niemu wychodzą mi idealnie okrągłe naleśniki. Co prawda są tak samo gumowate, ale przynajmniej okrągłe.

- Lalo, czasami naprawdę mnie zadziwiasz.

Było ciepłe popołudnie pierwszego dnia września. Siedziałem I z butelką zimnego michelob amber w oknie swojego mieszkania na drugim piętrze przy St Luke's Place, obok parku imienia Jamesa J. Walkera w Greenwich Village — zrobiłem sobie właśnie przerwę w ustawianiu regałów. St Luke's Place była ulicą kamienic w stylu włoskim, z fasadami z piaskowca, kolumnowymi portykami i gazowymi latarniami.

Wprowadziłem się tu przed trzema dniami i zaczynałem podejrzewać, że nigdy nie uda mi się urządzić, nawet z pomocą Margot. W korytarzu stały trzy skrzynie po herbacie, wypełnione książkami, partyturami, zdjęciami i emaliowanymi rondlami. Sypialnię zastawiono walizami wypchanymi ubraniami oraz kartonami z ręcznikami i kompaktami. Nigdy wcześniej nie sądziłem, że mam aż tyle gratów. Mój ojciec często mawiał: „Synu, nie można mieć wszystkiego, bo gdzie byś to postawił?”.

Margot otworzyła sobie piwo i dołączyła do mnie. Była małą brunetką w typie Betty Boop z wielkimi brązowymi oczami i odrzuconymi do tyłu włosami. Miała na sobie przyduże ogrodniczki, obcisłą koszulkę w różowe pasy i wściekle różowe chodaki Crocs. Czułem się jak jej starszy brat, choć to ona była starsza ode mnie przynajmniej o pół roku i — pod pewnymi względami — o niebo dojrzała.

Przyjaźniłem się z Margot od pierwszego spotkania na studiach w Brooklyn Academy of Music. Kiedy wpadliśmy na siebie przy tablicy ogłoszeń uczelnianych, poprosiłem ją, by pożyczyła mi ołówki, i od razu się polubiliśmy. Wiosną 2005 roku spędziliśmy razem kilka weekendów, podczas których omal nie zostaliśmy kochankami. Niestety, zanim wyplątałem się ze związku z Cindy, „pianistką z syndromem napięcia przedmiesiączkowego”, jak ją nazywała Margot, zaczęła randkować z Estebanem, kubańskim tancerzem o gorącym temperamentem. Tak więc nasza zażyłość nigdy nie wykroczyła poza wspólne wylegiwanie się na kanapie przy czerwonym winie i koncertach fortepianowych Beethovena albo starych albumach Dire Straits. Poznaliśmy siebie tak dobrze, że wspólne pójście do łóżka wydawałoby się nam kazirodztwem.

- Widziałem sąsiadów z parteru — oznajmiłem.
- O! I kto to?
- Parka po trzydziestce. Wyglądają na konserwatywną inteligencję. I chyba są nadziani.
- Tu mogą mieszkać tylko bardzo nadziani. Musisz mieć brylanty w podeszwach butów, nie to co u mnie na Trzynastej Wschodniej.
- Masz cudowne poddasze. Jest magiczne jak Narnia.
- Jasne. Roi się w nim od magicznych, inteligentnych gryzoni.

- Słuchaj, chcę ci podziękować za pomoc... może pójdziemy dziś do Cafe Cluny? — zaproponowałem.

Rozejrzała się po wnętrzu z wysokim białym sufitem i lśniącym dębowym parkietem.

- Wiesz co, Lalo? Temu mieszkaniu potrzebna jest kobieta. I tobie też, szczerze mówiąc. Faceci nie mogą żyć wyłącznie pisaniem muzyki dla telewizji, nawet tacy, którzy robią idealnie okrągłe naleśniki.

Spojrzałem na nią. Drzewa z dworu rzucały na jej policzek roztańczone cienie.

- Przecież mam ciebie.

- Owszem – odparła.- Ale potrzebujesz namiętności. Niebezpieczeństwa. Kobiety, która zmywa gary nago.

ROZDZIAŁ 2

Bliższą znajomość z blondynką zawarłem dwa dni później. Wchodziłem wtedy po schodach z torbą zakupów z Sushila's, a ona stała na podeście pod drzwiami mojego mieszkania. Na rękach trzymała puchatego persa. Miała dziwnie nieobecny wyraz twarzy, ale gdy ruszyłem ku niej, jakby na mnie czekała. Poczulem zapach jej perfum: bardzo lekki, kwiatowy, nie udało mi się jednak rozpoznać marki.

- Dzień dobry — przywitałem się. — Szukała mnie pani?

- Szukałam Małkin. Moja kocica robi się wścibska, gdy wprowadza się ktoś nowy. Chce o nim wszystko wiedzieć.

Z bliska wyglądała młodziej niż wtedy, gdy widziałem ją po raz pierwszy. Miała może ze dwadzieścia dziewięć lat, a rysy twarzy tak delikatne, jakby wśród jej przodków zaplątały się elfy. Lekko opuszczone powieki skrywały oczy koloru deszczowych chmur. W stonowanym świetle słońca na podeście jej włosy pobłyskiwały niczym srebro.

Widzicie? Poznałem ją niecałe pół minuty temu, a już zaczynałem sypać poetyckimi porównaniami.

Przerzuciłem zakupy do lewej ręki i wyciągnąłem do niej prawą.

- Gideon — przedstawiłem się.- Gideon Lake. Przyjaciele mówią mi Lalo.

- Dlaczego?

- To od imienia Lala Schifrina, autora muzyki do Szczęk i Mission Impossible. Ja też to robię: piszę muzykę do filmów, telewizji i takich tam. Do reklam także! „Chodź, chodź, wzywa cię dom, w którym rodzinę i przyjaciół masz, a jedna łyżka Thom's przypomni ci rodzinny dom...”. No wie pani, zupa pomidorowa Thom's.

Pokręciła głową, ale wciąż się uśmiechała.

- Nie zna pani tego?- zdziwiłem się.- Jest pani chyba jedyną osobą na świecie, która nie słyszała tej reklamy. Moja matka mówi, że ma ochotę udusić mnie za tę melodię, tak za nią chodzi.

Gdy przekładałem zakupy z ręki do ręki, blondynka przełożyła kota i również wyciągnęła dłoń.

- Katherine Solway. Mów mi Kate. Miło mi cie poznać Gideonie. Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwy.

- Może wejdiesz i napijesz się czegoś? — zapytałem, otwierając drzwi. — Co prawda jeszcze nie skończyłem się urządzać, ale już niedługo uporządkuję ten bałagan...

-Z przyjemnością — odparła Kate. — Dziękuję. Mogę wziąć Małkin? Nie masz uczulenia na kocią sierść?

-Skądże. Jestem uczulony tylko na dwie rzeczy: na utwory Johna Williamsa i osy.

Dzięki dekoratorskim talentom Margot mój salon zaczynał nabierać elegancji godnej West Village. Naprzeciwko siebie ustawiła dwie staromodne sofy z jasnoniebieskimi obiciami, a przy oknie dwa krzesła z wygiętymi oparciami. Na środku salonu położyła owalny niebieski dywan, na którym stał bielony dębowy stolik z posążkiem bożka Pana skaczącego przez trzciny nad rzeką.

Na jednej ze ścian pyszniło się wielkie lustro w złoconej ramie, a po przeciwnej stronie wisiał obraz olejny przedstawiający dwie kobiety w różowych strojach kąpielowych, stojące na błękitnej pustyni. Płótno podpisano „Jared French”.

Kate postawiła Małkin na podłodze. Kotka otrząsnęła się, po czym zaczęła krążyć po mieszkaniu, obwąchując meble.

- Długo tu mieszkasz? — zapytałem Kate.

Podeszła do okna i wyjrzała na park. W szybie dostrzegłem przezroczyście odbicie jej twarzy.

- To zależy, co rozumiesz przez „długo”. Chyba dłużej, niż powinnam.

- Rozumiem — odparłem, choć nic nie rozumiałem. — Co chcesz do picia? Jest mrożona herbata, zinfandel, piwo... Mam też dr. peppera.

- Poproszę zinfandela. Wiesz, że kiedyś mieszkał tu Jared French?

- Tak, pośrednik mi powiedział - odpowiedziałem z aneksu kuchennego Dlatego kupiłem jego obraz, chociaż o mało nie zemdlałem, gdy podali cenę.

- Każdy dom na tej ulicy ma swoje duchy — dodała Kate.- Obok, pod szesnastką, mieszkał Theodore Dreiser i właśnie tam zaczął pisać swoją Tragedię amerykańską. Apartament pod dwunastką zajmował Sherwood Anderson. A Jared French mieszkał tu razem z Paulem Cadmusem, też malarzem. Obaj byli gejami, Cadmus zawsze malował marynarzy w absurdalnie obcisłych spodniach.

Wróciłem z kuchni z dwoma dużymi kieliszkami schłodzonego białego wina.

- Lubię nawiedzone domy — oświadczyłem.- Czuję się w nich częścią historii. To wspaniałe, oczywiście pod warunkiem, że jakiś duch me podszczypuje człowieka lodowatymi palcami pod przysznicem.

- Tym nie musisz się martwić. Duchy w tych domach odnalazły już spokój. A przynajmniej większość z nich.

- Dobrze wiedzieć. Na pewno nie widziałaś tu żadnych duchów?

- Kiedy się tu wprowadziliśmy, byłam pewna, że ktoś płacze w jednym z pokojów na strychu. Wydawało mi się, że to kobieta. Poszłam tam i zapukałam do drzwi, ale nikt nie zareagował.

- Brrrr... — wzdrygnąłem się.

- Myślę, że to tylko wiatr — uspokoiła mnie Kate. — Zimą są tu spore przeciągi.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Miałem wrażenie, że moja sąsiadka chce mi coś powiedzieć, ale nie potrafi ująć tego w słowa. Co chwila na mnie zerkiała, a gdy odwzajemniłem spojrzenie, obdarzyła mnie tym swoim tajemniczym uśmiezkiem i upiła łyk wina.

- Masz dzieci? — zapytałem. — To trochę dziwne, ale nie słyszałem tu żadnych dzieci i nie widziałem żadnych deskorolek w korytarzu.

- Victor nigdy nie chciał dzieci.

- Rozumiem. A ty chciałabyś mieć dzieci?

- Tak, bardzo! Chciałabym je mieć.

- Naprawdę?

- Tak. Dałabym jej na imię Melinda. Ubierałabym ją w sukienki z falbankami, zaplatała jej warkocze i uczyła piec języki.

- Chyba nie jest jeszcze na to za późno? Może przyprzesz Victora do muru?

- Victora nie da się przyprzeć do muru. Poza tym zawsze jest za późno na dzieci.

Nie miałem pojęcia, co chciała przez to powiedzieć, a ona najwyraźniej nie zamierzała mi niczego wyjaśnić, więc nie pytałem dalej.

Po chwili ciszy zapytała:

- A ty jaki jesteś? Lubisz podróżować?

- Podróżować? Chyba żartujesz. Nie cierpię podróży. Co miesiąc latam do Los Angeles, do Capitol Studios. Chciałbym, żeby ktoś w końcu wymyślił ten teleport ze Star Treka, wiesz, wchodzisz do kabiny w Nowym Jorku i po dziesięciu sekundach jesteś w Los Angeles. Ale przy moim pechu pewnie znalazłbym się w tej kabynie razem z muchą.

- Nie o to mi chodziło. Myślałam o podróżach do Europy, na przykład do Rzymu, Wiednia lub Pragi.

- Ach, do źródeł kultury? No cóż, siedziałem kiedyś przez tydzień w Londynie, ale w interesach, i właściwie jedynym miejscem, które zwiedziłem, było studio dźwiękowe w Soho. Nie widziałem nawet pałacu Buckingham.

- Powinieneś podróżować — stwierdziła Kate, — Podróże dobrze robią na duszę. A ile można się nauczyć! Im dalej jedziesz, tym lepiej poznajesz to, co zostawiasz za sobą.

Czekałem, aż mi opowie, co sama w ten sposób poznała, ale nie kontynuowała tego tematu. Miałem wrażenie, że rozmawiamy o dwóch różnych sprawach — albo może chciała, żebym pojął coś, co dla niej było oczywiste, jednak nie domyślałem się, o co mogło jej chodzić. Zachowywała się, jakbym powinien wszystko rozumieć. A może specjalnie mówiła zagadkami? Może nie chciała, by Małkin się domyśliła, co chce mi przekazać. Pewnie mogłaby donieść o tym Victorowi, panu „niedającym-się-przyprzeć-do-muru”.

- Jeszcze wina? — zapytałem Kate, choć wysączyła zaledwie parę łyków. — A może chcesz chipsy ziemniaczane? Mam do nich sól morską, sos jalapeño i jakiś ziołowy.

Pokręciła głową.

- Powiedz mi, do czego pisałeś muzykę?

- Hm... Na przykład do Sztukmistrza. Widziałaś ten serial? O gliniarzu, który był kiedyś iluzjonistą. Rozwiązywał sprawy za pomocą sztuczek.

- Chyba widziałam jeden odcinek, ale nie przypominam sobie muzyki z czołówki.

Sięgnąłem po gitarę opartą o skraj sofy. Zabrzdąkałem delikatnie w struny i zagrałem łagodną melodię z serialu, wznoszącą się z każdym taktem.

- To było prawie piękne — przyznała Kate, gdy skończyłem.

- Prawie?

- Debussy jest piękny, Delius też. A ten kawałek był cokolwiek komercyjny.

- Och, daj spokój. Debussy i Delius nie musieli pisać muzyki dla Jerry'ego Bruckheimera.

Roześmiała się, a potem popatrzyła na mnie. Jej spojrzenie znów zdawało się sugerować, że dzielimy jakąś wspólną tajemnicę, tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłem ją na schodach. Nie odwracała wzroku ani nie mrugała, tylko wpatrywała się we mnie tak intensywnie, jakby chciała na zawsze zapamiętać, jak wyglądam.

- Czy mogę cię spytać, ile masz lat? — zapytała po chwili.

- Trzydzieści jeden — odparłem. — Wyglądam na starszego, bo włosy zaczęły mi siwieć już w wieku dwudziestu sześciu lat. To dziedziczne.

- Podobają mi się. Dzięki nim wyglądasz jak człowiek, któremu mogłabym zaufać.

Zastanowiło mnie, dlaczego tak powiedziała. Czemu miałaby mi zaufać? Najwyraźniej chce, żebyśmy coś dla niej zrobili. Tylko co?

Spojrzała na wiszący obok lustra zegar.

- Muszę już lecieć- powiedziała.
- Czas zrobić obiad?
- Nie, nie. Na obiad też już za późno.
- Przecież możesz zamówić coś na wynos. W Little Havana mają pyszne *arroz con pollo*. Jeśli powdzięczysz się do kucharza, da ci *tostones gratis*.

Wstała bez słowa. Albo w ogóle mnie nie słuchała, albo nie lubiła kuchni kubańskiej, albo nie jadała mięsa.

Nigdy nie byłem zbyt spontaniczny, ale zapytałem wtedy:

- Hm... Czy masz czas w tygodniu? A może pracujesz?
- Jestem grafikiem. Robię rozkładowki o modzie dla „Harper's”. To znaczy robiłam.
- Więc teraz jesteś wolna?
- To zależy, co przez to rozumiesz.
- No, gdybym na przykład powiedział: „Przyjdź jutro około południa, zrobię lunch i zagram ci moją prawie piękną muzykę”, czy miałabyś coś przeciwko temu?

Nie odpowiedziała, wciąż wpatrując się we mnie. Jej spojrzenie było tak przenikliwe, że zakreśliło mi się w głowie, jakbym wypił o jedną tequilę za dużo. I wtedy Małkin zaczęła szarpać pazurami frędzle przy obiciu krzesła.

- Ej, kotek, przestań! — krzyknąłem i czar przysł.

Małkin podreptała do swojej pani jak zbesztane dziecko. Kate przyklękła i podniosła ją.

- Słuchaj.. — zacząłem. — Wiem, że jesteś zameżna. Chciałem po prostu zaprosić cię na sałatkę. Siedzę sam i pracuję całymi dniami, więc czasami mam wrażenie, że zaczynam zamieniać się w wariata, który gada do siebie.
- Dobrze - odparła. Wyciągnęła rękę, żebym pomógł jej wstać, ale gdy już się podniosła, nie puściła mojej dłoni. - Nie przejmuj się Victorem. To zarozumiały, pewny siebie facet, który myśli, że cały świat należy

do niego. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, że mogłabym go zdradzić.

Miałem wielką ochotę zapytać, czyby go zdradziła ze mną, Ale było za wcześnie na takie pytania. Nadal nie wiedziałem, czyjej się podobam, ale sam z każdą mijającą chwilą zauważałem w niej rzeczy, które coraz bardziej mnie pociągały: delikatny zarys nosa, odbłask słońca na górnej wardze, błękitne żyłki na nadgarstkach. Jednocześnie jednak dostrzegałem jej rezerwę i czujność. Podejrzewałem, że gdyby sytuacja tego wymagała, potrafiłaby zmiażdżyć jaja każdemu facetowi.

Puściłem jej dłoń.

- Skoro mówisz, że nie muszę martwić się Victorem, to nie będę się nim martwił. Co powiesz na tuńczyka z sałatką z kapusty pekińskiej?
- Brzmi apetycznie. Małkin też by chyba smakował. Ale zostawię ją w domu, żeby nie przeszkadzała.

Odprowadziłem ją do wyjścia. Zanim wyszła z mieszkania, odwróciła się i dotknęła włosów za moim uchem jak sztukmistrz, który ma zamiar wyciągnąć stamtąd monetę, po czym delikatnie pocałowała mnie w policzek.

Odprowadziłem ją wzrokiem, kiedy schodziła na dół. Gdy zniknęła, cicho zamknąłem drzwi i wróciłem do salonu.

Przyjrzałem się sobie w lustrze. Usiłowałem odkryć, co widziała, gdy na mnie patrzyła. Zawsze uważałem, że bardziej przypominam drugoligowego tenisistę niż kompozytora. Jestem szczupły, mam sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, a moje ręce i nogi wyglądają, jakby należały do kogoś innego. Po dziadku Luukasie, Finie, odziedziczyłem pociągłą twarz o kanciastej szczęce i niebieskie oczy. Myślę, że jestem całkiem przystojny, jak Kris Kristofferson, choć Margot zawsze mówiła, że jestem zbyt często ponury bez wyraźnej przyczyny.

Wziąłem gitarę i zagrałem temat ze Sztukmistrza. Nagle przerwałem w połowie akordu.

- Kate Solway — wyszeptałem.

Chciałem usłyszeć, jak jej nazwisko brzmi w moich ustach.

ROZDZIAŁ 3

Tego samego wieczoru, jakoś tak przed dwudziestą trzecią gdy pracowałem nad tłem muzycznym do programu *The Billy Wagner Show*, usłyszałem trzaśnięcie drzwiami samochodu a potem czyjś śmiech.

Moje palce zawisły nad klawiszami syntezatora Roland. Po chwili znów usłyszałem śmiech. Należał do kobiety. Potem męski głos oznajmił:

- Jesteś całkiem pogięta, wiesz? Chyba zupełnie ci odbiło.

Na bosaka przemierzyłem salon i wyjrzałem przez otwarte okno. Po schodach prowadzących do frontowego wejścia wspinała się rudowłosa kobieta w zielonej satynowej sukni, chwiejąc się jak pijana. Tuż za nią szedł Victor Solway we frakowej koszuli, z rozwiązaną muchą i karmazynowym smokingiem przewieszonym przez ramię. Karmazynowym!

Był opalony na głęboki brąz. Skronie jego kruczoczarnej czupryny zdobiły siwe pasma. Wyglądał jak niższa i bardziej zwalista wersja George'a Hamiltona. Gdy ruda wspięła się na szczyt schodów, złapał ją za pośladek. Skwitowała to wrzaskiem i zamachała mu torebką przed twarzą.

- Moja przyjaciółka Daisy ostrzegła mnie przed tobą! — krzyknęła. — Mówiła, że nie umiesz trzymać łap przy sobie!

- Do mnie masz pretensje? To twoja wina, ty kusicielko! Nie powinnaś tak kręcić zadkiem! Myślisz, że jestem z kamienia?

Ruda wybuchnęła głośnym śmiechem, trzęsąc bladymi piersiami i zakrywając oczy. Victor Solway otworzył drzwi frontowe kluczem i razem wtoczyli się do środka.

Trzasnęły dwie pary drzwi, najpierw frontowe, potem do mieszkania Solwaya. Po dłuższej chwili usłyszałem przytłumiony głos Tony'ego Bennetta. Śpiewał *Cold, Cold Heart*.

Niech to jasna cholera. Trawiłem prawie każdego kompozytora na świecie oprócz Johna Williamsa. Muzyka do *Gwiezdnych wojen*? Dajcie spokój. Dotyczyło to również piosenkarzy — z wyjątkiem Tony'ego Bennetta.

Wróciłem do syntezatora. Układałem kawałek dla Billy'ego Wagnera do wywiadu, który przeprowadził z dość ekscentryczną rodziną z Bakersfield. Jej członkowie nosili stroje z początku dwudziestego wieku przez cały rok, na okrągło. Matka i dwie córki wkładały nawet gorsety z fiszbinów. Jednak zupełnie straciłem nastrój. Jak miałem pisać muzykę fortepianową w stylu lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, gdy na dole smęcił Tony Bennett? „Kolejna miłość, znów nie w czas, twe serce wypełniła smutkiem...”.

Jezu Chryste. Nie mogli włączyć czegoś choć trochę weselszego? I co tam się działo, do cholery? Usłyszałem histeryczne śmiechy i jakiś łoskot. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że Kate może brać udział w tej zabawie. Nie pasował mi do niej trójkącik z Victorem i wstawioną rudą kobitką, szczelnie wypełniającą swoimi obfitymi kształtami sukienkę z zielonej satyny.

Zagrałem kilka taktów ze *Sztukmistrza*, po czym wyłączyłem syntezator i poszedłem do aneksu kuchennego. Wyjąłem z lodówki butelkę zinfandela. Dorośnij, powiedziałem sobie w duchu. Nie bądź takim nadętym nudziarzem. Kate może robić, co jej się żywnie podoba, a tobie nic do tego. Jeśli chce brać udział w pijackiej orgii, jej sprawa. Ma prawo zrobić to nawet z całą obsadą musicalu *Spamalot*.

Tego popołudnia była jakaś nieobecna i pełna rezerwy Niemożliwe, by teraz tarzała się w łóżku, śmiejąc się głośno. Poza tym miałem wrażenie — słuszne lub nie — że prosiła mnie o pomoc albo o ochronę.

Uchyliłem nieco drzwi mojego mieszkania. Tony Bennett śpiewał: „Czemu uciekasz przed życiem? To przecież niemądre...”.

Na schodach pojawiła się Małkin, biała puchata kotka Kate. Usiadła po drugiej stronie podestu i wbiła we mnie ponure spojrzenie.

- Kici, kici — zawołałem cicho. — Co ta twoja pani kombinuje? No już, przestań udawać, że nie umiesz mówić. Każdy kot to potrafi, więc nawet nie próbuj zaprzeczać.

Małkin wciąż patrzyła na mnie spode łba. Nie odzywała się, mruzczała tylko jak zdezelowany klimatyzator.

- Chcesz wejść? — zapytałem. — Może dasz się zaprosić na spodeczek mleczka? Niestety, nie mam Wild Kitty, ale myślę, że da się zorganizować trochę sardeli.

Otworzyłem szerzej drzwi i cofnąłem się do mieszkania.

- No chodź, kiciu. Co, nie lubisz mleka? Wolisz strzelić sobie tequilę, na przykład El Tesoro?

Nagle odezwała się moja komórka, wygrywając melodyjkę *Hang On, Sloopy*, i na sekundę oderwałem wzrok od Małkin. Gdy znów spojrzałem na podest, już jej nie było. Zniknęła jak kot w sztuczce z serialu *Sztukmistrz*. Dosłownie wyparowała — nie słyszałem nawet, jak zbiega po schodach.

Zamknąłem drzwi i odebrałem telefon. Dzwoniła Margot, najwyraźniej z jakiegoś przyjęcia. W słuchawce usłyszałem w de jakąś kobietę, która wołała:

- Margot, chodź tu! Michael chce ci pokazać coś odjechanego!

- Wszystko w porządku? — zapytałem.

- Jasne. Jestem na urodzinach Lydii, ale chciałam sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Oczywiście. Po prostu pracuję... to znaczy pracowałem, dopóki ci z dołu nie zaczęli orgietki.

- Twoi dziani sąsiedzi robią orgię? No proszę! Najwyraźniej to mieszkanie jest w sam raz dla ciebie!

- No, nie do końca. Puszczają Tony'ego Bennetta.

- O Jezu! I tak dobrze, że nie słuchają Barry'ego Manilowa.

- Słuchaj, Margot... chciałaś ze mną o czymś pogadać? Zamierzam iść spać, może uda mi się zasnąć mimo tych orgiastycznych wrzasków.

- Owszem. Martwię się o ciebie. Chciałam się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Oczywiście, że tak. Co miałyby mi się stać?

- Wiesz, dziś wróżyliśmy sobie z paciorków tybetańskich. Są niesamowite... Nasz wróżbita odgadł nawet, że moja siostra jest chora!

- No dobrze... Ale co takiego chcesz mi powiedzieć?

- Poprosiłam go, żeby sprawdził, czy będziesz szczęśliwy w nowym mieszkaniu, i ciągle wyciągał dwa paciorki oznaczające „kruka”, czyli nieszczęście. Powiedział, że będziesz cierpieć, połamiesz sobie kości i zginiesz w pożarze. Ale przede wszystkim masz się trzymać z dala od kobiety, przy której nikt nie chodzi...

- Co to oznacza, do cholery?

- Nie wiem. Zapytałam go o to, ale powtarzał w kółko to samo. Aha, powiedział coś jeszcze: „Biała pamięć cię obserwuje... więc nie otwieraj drzwi”.

- Biała pamięć? Co to niby ma znaczyć?

- Lalo, nie mam zielonego pojęcia. Nie zabijaj posłańca, dobra? Uznałam, że powinnam ci powiedzieć o tej wróżbie, żebyś mógł się odpowiednio zabezpieczyć. Cieszę się, że nic ci nie jest.

- Dziękuję, Margot — odparłem znużonym głosem.

- Nie ma za co. Kocham cię, Lalo. Nie chcę, żebyś źle skończył.

Rozłączyłem się. Piosenka Bennetta się skończyła, lecz z mieszkania na dole wciąż dochodziły jakieś łomoty. Co oni tam robili, do cholery? Przemeblowywali mieszkanie? Miałem ochotę założyć trapery i odtańczyć kozaczoka w salonie. Zreflektowałem się jednak — gdybym to zrobił, zachowałbym się jak dziecko. Solwayowie będą moimi sąsiadami przez następnych parę lat, więc powinienem przyzwyczać się do ich wieczorków towarzyskich. Przecież nie będą urządzali orgii co noc. Przynajmniej taką miałem nadzieję...

Wziąłem gorący prysznic. Stałem pod nim tak długo, aż coś zaczęło trzaskać w rurach, po czym wytarłem się i poszedłem do łóżka w bokserkach drużyny nowojorskich Metsów. Przez okno sypialni obserwowałem księżyc w trzeciej kwadrze, dopóki nie zniknął za bryłą Franks Building. Nareszcie było cicho.

Słyszałem jedynie odległy ruch na ulicach i zawodzenie syren. Przynajmniej Tony Bennett już nie smęcił.

Ciekawe co działo się na dole. Może trójkącik leżał teraz na łóżku. popalając skręta?

Nagle z irytacją uświadomiłem sobie, że nucę pod nosem:
„Kolejna miłość, znów nie w czas, twe serce wypełniła smutkiem...”

ROZDZIAŁ 4

Gdy wychodziłem rano, otworzyły się drzwi mieszkania na parterze i pojawił się w nich Victor Solway. Miał na sobie ciemnobrązową sportową marynarkę tylko ciut ciemniejszą od jego opalenizny oraz brązowe mokasyny z frędzlami.

- O, nasz nowy sąsiad! — zawołał na mój widok. Pachniał wodą od Armaniego, a pod oczami miał głębokie cienie. — Victor Solway. Witam w naszym wariatkowie.

- Gideon Lake — przedstawiłem się i dodałem: — Póki co, to jeszcze nie wariatkowo.

- W takim razie nie poznałeś jeszcze Pearl.

- Nie, nie miałem przyjemności...

Otoczył mnie ramieniem jak starego przyjaciela, po czym zniżył głos i powiedział:

- Nad tobą mieszkał Jonathan Lugard. No wiesz, ten malarz. Pearl była jego modelką.

- Przykro mi, ale nigdy o nim nie słyszałem.

- Szczerze mówiąc, ja też o nim nie słyszałem, zanim się tu wprowadziliśmy. Ale najwyraźniej był bardzo ceniony w kręgach artystycznych. Kiedy zmarł jakieś pięć lat temu, Pearl odziedziczyła po nim cały jego majątek: mieszkanie i wszystkie obrazy. To miliony dolarów. Problem w tym, że starsza pani ma lekkiego świra i ciągle zapomina, że Lugard kopnął w kalendarz. Cały czas łązi w różowym szlafroku i czeka, aż gość wróci i poprosi ją, by pozowała mu do obrazu.

- Coś takiego... — mruknąłem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Oddech Victora pachniał płynem do płukania ust, lecz i tak zalatywało od niego winem. Modliłem się w duchu, by zabrał rękę i odsunął się ode mnie. Ale on objął mnie jeszcze mocniej i rzucił za siebie okiem, jakby sprawdzał, czy nikt nas nie obserwuje.

- Słuchaj, po prostu ostrzegam cię jak przyjaciela. Jeśli Pearl wypatrzy cię na klatce, na pewno pomyśli, że jesteś jej zaginionym Lugardem. A wtedy zdejmie szlafrok, nim zdążysz krzyknąć ze strachu.

Zaniósł się szczekliwym śmiechem prosto w moją twarz, ale wreszcie mnie puścił. Poprawiłem rękawy koszuli i zmusiłem się do uśmiechu.

- Mimo to na pewno ci się tutaj spodoba — dodał Victor. — Poza tym to mieszkanie jest znakomitą inwestycją. Wiem coś o tym, bo robię w tym biznesie. Victor Solway International Realty Incorporated to moja firma. Handluję najlepszymi nieruchomościami na całym świecie. Pomieszkasz tu z pięć lat i sprzedasz to mieszkanie za dwa i pół miliona albo nawet trzy. Sam pomogę ci je sprzedać za niewielką prowizję. Mówię serio, dwa i pół miliona albo więcej.

- Coś takiego... — powtórzyłem, choć wcale nie miałem zamiaru tego robić.

- Słyszałem, że piszesz muzykę filmową — oświadczył Victor, — Powiedziano mi, że jesteś muzykiem, więc cię sprawdziłem, zanim się wprowadziłeś. Rozumiesz, nie chcę mieć kapeli heavymetalowej nad głową.

- Nic z tych rzeczy- zapewniłem go.- Napisałem muzykę do kilku filmów, ale przeważnie piszę kawałki do reklam.

- No to chyba bardzo dobrze ci idzie. Znam jakiś twój utwór?

- Nie sądzę - odparłem. Nic miałem ochoty znowu śpiewać piosenki do reklamy zupy pomidorowej Thom's. Zresztą prawdopodobnie i tak jej nigdy nic słyszał.

- No dobra, *muchacho*. Pewnie będziemy się widywali przelotem. Wpadnij kiedyś na kielicha. Może w sobotę koło wpół do dwunastej?

- Z przyjemnością. Dzięki.

Victor przysunął się do mnie tak blisko, że musiałem odchylić się do tyłu.

- A tak przy okazji: od czasu do czasu zapraszam moich znajomych, więc zastukaj w podłogę, jeśli będziemy zachowywali się zbyt głośno. Raz na „ciszej!”, a dwa razy na „zamknąć mordy!”.

Znów roześmiał się szczerliwie i klepnął mnie w ramię.

Już miałem mu powiedzieć, że poznałem Kate wczoraj po południu i zaprosiłem ją na lunch, ale z jakiegoś powodu się powstrzymałem - nie miałem pojęcia dlaczego. Poza tym uznałem, że powinienem dowiedzieć się czegoś więcej na temat ich związku.

Victor otworzył drzwi wejściowe, zalewając korytarz blaskiem słońca.

- No to do soboty, gdybyśmy się nie zobaczyli wcześniej.

Zbiegł po schodach i machnął na taksówkę. Stałem przed drzwiami i patrzyłem za nią, aż skręciła z St Luke's Place w Hudson Street. Gdy zniknęła za rogiem, poczułem dziwną ulgę.

Spojrzałem na park po drugiej stronie ulicy. Za wysokim ogrodzeniem z siatki trójka dzieci biegała w kółko z rozpostartymi rękoma. Na oparciu ławki przycupnęło dwóch mężczyzn. Rozmawiali, paląc papierosy. Potem wypatrzyłem Kate. Stała za jednym z drzew.

Ośloniłem oczy przed słońcem. To chyba ona albo ktoś do niej bardzo podobny, pomyślałem. Nie, na pewno ona! Miała na sobie ciemnoszary płaszcz i czapkę z jasnoszarej wełny. Jej twarz w pełnym słońcu wydawała się bardzo blada, była niemal nie do rozpoznania.

Pomachałem do niej, ale nie zareagowała. Może mnie nie zauważyła.

Poczekalem chwilę, po czym zszedłem na chodnik i ruszyłem na wschód, ku Siódmej Alei. Zamierzałem pójść po świeżego tuńczyka do Two Brothers, rybnego marketu na Carmine Street. Zanim skręciłem z St Luke's Place, znów spojrzałem w stronę parku, lecz Kate już zniknęła.

W tym momencie postrzępiona chmura przesłoniła słońce i nagle zrobiło się bardzo chłodno.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy wróciłem do domu, zegar wybijał wpół do jedenastej. Rozpakowałem dwa grubaśne filety z tuńczyka, opłukałem je w zlewie, otrząsałem z wody i włożyłem do płytkiej brytfanny.

Pod nosem nuciłem kawałek, który pisałem do *Orlej przełęczy*, nowego serialu o rodzinie pionierów z Oregonu, przygodowo-komediowego sentymentalnego wyciskacza łez w stylu *Rodziny Waltonów*.

Z drugiej torby wyciągnąłem główkę kapusty pekińskiej, dwa pęczki młodej cebuli, gruzłowaty korzeń imbiru i foliową torebkę z wodorostami hijiki. Wodorosty wrzuciłem do miski i zalałem ciepłą wodą, żeby się wymoczyły.

Gdy ucierałem imbir, ktoś nieśmiało zastukał do drzwi wejściowych. Wytarłem ręce w ścierkę i poszedłem otworzyć. W korytarzu ujrzałem starszą panią z szopą siwych włosów, odzianą w nieświeży szlafrok z różowej satyny.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała szeptem. — Czy Jonathan nie wchodził tu z panem?

- Nie, nie wchodził — odparłem.

Przechyliła głowę, by zajrzeć do salonu.

- Na pewno? — zapytała. — Poszedł do Blicka po nowe pędzle. Powiedział, że wróci za dwadzieścia minut.

- Przykro mi, ale tylko ja tu wchodziłem.

Siwowłosa kobieta patrzyła na mnie, zaciskając usta. Kilkadziesiąt lat temu była z pewnością bardzo piękna. Miała wysokie czoło, wydatne kości policzkowe i delikatną linię szczęki. Ale jej skóra wyschła, a zielone oczy straciły blask. Była boso i widziałem palce u jej stóp, przypominające zakrzywione szpony.

- Nie jesteś Jonathanem, prawda?

- Nie, nie jestem Jonathanem. Jeśli go zobaczę, powiem mu, że pani go szuka.
- Dziękuję panu — odparła i zmarszczyła brwi. — Ja tu mieszkam, prawda? To nie hotel?
- Nie... Mieszka tu pani. Czy mam odprowadzić panią do mieszkania?
- To byłoby bardzo szarmanckie z pana strony. Ach, co się stało z szarmanckimi ludźmi? Wie pan, znałam Claude'a Rainsa. Był naprawdę szarmancki!
- Claude Rains? Ten, który grał niewidzialnego człowieka?
- Ten sam. Przez większość filmu miał dublera, ale w scenie w gospodzie grał sam.

Wyszedłem na klatkę schodową i ująłem starszą panią pod rękę.

- Chodźmy, odprowadzę panią na górę. Pewnie ma pani na imię Pearl. Pan Solway z parteru opowiadał mi o pani.
- Pan Solway? Nie znam takiego. Na dole mieszkają państwo Huxtable, George i Doris Huxtable. Mają okropnego psa, ale niech im pan tego nie mówi, dobrze? Ciągle szczeka i szczeka, słyszałam go rano.

Poprowadziłem Pearl na schody i pomogłem wspiąć się na kolejny podest. Drzwi do jej mieszkania były otwarte. Poczulem zapach starości i lekki odór stęchlizny. Gdy weszliśmy do środka, poczułem coś jeszcze: zapach świeżej farby olejnej.

Mimo iż poranek był słoneczny, w salonie panował półmrok, ponieważ okna zaciągnięto ciężkimi zakurzonymi storami z brązowego aksamitu. W rogu stała zielona otomana. Miała rozdarte brokatowe obicie, z którego wystawało końskie włosie. W kącie naprzeciw niej stał popękany skórzany fotel i składany turecki stolik. Pod ścianami zobaczyłem dziesiątki płócien, albumów z rysunkami, szkicowników i nieoprawionych akwarel.

Na środku pokoju stała sztaluga z wielkim płótnem. Prowadząc Pearl do fotela, zobaczyłem, co przedstawia. Malunek musiał być świeży, bo farba błyszczała wilgocią.

- Dobry z pana człowiek — stwierdziła Pearl. — Czy ja już pana gdzieś nie widziałam? Może jest pan Walterem Montmorencym?

- Nazywam się Gideon Lake — powiedziałem. — Właśnie wprowadziłem się do mieszkania pod panią.

Popatrzyłem na niedokończony obraz na sztaludze. Przedstawiał Pearl, siedzącą na brzegu otomany. Miała wyzywająco wysuniętą brodę i paliła papierosa. Malarz zaznaczył jedynie najważniejsze szczegóły, lecz widać było, że portret będzie bardzo realistyczny.

- Gideon Lake... — powtórzyła Pearl.

Przez chwilę zastanawiała się, mamrocząc coś pod nosem, po czym zapytała:

- Nie jesteś aby spokrewniony z tymi Lake'ami z New Rochelle? To strasznie smutna rodzina, zwłaszcza Matilda Lake.

- Nie, nie jestem — odparłem i zapytałem: — Czyj to obraz?

- Który obraz?

- No... ten pani portret. Kto go maluje?

Popatrzyła na mnie, jakbym mówił po chińsku.

- A jak myślisz, mój drogi?

- Nie wiem. Jestem muzykiem, nie znam się na malarzach.

- Maluje go mój kochany Jonathan, rzecz jasna, któż by inny?

Pomyślałem, że na pewno pozowała jakiemuś staremu znajomemu i po prostu poplątało jej się w głowie. Musiałem przyznać, że nawet teraz miała bardzo dobrą figurę: szczupłe biodra, długie nogi i małe piersi z blad różowymi sutkami.

- Powiniennem wracać do siebie — powiedziałem po chwili. — Mam dziś gościa na lunchu.

- Jeśli zobaczysz Jonathana, powiedz mu, żeby się pośpieszył.

- Oczywiście.

- Aha, i ostrzegam — dodała, zniżając głos — ludzie w tym domu... nie wszyscy są tacy, na jakich wyglądają.

- Słucham?

Zaczęła pocierać dłonią policzek, jakby sprawdzała, czy znajduje się na swoim miejscu.

- Mówią ci jedno, a robią swoje. I przez cały czas cię obserwują, bo pragną tego, co masz. Chcą wszystkiego, czego sami nie mają, a ty to masz. Pragną każdego twojego oddechu. Chcą nawet blasku słońca, który zagląda w twoje oczy. Pożądają tego niczym Gollum pierścienia.

- Będę uważał — zapewniłem ją.

Wstała z fotela. Przez chwilę myślałem, że zdejmie szlafrok, ale tylko podeszła bliżej i złapała mnie za lewą rękę.

- Kiedy jakieś drzwi się otwierają, inne się zamykają - oświadczyła. - Ale pamiętaj, że nigdy nie otwierają się ani nie zamykają bez przyczyny. Zawsze ktoś przez nie przechodzi, nawet wtedy, gdy nikogo nie widać.

Powiedziawszy to, uniosła twarz, jakby chciała, żebym ją pocałował. Po chwili wahania pocałowałem ją w czoło.

- Dobry z ciebie człowiek, Gideonie Lake - stwierdziła. - Chyba uda mi się ciebie zapamiętać.

ROZDZIAŁ 6

Kate przyszła dwadzieścia minut później, gdy szatkowałem kapustę. Zamknąłem drzwi tylko na zatrzask, by mogła wejść sama.

- Przepraszam za spóźnienie — powiedziała z uśmiechem. Miała na sobie obcisłe czarne dzinsy i żółtą koszulkę z dekoltem. Przyniosła butelkę musującego wina Cuvée Napa. Pocałowała mnie, jakbyśmy znali się od lat.

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że przyszłaś.

- Rano mojej znajomej przydarzyło się coś dziwnego i musiałam ją odwiedzić.

- Co się stało?

- Ktoś się do niej włamał i potłukł wszystkie wazony. Niczego nie ukradł, tylko po prostu potłukł wazony i rozrzucił kwiaty po całym pokoju. Bardzo ją to zdenerwowało.

- Wie, kto to mógł zrobić?

Pokręciła głową.

- A wie chociaż, dlaczego ktoś to zrobił?

- Nie, ale w końcu wszędzie jest pełno psycholi.

Wziąłem od niej wino. Butelka była bardzo zimna i pokryta soplekmi wilgoci, jakby Kate przed chwilą wyjęła ją z lodówki.

- Nie mam kieliszków do szampana — powiedziałem. — Mogę je rozlać do normalnych?

- Pewnie. Wino można pić nawet z butelki.

Wyjąłem z kredensu dwa kieliszki i otworzyłem butelkę. Korek wyszedł z głośnym świstem.

- Nieźle — stwierdziła Kate. — *La pette d'une ange*.

- Słucham?

- Pierdnięcie anioła. Tak właśnie powinno się otwierać szampana, a nie tak, jak robi to Victor. Zawsze otwiera butelkę w taki sposób, jakby właśnie wygrał wyścig Indy pięćset.

- Spotkałem go dziś rano.

Kate odwróciła wzrok i nic na to nie odpowiedziała.

- Opowiadał mi o Pearl, tej starszej pani z góry — dodałem.

- Pearl? A. o niej. Ma trochę nie po kolei w głowie. Nie zdjęła szlafroka, kiedy cię zobaczyła?

- Nie. zachowywała się jak prawdziwa dama. Chyba jest trochę zapominalska i mocno roztargniona. Kilka razy zapytała mnie, czy jestem Jonathanem Lugardem.

Kate uśmiechnęła się, choć nie spojrzała na mnie.

- To prawda, umysł ją już trochę zawodzi, ale nie jest głupia. Widzi rzeczy, których inni ludzie nie dostrzegają.

- Jakie rzeczy?

Nie odpowiedziała, tylko przeszła do kuchni, pochyliła się nad brytfanną z filetemi z tuńczyka i powąchała je.

- Pachną wspaniale — stwierdziła. — Dobrze, że nie wzięłam ze sobą Małkin.

- Kupiłem je rano, w Two Brothers przy Carmine Street. Widziałem cię wtedy w parku.

Znów puściła moje słowa mimo uszu, wróciła do salonu i zaczęła przeglądać płyty. Ruszyłem za nią i obserwowałem ją z kieliszkiem wina w dłoni. Podobał mi się jej profil, delikatna lima nosa i długie rzęsy.

- Lubisz Vana Morissona? *Days Like This* to świetna piosenka.

- Lubię właściwie każdą muzykę, klasyczną, rocka, co chcesz. No, może poza Tonym Bennettem.

Spojrzała na mnie.

- Dlaczego?

- Po prostu nie lubię go, i tyle. Doprowadza mnie do wściekłości,

- Victor ubóstwia Tony'ego Bennetta. Kiedyś nawet myślałam, że chce być taki jak on. Zawsze mu wtóruje, gdy puszcza jego piosenki.

Milczałem przez długą chwilę, patrząc na nią. Wyciągnęła płytę z piątym koncertem fortepianowym Beethovena i powiedziała:

- Miałam kiedyś tę płytę. Uwielbiam ją.

- Kate, co się dzieje? — zapytałem w końcu.

- To znaczy?

- Dlaczego do mnie przysłaś?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Zaprosiłeś mnie na lunch. Myślałeś, że nie przyjdę, czy może nie chciałeś, żebym przyszła?

- Oczywiście, że chciałem. Przepraszam.

- Za co przepraszasz?

- Zastanawiałem się, co się działo wczoraj u was na dole.

- Ach, o to ci chodzi. Nie masz się czym przejmować.

Poczułem, że oblewam się rumieńcem. Znow niepotrzebnie

otworzyłem jadaczkę. Co mnie obchodzi, co Kate i Victor robią i z kim? To przecież West Village, a nie zapyziałe Kmiotkowo Górne w Connecticut.

- Eeee... no dobra, przyrządzę ten lunch.

Podeszła do mnie. Bardzo blisko.

- Lubisz mnie? — zapytała.

- Jasne, że tak. I to bardzo. Wprawdzie dopiero co cię poznałem, ale...

- A czy to ma jakieś znaczenie, że dopiero niedawno mnie poznałeś? Wiesz, mogłabym codziennie jadać u ciebie lunch, przez cały rok, a i

tak nie mógłbyś poznać mnie lepiej. Pobrałam się z Victorem w kwietniu dwa tysiące drugiego, ale on wciąż nie wie, jaką muzykę lubię i jakich używam perfum... nie wie też, że uwielbiam słoneczniki.

Spojrzałem jej w oczy. Miałem wrażenie, że patrzę w zachmurzone niebo.

- Słoneczniki... — powtórzyłem.

Położyłem dłoń na ramieniu Kate i zanim uświadomiłem sobie, co robię, pocałowałem ją. Nigdy nie całowałem żadnej kobiety tak nagle, bez dokładniejszego poznania jej czy przynajmniej zjedzenia z nią pizzy Quattro stagioni. Mimo to czułem, że mogę ją pocałować — i czułem, że ona też tego oczekiwała. Nasze wargi zetknęły się na chwilę i nawet nie zamknęliśmy oczu, ale kiedy się odsunąłem, zobaczyłem na jej twarzy rozmarzony uśmiech.

- Tuńczyk — przypomniałem jej.

- Gideonie Lake, jesteś niebywale romantyczny.

- Przepraszam, ale muszę obsmażyć filety, bo inaczej zjemy je dopiero na kolację.

Poszła za mną do kuchni i stała przy mnie, gdy wyciągałem żelazną patelnię i stawiałem ją na palniku.

- Zaśpiewaj coś, co ułożyłeś — poprosiła.

- Po lunchu zagram ci parę melodii z seriali. Widziałaś *Laurel Canyon*? Napisałem do niego temat przewodni. Do *Foznicka i Syna* również... to ta komedia z Seanem MacReadym. „Panie Foznick, jest pan gotów, sirrr?”.

- Znam ten film. Ale chciałabym, żebyś mi zaśpiewał tę piosenkę.

Polizałem palec i dotknąłem nim dna patelni, by sprawdzić, czy się nagrzała.

- Jest już chyba wystarczająco gorąca — stwierdziłem.

Kate niecierpliwie uniosła brwi.

- No dobra — ustąpiłem.

Odchrząknąłem i zaśpiewałem na melodię *The Sound of Music*:

- „Gdy na polach wiosna i pachnie dziki kwiat, a powietrze musuje jak wino, wiesz, że powinnaś wybrać Zweet!”.

Kate spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Zweet? Zweet? To coś, co wiesz się w muszli klozetowej?

Wzruszyłem ramionami.

- Piszę muzykę do wszystkiego.

Roześmiała się.

- Jesteś niemożliwy. Napisałeś taką romantyczną melodię do reklamy kostki toaletowej!

- Napisałem również muzykę do reklamy frankfurterek i pieluszek dla niemowląt.

Przez dwie minuty przysmażałem filety, po czym pokroiłem sałatkę sosem cytrynowym.

Usiedliśmy przy staromodnym stoliku w kącie salonu.

- Pyszne —oświadczyła Kate. — Ostatnio jadłam tuńczyka spalonego na węgiel.

- Dziękuję. Cała sztuka polega na tym, by smażyć go na gorącej patelni, ale dość krótko. — Przez chwilę patrzyłem, jak je. — W jaki sposób poznaliście się z Victorem — zapytałem.

- Pracowałam wtedy dla czasopisma „Perfect Home”, robiliśmy materiał o mieszkaniach w Tribeca i tam po raz pierwszy spotkałam Victora. Kiedy pewnego wieczoru pracowaliśmy do późna, zaprosił mnie na kolację. Byłam głodna i tuż przed wypłatą, więc nie odmówiłam.

W milczeniu poczekałem, aż przełknie kolejny kęs ryby.

- Cóż... wiem, że Victor nie wygląda na faceta w moim typie. Jest arogancki, choć potrafi też być bardzo zabawny, no i nigdy nie uznaje odmowy. Moi poprzedni partnerzy byli spokojnymi intelektualistami.

Nawet jeśli coś ich bardzo zdenerwowało, ograniczali się jedynie do znaczących chrząknięć. A Victor wpadł w moje życie jak burza.

Przerwała i upiła wina.

- Po pięciu tygodniach poprosił mnie o rękę. Nie widziałam żadnych przeciwwskazań, więc się zgodziłam.

- Jak długo mieszkacie na St Luke's Place?

- Czasami mam wrażenie, że całą wieczność, a kiedy indziej znów wydaje mi się, że wprowadziliśmy się tu dopiero wczoraj.

Z jakiegoś powodu nie chciała odpowiedzieć mi wprost. Nie drażyłem tematu. Prawdę mówiąc, nie zależało mi aż tak bardzo na odpowiedzi, choć gdybym ją znał, może szybciej odkryłbym prawdę.

- A ty masz kogoś? — zapytała po chwili.

- Nie, teraz nie. Do niedawna miałem dziewczynę, ale chciała, żebym poświęcał jej więcej uwagi, niż mogłem. Wiesz, praca i takie inne.

- Była ładna?

Popatrzyłem na nią. Czemu chciała to wiedzieć?

- Owszem, i to bardzo. Była z pochodzenia Czeszką. Miała na imię Milka. Po czesku znaczy to „pracowita”, ale tak naprawdę była najbardziej leniwą ze wszystkich dziewczyn, z którymi kiedykolwiek chodziłem. „Tobii, podnes mi pilnyk, nie mogę go dosięgnąć!”

Kate znów się roześmiała.

- Nie mogę sobie ciebie z nią wyobrazić. Jesteś zbyt... — przerwała, szukając właściwego określenia.

- Zbyt wielkim szowinistą? Zbyt zarozumiałą? Zbyt uparty?

- Nie wiem, ale na pewno jesteś bardzo pewny siebie. Chyba potrzebujesz tej pewności, żeby tworzyć. Pisząc muzykę, obnażasz swoje wnętrze, prawda? Odślaniasz swoje uczucia. Nawet w muzyce do reklamy kostki Zweet.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza — mruknąłem.

- Naprawdę?
- Napisałem tę melodię tuż po rozstaniu się z Milką.
- Jest urocza. Wiem, to tylko piosenka o kostce zapachowej do sedesu, ale przecież zawsze możesz zmienić słowa.
- Chyba tak. Dobra, spróbuję — odparłem i znów zaśpiewałem, nieco fałszując: — „Na Manhattanie lunchu czas, więc tuńczyka smacznego razem z Kate jesz”.

Odłożyła widelec, sięgnęła nad stołem i położyła dłoń na mojej.

- Co robisz? — zapytałem.

Ten gest był tak pełen erotyzmu, że przeszedł mnie dreszcz.

- Dobrze wiesz co — odparła. — Nieczęsto mi się to zdarza, ale wtedy zawsze wiem, co się dzieje. Kiedy zobaczyłam cię tamtego dnia w oknie, od razu wiedziałam, że jesteś kimś dla mnie. Ty też o tym wiedziałeś, prawda?

Pomyślałem: „Nie, nieprawda”, ale gdy przypomniałem sobie jej szelmowski uśmiezek, zmieniłem zdanie.

ROZDZIAŁ 7

Nie posłałem łóżka, kiedy wstałem rano - płataninę wymiętej pościeli i poduszek nakryłem po prostu złotoczerwoną kapą. Ale Kate to nie przeszkadzało.

Najpierw zrzuciła bluzkę, po czym usiadła na łóżku i ściągnęła spodnie. Ja tymczasem walczyłem ze swoją koszulką polo i paskiem.

Potem było cudownie. Położyłem się na plecach, a Kate usiadła na mnie. Nigdy nie widziałem tak chudej kobiety — wyglądała, jakby składała się wyłącznie z obojczyków, żeber i wystających bioder, a jej skóra była niemal przezroczysta. Ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie, wsuwając mi język głęboko w usta. Potem przeciągnęła paznokciami po moich bokach i gdy dotarła do bioder, podskoczyłem.

- Nigdy nie sądziłam... nikt mi nie powiedział... — wydyszała.

- Czego nie powiedział?

- Nikt mi nie powiedział, że to możliwe.

Znów mówiła zagadkami, lecz nie miałem w tym momencie głowy do ich rozwiązywania. Popołudniowe słońce odbijało się w górnych oknach Franks Building, padając na Kate. Rozświetlało jej włosy i ramiona, otaczając ją nienaturalnym blaskiem. Czuję się, jakbym się kochał z królową elfów, a nie z istotą ludzką.

W podnieceniu patrzyłem, jak mój penis wchodzi między jej wilgotne wargi sromowe, rozchylające się jak płatki lilii.

Ujeżdżała mnie, wyginając się do tyłu, z rękami w górze i odchylną głową. Nigdy nie kochałem się w taki sposób. Nasze nerwy połączyły się, odbierałem wszystko, co czuła moja partnerka. Niemal widziałem przebiegające między nami impulsy nerwowe.

Kiedy zaczęła dyszeć, chwyciłem ją za biodra. Prawie dochodziłem i z moich ust wyrwał się głośny jęk.

Kate zadrżała, a potem krzyknęła. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo jej głos przekroczył częstotliwości rejestrowane przez ludzkie ucho. Szklanka z wodą na stoliku nocnym rozpadła się na kawałki, lustro na ścianie sypialni pękło na ukos.

Uniosłem głowę i spojrzałem na rozbitą szklankę.

- O Boże... Myślałem, że tylko śpiewaczki operowe to potrafią.

Kate zakryła usta dłonią, lecz jej oczy śmiały się radośnie.

- Przepraszam. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Naprawdę. Zawsze krzyczę, ale...

- Nie szkodzi, to tylko szklanka.

- A lustro?

- Nic się nie stało. Daj spokój. Byłaś cudowna.

Zeszła ze mnie i przyłgnęła do mojego boku, kładąc mi głowę na piersi. Objąłem ją, czując pod ramieniem jej chude łopatki. Mógłbym tak leżeć aż do wieczora. A także przez wszystkie następne wieczory. Kate zaczęła wodzić palcem po mięśniach mojego brzucha.

- Czy wierzysz w przeznaczenie?

- Chodzi ci o to, czy wierzę, że to, co ma być, zdarzy się bez względu na to, co robimy? Nic wiem. Przecież chyba mamy wolność wyboru?

Podparła się na łokciu i spojrzała na mnie. Jej twarz była tak blisko mojej, nie mogłem skupić na niej wzroku.

- Nie sądzisz, że było ci przeznaczone tu zamieszkać? Równie dobrze mogłaby wprowadzić się tutaj jakaś staruszka albo dwóch gejów, jak Cadmus i French.

- Możliwe. Gdyby Sztukmistrz nie okazał się hitem, nie byłoby mnie stać na to mieszkanie.

Uśmiechnęła się.

- Zetknęło nas ze sobą przeznaczenie. Wiem to. Tak długo na ciebie czekałam..

- A co z Victorem?
- To znaczy?
- No nie wiem... Jesteś z nim nieszczęśliwa? A może nie powinienem o to pytać?
- To zależy, co rozumiesz przez słowo „nieszczęśliwa”.

Wstała z łóżka i nago stanęła przy oknie. Słońce wisiało tuż nad horyzontem i pokój spowijały cienie. Patrzyłem na nią z łóżka, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie wiedziałem nawet, co do niej czuję - nie wiedziałem też, co ona czuje do mnie.

- Późno już — stwierdziła po chwili. — Muszę się zbierać.
- Nic chcesz posłuchać mojej prawie pięknej muzyki? Kiedyś zacząłem pisać koncert fortepianowy, Zegar z jedną wskazówką. Jeśli chcesz, mogę ci go zagrać.
- Może innym razem.
- A jeśli nie będzie innego razu?

Wróciła do łóżka, przyklękła przy nim i pocałowała mnie.

- Oczywiście, że będzie. To dopiero początek.

Oddałem jej pocałunek.

- W takim razie dokupię trochę szklanek i parę luster.

Kiedy się ubraliśmy, poczuliśmy się oficjalnie i niezręcznie.

- Pomóc ci pozmywać? — spytała Kate.
- Nie trzeba. Ale możesz przysłać tu Małkin, by spróbowała tuńczyka.
- Dobry pomysł — odparła.

Pocałowaliśmy się w otwartych drzwiach, po czym Kate wyszła. Słyszałem, jak schodzi na dół, ale nie usłyszałem, by uchodziła do swojego mieszkania albo wychodziła z kamienicy. Stałem i nasłuchiwałem, lecz ona jakby rozpułyła się na parterze.

Musiła jednak otworzyć drzwi do siebie, bo po kilku sekundach po schodach wbiegła Małkin.

- Kici, kici, chodź do mnie! — zawołałem. — Pora na tuńczyka!

Małkin ruszyła za mną do kuchennego aneksu. Przełożyłem resztki tuńczyka na jeden talerz i postawiłem go na podłodze. Kotka natychmiast zabrała się do jedzenia.

Patrzyłem na nią i nagle poczułem się bardzo samotny. Dobrze wiedziałem, że nawet najlepsze chwile nie trwają wiecznie. Kiedy przemijają, człowiek znów jest sam. Pozostają mu jedynie do zebrania naczynia ze stołu i słońce, które znika za drzewami.

ROZDZIAŁ 8

Margot stwierdziła, że spotkało mnie coś wspaniałego.

- Masz cudowne mieszkanie na ekskluzywnej ulicy i romans z żoną międzynarodowego pośrednika w handlu nieruchomościami o cuchnącym oddechu! — zawołała. — Lalo! Jak ci się to wszystko udaje?

- Zapomniałaś o podstarzałej modelce nade mną, która pozuje do aktów.

- Jeszcze lepiej! To coś jak Alicja w Krainie Czarów!

Siedzieliśmy na ławce w parku Jamesa A. Walkera, rozkoszując się słońcem, choć nie było już tak ciepło jak w zeszłym tygodniu — z północnego zachodu nadciągały pierwsze podmuchy zimy. Margot miała na sobie gruby czerwony sweter z wzorkiem zielonych jabłek.

Nieopodal nas po trawniku przechadzał się starszy jegomość w płaszczu przeciw deszczowym przewiązanym sznurkiem. Co chwila pochylał się i podnosił coś z ziemi, chyba niedopałki.

- Lalo, i co teraz? Spotkasz się z nią jeszcze? Musisz!

- Chyba tak. Nie jestem pewien. Powiedziała mi, że to dopiero początek, ale tak naprawdę nie zrozumiałem nawet połowy z tego, mówiła.

- Jak to nie rozumiałaś?

- Trudno mi to wytłumaczyć... To trochę tak, jakbym zapytał, czy podoba ci się moja fryzura, a ty odpowiedziałabyś: „Może w środę”. Rozumiesz, niby mówiła coś z sensem, ale kiedy się nad tym zastanowiłem, niczego nie rozumiałem.

- Co z tego. skoro jest dobra w łóżku? Przynajmniej kocha się z tobą w sensowny sposób. Nie tak jak mój ostami facet, Patrick. Pamiętasz go? Nie wiem, gdzie uczył się życia... chyba pasąc kozy w Uzbekistanie. Kiedy chciałam coś zrobić, on zawsze robił coś zupełnie innego.

Słońce schowało się za dachami domów i zrobiło się zimno.

- Chodźmy do mnie — zaproponowałem. — Zrobię ci herbatę po rosyjsku, z miodem.

Gdy wychodziliśmy z parku, podszedłem do staruszka w płaszczu przeciwdeszczowym i wyciągnąłem dziesięć dolarów. Popatrzył podejrzliwie na banknot.

- A to za co? — zapytał.

- Za nic. Niech pan sobie kupi coś do jedzenia, papierosy albo wódę. Nie interesuje mnie, co pan z tymi pieniędzmi robi.

Staruszek zbliżył się do mnie. Choć jego brodę pokrywał kilkudniowy siwy zarost, nie wyglądał szczególnie niechlujnie. W jakiś sposób przypominał mi podstarzałego Roda Steigera. Patrzył na mnie, nawet nie rzucił okiem na pieniądze.

- Powinien pan uważać — powiedział po chwili.

- Tak? A to dlaczego?

- Bo ludzie, którzy pozornie troszczą się o pana, mają w tym swój cel. Wodzą pana za nos.

- Rozumiem. I właśnie tacy ludzie mnie otaczają?

- Jeszcze nie, ale ostrzegam pana przed nimi. Kiedyś sądziłem ludzi po pozorach i zobacz pan, jak skończyłem.

Wyjął mi banknot z ręki takim ruchem, jakby nie chciał, żebym to zauważył.

- Dobry z pana człowiek — stwierdził. — Niech pan pilnuje tej swojej panny.

- My się tylko przyjaźnimy — powiedziała Margot.

- Wiem — odparł staruszek. — Mówiłem o tej drugiej młodej pani, tej z kotem.

- Pan ją zna? — zapytałem zdziwiony.

Staruszek schował dziesięciodolarówkę w rękawie, po czym unióśł palec, jakby sprawdzał kierunek wiatru, i odszedł bez słowa.

- Dziwak — mrukneła Margot, gdy staruszek obszedł siatką i zniknął między drzewami.

- Masz rację — przyznałem. — Chodźmy na herbatę.



Gdy otwierałem drzwi swojego mieszkania, Margot pociągnęła nosem i zmarszczyła brwi.

- Co się dzieje? — spytałem.

- Czuć farbą. Tak, pachnie farbą.

- To z mieszkania Pearl. Ktoś maluje jej akt. Pearl twierdzi, że to Jonathan Ludgard, ale Victor mówi, że on nie żyje od pięciu lat, więc to raczej niemożliwe.

Wszedłem razem z Margot do kuchni.

- Wiara w to, że ktoś nadal żyje, musi chyba pokrzepiać — stwierdziła. — Jeżeli w to wierzysz, co za różnica, czy ktoś naprawdę żyje, czy nie?

- Nie mam pojęcia, ale pewnie żadna — odparłem. — Może stąd biorą się duchy?

Zagotowałem wodę i zaparzyłem dwie herbaty po rosyjsku. Margot dodała do swojej miodu z kwiatów pomarańczy. Potem zdjęła buty i wyciągnęła się na sofie.

- Lalo, jesteś jakiś inny — stwierdziła.

- Tak?

- Mam wrażenie, że na coś czekasz, ale sam nie bardzo wiesz. Może na to, że wpadnie tu mąż Kate i rozkwasi ci nos?

- Raczej w to wątpię. Wydaje mi się, że żyją w dość luźnym związku.
- Może czekasz, aż Kate wyzna ci miłość?
- Margot, wrzucić na luz. Poszliśmy raz do łóżka. Całkiem możliwe, że jej już więcej nie zobaczę.
- Ma coś w sobie, przyznaj. Siedzi ci w głowie i nie chce wyjść, jak jedna z tych twoich melodyjek.

Spróbowałem herbaty i poparzyłem sobie usta. Nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć. Margot miała rację. Zastanawiałem się, co Kate czuła, gdy leżała z głową na mojej piersi, i co oznaczało to jej dziwne, zamglone spojrzenie, kiedy na mnie patrzyła. Bardzo chciałem się z nią spotkać — chociażby tylko po to, by się upewnić, że nadal mnie potrzebuje.

- Mam pomysł — powiedziała Margot. — Dorothea, Jimmy Petarda, Duncan Bradley i ja idziemy jutro do Sal's Comedy Hole na występ Maynarda Manninga. Może pójdziesz z nami? Wrócisz do normalnego świata, w którym ludzie opowiadają sobie banały, ale przynajmniej są to zrozumiałe banały.
- Może się z wami wybiorę.
- Obiecuj, że pójdziesz z nami. Musisz częściej wychodzić do ludzi.
- No dobra, pójdę.



Przez kolejne półtorej godziny grałem dla Margot muzykę do *The Billy Wagner Show* i śpiewałem. Otworzyłem butelkę zinfandela i napełniłem dwa duże kieliszki. Margot siedziała na sofie i wtórowała mi.

- „Nikt cię o tym nie uprzedził, a to wielka szkoda, bo gdy beton runie, zaboli cię głowa”.

Potrafiła być bardzo zabawna i miała wspaniały głos. Mogła zaśpiewać wszystko, od bluesa do lekkich kawałków operowych, ale najbardziej lubiła piosenki zydeco, takie jak *Would You Rather Be An Old Man 's Darling Or A Young Man 's Slave*. Była naprawdę niesamowita.

W końcu zegar wybił dziewiętnastą i Margot oświadczyła:

- Pójdę już, Lalo. Mam pusto w lodówce i powinnam zrobić duże zakupy.
- Jesteś głodna? Możemy pójść na pizzę.
- Nie, mam dość pizzy. Muszę zjeść coś prawdziwego. Nawet tofu mi się skończyło.

Odprowadziłem ją do drzwi wejściowych. Uścisnęła mnie mocno. Pachniała wanilią.

- Pamiętaj o jutrzejszym wieczorze — powiedziała. — Musisz wrócić do rzeczywistości.
- Przecież obiecałem.

Zbiegła na chodnik, przeskakując stopnie. Gdy zamknąłem drzwi i zacząłem wchodzić po schodach, na piętrze zobaczyłem skrytego w półmroku starszego faceta. Patrzył na mnie. Miał siwe włosy, kościstą twarz i białe krzaczaste brwi. Był ubrany w jasny kitel, upstrzony plamami po farbie, i szary obwisły beret.

- Dzień dobry! — zawołałem, lecz mężczyzna odwrócił się i zniknął na schodach prowadzących na górę.

Wszedłem na podest i omiotłem wzrokiem schody, lecz go nie zobaczyłem. Nie słyszałem, by wchodził do jakiegoś mieszkania. Pewnie to znajomy Pearl, malujący jej akt. Chyba był z niego cholernie nietowarzystki typ.

Wróciłem do siebie, włączyłem stojący w rogu salonu płaski telewizor i nalałem wina do kieliszka. Nie dzwoniłem do rodziców od ubiegłego weekendu, więc wykręciłem ich numer New Milford. W słuchawce odezwał się głos mamy:

- Tu rezydencja państwa Lake. Randolph i Joyce nie mogą podejść do telefonu, ale z radością cię wysłuchają, więc zostaw wiadomość.

- Hedraulik z tej strony — powiedziałem z ciężkim akcentem z Bronksu. — Z chęciom wpadłbym i pogrzeboł w pani cysternie, kochaniutka.

Należało jej się za takie pretensjonalne powitanie.

Rozparłem się na fotelu i zarzuciłem nogi na stolik. Przez chwilę oglądałem odcinek serialu *Na imię mi Earl*. Tytułowy bohater, jak zwykle, mówił o karmie. Też bym o tym nawijał, gdybym tak jak on zgubił szczęśliwy los na sto tysięcy dolarów, a potem go znalazł.

Zaczynałem podejrzewać, że Kate miała rację co do przeznaczenia i że moim życiem również rządzi karma. Z każdym dniem narastało we mnie przekonanie, że gram epizodyczną rolę w jakimś tasiemcowym serialu obyczajowym, w którym wszyscy aktorzy — oczywiście oprócz mnie — znają cały scenariusz. Jak można dokonywać wyborów, jeśli nikt nam nie mówi, co możemy wybrać? „Gideonie, stań tu i powiedz swoją kwestię. Nieważne, co ona znaczy”.

Ktoś zapukał do drzwi mojego mieszkania. Za nimi stała Kate. Miała na sobie czarny sweter z golfem i džinsy, włosy związała z tyłu czarną tasiemką. Była blada i zacierała dłonie, jakby zmarzła.

- Cześć — powitałem ją. — Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie.

- Mogę wejść?

- Jasne. Prawie minęłaś się z Margot. Chcesz lampkę wina?

- Tak, proszę — odparła Kate i usiadła na brzegu sofy. obejmując się mocno ramionami.

- Zimno ci? — zapytałem. — Mogę podkręcić ogrzewanie.

- Nie, nie trzeba. Słuchaj, zastanawiałam się, czy masz czas przez następne dwa tygodnie.

- Czas? Po co?

- Żeby ze mną wyjechać.

Przyniosłem jej lampkę wina i usiadłem obok.

- Chcesz razem ze mną wyjechać na urlop?

- Coś w tym rodzaju. Chcę, żebyś poznał parę osób. Nie martw się o koszty, zapłacę za wszystko,

- A co na to Victor?

- Nie dowie się.

- Kate, daj spokój. Kiedy znikniemy na dwa tygodnie, na pewno zaczną coś podejrzewać.

- Gideonie, spodoba ci się! Kiedy zobaczysz mieszkanie moich znajomych, nie będziesz mógł uwierzyć własnym oczom! Jest naprawdę wspaniałe: widok na zatokę, marmurowa łazienka, antyki...

- Sam nie wiem,..

- Dlaczego? Przecież pokryję wszelkie wydatki.

- No cóż... chyba muszę ci coś wyznać. Nie jestem szczególnie towarzyski. Nie umiem siedzieć przy śniadaniu nad płatkami Cheerios i prowadzić rozmów... zwłaszcza z ludźmi, których nie znam. Właściwie to nie odzywam się aż do południa, a i wtedy stać mnie tylko na ciche pomruki.

- Nie przejmuj się tym. Każde z nas będzie miało własny pokój, z łóżkiem z kolumnkami i osobną łazienką. Nikt się na nas nie obrazi, jeśli będziemy trzymali się z boku.

Nęciła mnie ta propozycja. Nie byłem na wakacjach od prawie czterech lat, a od czasów Milki nic miałem kobiety – no może poza niezobowiązującymi nocami z Genną, rudowłosą stewardesą, oraz Lateesh, która akompaniowała P Diddy'emu w chórk. Ale żadna z nich nie była tak magiczna jak Kate. Nawet jeśli była czyjąś żoną.

- No dobrze... więc gdzie mamy lecieć? — zapytałem.

- Zaraz ci wszystko powiem. Będziesz musiał wziąć kurtkę, rękawiczki i szalik.
- Więc to jakieś zimne miejsce. Zimne miejsce nad zatoką. Seattle?
- Bardziej na wschód i o wiele dalej. Do Sztokholmu.
- Sztokholmu w Dakocie Południowej? Przecież tam nie ma zatoki... Mówisz o Sztokholmie w Szwecji?
- Zgadłeś. Mieszkanie moich znajomych jest na Starówce, obok pałacu królewskiego, i wychodzi na zatokę. Jest tam bardzo pięknie, zwłaszcza o tej porze roku.
- Brzmi wspaniale, naprawdę!. Ale z kim chcesz mnie tam poznać?

Kate upiła łyk wina.

- Z pewną czteroosobową rodziną. Ojciec jest lekarzem, a matka fizjoterapeutką. Mają dwie córki.
- Dlaczego chcesz mnie z nimi poznać?
- Nie umiem tego wyjaśnić, ale to ważne. W Sztokholmie pod koniec września jest zupełnie inaczej niż tutaj.
- Uważasz, że potrzebuję lekarza?

Kate uśmiechnęła się.

- Nic podobnego. Ten facet jest ginekologiem.
- Nie wiem, co powiedzieć. Prawie się nie znamy, tylko raz poszliśmy do łóżka, a ty już chcesz, żebym wyjechał z tobą na dwa tygodnie... po to, by poznać jakiegoś szwedzkiego ginekologa i jego rodzinę. Potrzebna ci ich zgoda na związek ze mną? To jakiś test?
- Nie, Gideonie. Nic z tych rzeczy, przysięgam. Po prostu chcę, żebyś pojechał ze mną do Sztokholmu i inaczej spojrzął na życie.

Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Podniosłem się z kanapy i podszedłem do biurka. Przejrzałem terminarz, po czym oświadczyłem:

- No dobra... chyba będę mógł pojechać. Muszę tylko skończyć kawałek do *The Billy Wagner Show*, ale myślę, że uwinę się z tym do jutra. I muszę wrócić czternastego, mam wtedy spotkanie z DDB dotyczące reklamy pepsi bez cukru.

- Oczywiście. Obiecuję, że zdążysz na nie wrócić.

ROZDZIAŁ 9

Po dwudziestej pierwszej Kate odstawiła pusty kieliszek i oznajmiła, że musi iść.

- Naprawdę musisz? — zapytałem. W salonie było już o wiele cieplej, bo zapaliłem w nim mnóstwo białych świec. Na ścianach tańczyły cienie. — Wypij jeszcze jeden kieliszek.

- No dobrze, przekonałeś mnie.

Gdy wybiła dwudziesta druga, zapytałem:

- Czy Victor jest dziś w domu?

- Pewnie wróci późno. W czwartki grywa w squasha, więc czasami zostaje w klubie aż do zamknięcia.

- Nie tęskni za tobą, kiedy nie ma cię przy sobie w nocy? Nie pyta, gdzie byłaś?

- Victor nigdy za mną nie tęskni.

- A ja tęskniłem za tobą dzisiaj. Bardzo chciałem cię przytulić. Spojrzała na mnie, podpierając dłonią brodę. Na jej twarzy odmalował się smutek.

- No cóż... nie zawsze możemy mieć to, czego chcemy — stwierdziła.

Nie dodała nic więcej, co oznaczało, że nie zamierza mi wyjaśnić, o co jej chodzi.

W końcu pierwszy przerwałem ciszę.

- Nie rozumiem tego, co jest między tobą i Victorem - powiedziałem. — Miałem już do czynienia ze swingerami. Znam pary, które żyją w luźnych związkach i sypiają, z kim chcą. Ale co jest z wami? To wygląda tak, jakbyście w ogóle nie byli małżeństwem.

Kate wzruszyła ramionami, jednak nic nie odpowiedziała. Chyba nie chciała o tym rozmawiać. Podniosłem się z sofy i zmieniłem *Pet*

Sounds Briana Wilsona na lekkie etiudy fortepianowe Debussy'ego, równie smętne jak mina Kate.

- Hm... Kim są ludzie, do których jedziemy? — spytałem.
- To doktor Axel Westerlund, jego żona Tilda oraz dwie córki, Elsa i Felicia. Dam ci ich adres.
- Po co?
- Bo nie polecimy do Szwecji tym samym samolotem. Będziesz musiał lecieć tam sam. Poradzisz sobie, prawda?
- To z powodu Victora? Nie chcesz, żeby się dowiedział, że wyjechaliśmy razem na wakacje? Przecież i tak nigdy za tobą nie tęskni.
- Po prostu nie chcę, by o tobie wiedział. On ma paskudny charakter.
- Nie boję się go.
- Nie? A powinieneś, bo Victor ma nie tylko paskudny charakter, ale jest też naprawdę niebezpiecznym facetem.



Zapaliłem w sypialni świece i poszedłem z Kate do łóżka.

W tle grał Debussy, a my kochaliśmy się powoli. Bardzo podobała mi się bladość jej skóry i kwiatowy zapach perfum.

Gdy zaczęła dochodzić, zamknęła oczy i otworzyła usta w bezgłośnym krzyku. Stojąca na parapecie butelka wody kolońskiej od Armaniego zaczęła stukać coraz głośniejsze i głośniejsze, aż biodra Kate zadrżały w skurczach. Przywarła do mnie mocno, wciskając twarz w moje ramię, i po chwili wszystko ucichło.

- Zawsze tak jest? — zapytałem. — Czy tylko ze mną?

Kate obrysowała palcem moje usta.

- Nigdy wcześniej tak nie było, ani podczas seksu, ani gdy śpiewałam. Nigdy.

- Więc co to może być? Zupełnie jak w tej reklamie Memoreksu, w której pękał kieliszek.

- Nie wiem. Może to po prostu ekstaza?

Wciąż muskała palcem moje usta, a ja już wiedziałem, że w przyszłym tygodniu polecę do Sztokholmu.

ROZDZIAŁ 10

Sobotni poranek tonął w ulewnym deszczu i w moim mieszkaniu było bardzo ciemno. Z nastroszonymi włosami wygrzebałem się z łóżka i ruszyłem do kuchni, by zaparzyć kawę. Nie piłem poprzedniego wieczoru, lecz z jakiegoś powodu czułem się otępiały, jakbym miał kaca. Być może właśnie w ten sposób reagowałem na nadchodzącą zimę.

Odsłoniłem okna w salonie. St Luke's Place była szara, mokra i niemal bezludna. Wracając do kuchni, zauważyłem, że spod drzwi do mieszkania wystaje jakaś biała koperta. Podniosłem ją. Ktoś zaadresował ją niebieskim atramentem: „Pan Gideon Lake, m. 2”. Potrząsnąłem nią - w środku znajdowało się coś ciężkiego.

Otworzyłem kopertę. Znalazłem w niej bilet na lot liniami SAS, rejs numer 904 na lotnisko Sztokholm - Arlanda, rezerwacja na poniedziałek, powrót w piątek - klasa biznesowa, za 2882 dolary. W kopercie była również kartka z papeterii, na której znajdował się adres: „Dr Axel Westerlund, Skeppsbron44,111 30 Sztokholm”.

Odwróciłem kopertę nad dłońią. Wypadły z niej dwa ozdobne mosiężne klucze.

Zaparzyłem sobie mocne espresso. Piłem je, stojąc przy oknie ociekającym kroplami deszczu. W zamyśleniu obracałem klucze w palcach. Wydawało się to logiczne, musiałem jakoś dostać się do środka, skoro nie leciałem razem z Kate, a nasi gospodarze będą jeszcze w pracy, gdy dotrę na miejsce. Niemniej przekazanie mi tych kluczy uznałem za niezwykle gest — przecież w ogóle mnie nie znali. Kate też właściwie mnie nie знаła, mimo kilku rozmów i dwukrotnego pójścia do łóżka. Tak samo jak i ja nie znałem jej.

Wziąłem prysznic, po czym włożyłem luźne dzinsy i koszulę w biało-niebieskie paski. Usiadłem przy syntezatorze. Pisałem muzykę do sceny, w której Billy Wagner wsiada do powozu, a żegnający go Bakersfieldowie podrzucają kapelusze i machają chusteczkami.

Melodię tego kawałka oparłem na starej angielskiej pieśni z czasów wojen burskich, *Goodbye, Dolly Gray*.

- „Żegnaj, Dolly, zostawić cię muszę, choć serce me boleje...”.

Nie miałem pojęcia, dlaczego pisanie muzyki przychodziło mi teraz tak łatwo. Przedtem spłodzenie nawet kilku taktów zwykle zajmowało mi kilka godzin, a niekiedy całe dni, i nigdy nie czułem się usatysfakcjonowany. Zawsze byłem swoim najostrzejszym krytykiem, co czasami doprowadzało mnie do szału. Jednak tego ranka najwyraźniej miałem natchnienie. Prawdę mówiąc, szło mi tak dobrze, że prawie skończyłem ścieżkę dźwiękową, gdy zegar wybił południe, i wtedy przypomniałem sobie, że Victor Solway zaprosił mnie do siebie na wpół do dwunastej. Cholera! Uczesałem się, skropiłem wodą kolońską od Hugo Bossa i włożyłem mokasyny.

Otworzyłem drzwi i omal nie przewróciłem się o Małkin, która siedziała na progu. Kotka spojrzała na mnie i zamruczała głośno.

- O co chodzi, kiciu? Szpiegujesz mnie?

Małkin cofnęła się na drugi koniec podestu, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- A gdzie twoja pani? — zapytałem ją. — Przykro mi, nie mam już tuńczyka, ale kiedy pójdę na Carmine Street, przyniosę ci pysznego śmierdzącego miecznika, dobrze? Miecznika -śmierdzika.

Do kotów należy mówić tak, aby nas rozumiały.

Małkin przymknęła oczy, a ja ruszyłem na parter. Z mieszkania Solwayów dobiegły mnie śmiechy i głos Tony’ego Bennetta, który śpiewał *Are You Havin’ Any Fun*. Postanowiłem, że jeśli będę chciał się powiesić, nastawię właśnie ten utwór, zanim założę sobie pętlę na szyję i wykopię spod siebie krzesło.

Przed drzwiami Victora Solwaya zacząłem się zastanawiać, czy ta wizyta jest mi w ogóle potrzebna, ale po chwili doszedłem do wniosku, że powinienem nauczyć się przebywać wśród ludzi, nawet wśród takich, którzy uwielbiają Tony’ego Bennetta. Zapukałem.

Victor otworzył tak szybko, jakby czekał na mnie tuż za progiem. Miał na sobie koszulę w różową kratę i czerwone džinsy, tak ciasne, że jego penis musiał przypominać kiełbaskę koktajlową. Zaśmiał się szczekliwie i zawołał:

- O, Gideon! Nareszcie jesteś, już myślałem, że zapomniałeś, gdzie mieszkam!

Zaprosił mnie do środka i przedstawił swoim znajomym.

- Jack, Sadie, poznajcie mojego nowego sąsiada. Gideonie, to Jack Friendly, a to urocza Sadie!

Jack wstał i uściśnął moją rękę. Może i był przyjazny z nazwiska, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie przyjaznego z usposobienia. Miał jakieś czterdzieści lat i był niższy ode mnie, lecz pod jego czarną designerską marynarką i swetrem z golfem skrywała się wysportowana i doskonale umięśniona sylwetka. Wyglądał na faceta, który mógłby komuś solidnie przyłożyć, gdyby tylko chciał.

Miał czarne, pociągnięte żelazem i zaczesane do tyłu włosy i okrągłą twarz, jakby miał w sobie nieco azjatyckiej krwi. Jego mały spiczasty nos przypominał sokoli dziób. Na szyi nosił kilka srebrnych łańcuszków: na jednym wisiał ciężki krzyż ze srebra, na drugim kilka srebrnych jednodolarówek, a na kolejnym figurka jakiegoś stworzenia, chyba pawiana, o oczach z czerwonych kamieni.

- Victor powiedział mi, że piszesz muzykę — zaczął Jack. Miał zachrypnięty głos i mówił z akcentem, którego nie potrafiłem zlokalizować. — Znam jakieś twoje kawałki?

- Zupa pomidorowa Thom's? Babeczki Mamy MacReady z proszkiem do pieczenia?

Jack wbił we mnie wzrok. Jego oczy przypominały gładkie szare kamienie.

- To jakieś melodie do reklam?

- Zgadza się.

- Znam ten kawałek do zupy pomidorowej! — zawołała Sadie. — „Chodź, chodź, wzywa cię dom, w którym rodzinę i przyjaciół masz!”.

Jack odwrócił się do niej z wyrazem twarzy, który mówił: „Zamknij paszczę”.

- Ta piosenka jest śliczna! — oświadczyła Sadie. — Kiedy ją słyszę, zawsze mam ochotę zadzwonić do mamy!

- Po co? — zapytał Jack. — Twoja mama jest warzywem.

- No to tylko ja bym mówiła, i co z tego? I tak mam na to ochotę.

Była mniej więcej w moim wieku, ale wyglądała na przynajmniej o pięć lat starszą. Miała tlenione włosy z ciemnymi odrostami, spięte cyrkoniowymi klamerkami. Była bardzo ładna, choć sztuczna opalenizna, gruba warstwa tuszu na rzęsach i szkarłatna szminka nadawały jej wygląd taniej panienki. Miała na sobie jaskrawoniebieski sweter z głębokim dekoltem i dżinsy - chyba jeszcze ciaśniejsze niż dżinsy Victora. Sweter rozpychały piersi, dwa wielkie, wylewające się z wycięcia balony, upstrzone maleńkimi pieprzykami.

- Gideonie, czym się trujesz? — zapytał Victor. — Mam tajlandzką whisky, jeden z moich klientów przywiózł mi całą skrzynkę. Nie wiem, czy chciał mnie obrazić, czy mi schlebić... Ale za to mogę zrobić coś po tajsku.

- Napiłbym się białego wina — odparłem.

Victor podszedł do staromodnego kredensu. Za jego drzwiczkami krył się minibarek. Salon umeblowano kopiami klasycznych mebli — część z nich była bardzo wysokiej jakości i prawdopodobnie musiała kosztować niemal tyle samo co oryginały. Stała tam wielka empirowa leżanka, na której siedziała Sadie, a za stół służył duży rzeźbiony kufer z dębu, wokół którego ustawiono trzy masywne fotele. Wszystkie meble obito szkarłatnym brokatem. Nawet ściany były ciemnoczerwone — zdobiły je olejne obrazy w złoconych ramach, przedstawiające żaglowce, konie wyścigowe i pierwszych osadników w nieprzebytych lasach Wirginii Zachodniej.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić w tym mieszkaniu Kate, bo brakowało tu jakichkolwiek kobiecych akcentów. Jedyne kwiaty w salonie były zasuszone czerwone chryzantemy, stojące pod szklanym kloszem na kominku. W powietrzu nie czułem ani kobiecych perfum, ani potpourri, ani nawet zapachu odświeżacza.

- Chyba dobrze zarabiasz, pisząc muzykę, co? — powiedział Jack. — Takich mieszkań nie kupuje się za grosze.

- Poszczyło mi się.

- Jak Victorowi? No, jemu to naprawdę się poszczyło.

Victor akurat otwierał butelkę chardonnay Stag's Leap. Kiedy usłyszał, że Jack o nim mówi, przerwał i wycelował w niego palec, jakby mierzył z pistoletu. Na jego twarzy odmalowała się złość, ale w pierwszej chwili pomyślałem, że udaje.

Jack zaśmiał się ochryple i natychmiast zmienił temat.

- Obstawiasz na wyścigach konnych? — zapytał mnie. — Po południu na torze Belmont Park będzie startowała niezła szkapa. Nazywa się Move The Cat, ma numer dwadzieścia trzy, zakłady stoją piętnaście do jednego.

Pokręciłem głową.

- Postawiłem na gonitwy tylko trzy razy w życiu. Za pierwszym razem koń zrzucił dżokeja, za drugim pobiegł w przeciwną stronę, a za trzecim złamał nogę i trzeba było go uśpić na torze.

- Move The Cat — powtórzył Jack, jakby w ogóle nie słyszał, co powiedziałem.

Victor wręczył mi kielich z rżniętego kryształu, wypełniony po brzegi winem, po czym chwycił mnie za łokieć.

- Chodź, pokażę ci mieszkanie. Powinieneś zobaczyć, jak urządziłem sypialnię.

Wyprowadził mnie z salonu na korytarz. Na obu ścianach wisały zdjęcia Victora z piosenkarzami i gwiazdami telewizji. Na jednym z nich podawał rękę Fonzowi, na innym obejmował

zgarbionego siwego człowieka w okularach, wyglądającego jak Perry Como, a na kolejnym stał obok Mickey'a Rooney'ego, udając jego starego przyjaciela.

Otworzył drzwi do sypialni. Przepychem nie ustępowała salonowi: stało w niej wielkie łóżko ze spiralnymi kolumnkami, w oknach wisiały ciężkie ciemnobrązowe story z aksamitu, a jedną ze ścian zdobiło dziwaczne malowidło, przedstawiające grubą nagą kobietę dojącą kozę.

- Tego zawsze chciałem — powiedział. — Klasyki i przepychu. Nie mam czasu na minimalizm. Najadłem się go po uszy za młodu. Jedna kanapa, połamane krzesło i jedno łóżko na trzech. — Wciągnął powietrze i rozejrzał się po sypialni. — Luksus i przepych to mój styl.

- Przepychu tu rzeczywiście nie brakuje — przyznałem.

Victor objął mnie ramieniem. Szukałem wzrokiem zdjęć Kate, ale nie znalazłem żadnego. Wydało mi się to dziwne, zwłaszcza że w mieszkaniu było tak wiele zdjęć Victora.

- Gdy zaczynałem w nieruchomościach, bywałem w wielu luksusowych mieszkaniach — dodał Victor. — Niektóre były tak luksusowe, że wchodząc do nich, czułem, że mam na sobie tani garnitur, tanie buty... i że sam jestem tani. Kiedyś byłem w apartamencie na Upper East Side, z widokiem na Central Park, i czekałem w holu na kupca. Wszędzie posadzki i kolumny z brązowego marmuru. Był tam też marmurowy stół. Nie mógłbym go kupić nawet za całą moją roczną pensję. Jeden pieprzony stół! A w tym mieszkaniu było od groma takich stołów, krzeseł, kanap, regałów, łóżek, obrazów, posągów i Bóg wie czego jeszcze.

- Wiem, jak to jest — odparłem, mając nadzieję, że Victor przestanie podkreślać każdy element umeblowania bolesnym ściskaniem mojego ramienia. — Pierwsze mieszkanie miałem na Szesnastej Wschodniej. Było tak małe, że musiałem ubierać się na schodach przeciwpożarowych.

W końcu mnie puścił, podszedł do okna i wyjrzał na szare, zalane deszczem podwórko. Zauważyłem, że w skrzynce na kwiaty

rosną jaskrawożółte słoneczniki. Drżały pod uderzeniami strug wody i wydawały się rozmazane. Zastanawiałem się, czy to Kate je zasadziła.

- Obiecałem coś sobie - powiedział Victor. — Obiecałem sobie, że właśnie tak będę mieszkał. Chciałem mieć antyczne meble i mieszkać pod adresem tak prestiżowym, by nie musieć nikomu udowadniać, że mam klasę i majątek. Wiesz, o co mi chodzi? Majątek to nie tylko pieniądze, ale o wiele więcej. Pieniądze budzą zazdrość, lecz majątek budzi szacunek. Obiecałem sobie, że już nigdy więcej nie poczuję się, jakbym miał tani garnitur.

Odwrócił się od okna i po chwili dokończył:

- Chyba musiałeś czuć się podobnie.

- Hm... Nie do końca — odparłem. — Zarobiłem sporo na kilku utworach i chciałem przeprowadzić się w jakieś spokojne miejsce. Mój znajomy z CBS powiedział mi o tym mieszkaniu. Spodobało mi się, więc je kupiłem.

Victor popatrzył na mnie, uśmiechając się krzywo.

- Spontaniczny z ciebie gość. Nie bierzesz życia zbyt poważnie, ale to mi się podoba. Ja z kolei lubię się zabawić, jednak w głębi duszy jestem bardzo poważnym człowiekiem, możesz mi wierzyć. Bo widzisz, ty się dorobiłeś, plumkając na klawiszach... nie chcę cię obrazić, owszem, masz do tego talent... a ja musiałem wywalczyć sobie wszystko, co mam, kawałek po kawałku. Zapłaciłem za to krwawicą. Nie była to Iwo Jima, jednak w końcu zatknąłem swój sztandar na szczycie i nie pozwolę go zerwać żadnemu skurwielowi.

- Jasne — mruknąłem.

Pamiętałem, co Kate powiedziała mi na temat charakteru Victora. Nie przestraszyłem się go, ale wolałem nie nadeptywać mu na odcisk, na przykład mówiąc, że jego sypialnia wygląda jak dziewiętnastowieczny burdel, albo informując go, że lecę z jego żoną na dwa tygodnie do Sztokholmu.

ROZDZIAŁ 11

Opuściłem lotnisko Arlanda głównym wejściem, z torbą na ramieniu. Na zewnątrz padał śnieg. Nie był zbyt gęsty, ale wiał zimny wiatr, ciskając tumany wirujących płatków w twarze podróżnych.

Nic nie jest w stanie przygotować człowieka na spotkanie z przenikliwym chłodem szwedzkiego powietrza, zwłaszcza po dziewięciu godzinach lotu. Wydaje się, że wiatr wieje prosto z Arktyki. Lodowate podmuchy wyciskają łzy z oczu, sprawiają, że cieknie z nosa, i boleśnie szczypią w uszy.

Nic nie jest również w stanie przygotować człowieka na mrok, który panuje tam nawet o czternastej, ale przecież Sztokholm leży bliżej bieguna niż Moskwa. W Szwecji zima czasami rozpoczyna się już pod koniec września.

Ustawiłem się w kolejce na postoju taksówek. Po chwili wsiadłem do volvo i pojechaliśmy na południe drogą E4, w stronę centrum. W samochodzie śmierdziało papierosami i było tak gorąco, że musiałem rozpiąć płaszcz. Przez szybę widziałem zaśnieżone pola i sosnowe lasy, pośród których migały pojedyncze światła. W takim miejscu człowiek zastanawia się, jak ktoś może chcieć mieszkać tak daleko od cywilizacji, w mroku skandynawskiej zimy.

W końcu dojechaliśmy do przedmieść. Najpierw pojawiły się małe osiedla niewielkich szarych domków, a potem rozświetlone bloki mieszkalne i centra handlowe. Wjechaliśmy do centrum, pełnego estakad, zatłoczonych placów i ulic pełnych osiemnastowiecznych kamienic o wąskich frontonach.

- To Stare Miasto — poinformował mnie taksówkarz, gdy objeżdżaliśmy plac z fontanną z brązu. Wskazał palcem wysoki budynek z cegły, z wieżą podobną do latarni, stojący po drugiej stronie ciemnej, błyszczącej wody. — Tam jest ratusz miejski. To właśnie w nim zajmują się wszystkimi pierdołami — dodał i zaśmiał się rechotliwie.

Jechaliśmy Skeppsbron, szeroką ulicą nad zatoką. W dokach dostrzegłem trójmasztowe żaglowce, jachty i motorówki. Po drugiej stronie zatoki była migocząca światłami wyspa. Słaba poświata nad horyzontem oznaczała, że nadal jest dzień. Nigdy do tej pory nie czułem się tak daleko od domu.

Taksówkarz zawrócił i zaparkował przy czteropiętrowej kamienicy koloru ochry, z łukowatymi drzwiami wejściowymi i zdobnym wykuszem.

- Trzysta czterdzieści pięć kroner — powiedział. — Może pan chce zajrzeć do seksklubu?

Wyciągnąłem z portfela czterysta koron i wręczyłem je taksówkarzowi.

- Dzięki, ale nie.

- Klub Chat Noir przy Birger Jarlsgatan. Bardzo dobry, prawdziwy seks na żywo.

- Nie, naprawdę dziękuję.

- A może woli pan klub gejowski?

- Nie, dziękuję. Reszty nie trzeba.

- To może restauracja? Fem Små Hus przy Nygatan. Mają tam bardzo dobre mięso renifera w sosie z borówek.

Wysiadłem z taksówki i podszedłem do drzwi oznaczonych numerem 44. Wiodły do nich trzy wyślizgane stopnie, a same drzwi zrobiono z dziesięciu desek litego dębu, wyblakłego przez stulecia pod wpływem słońca i soli. Wisiała na nich kołatka z czarnego żelaza w kształcie uśmiechniętej paszczy trolla. Obok drzwi było pięć dzwonek, przy trzech z nich widniały zaśnieżone mosiężne tabliczki. Na tabliczce przy pierwszym piętrze, na którym mieszkali Westerlundowie, był napis: „B. Olofsson”. Może Westerlundowie po prostu nie zmienili tabliczki należącej do poprzednich właścicieli.

Zadzwoniłem i czekałem pod drzwiami. Zastanawiałem się, czemu taksówkarz jeszcze nie odjechał. Siedział w samochodzie z zapuszczonym silnikiem i obserwował mnie. Zadzwoniłem ponownie.

Już wiedziałem, czemu Kate dała mi klucze. Mimo ciemności na dworze było dopiero pięć po wpół do czwartej. Westerlundowie byli jeszcze w pracy, a ich córki w szkole. Wyciągnąłem oba klucze z kieszeni płaszcza, wybrałem większy i wszedłem do środka.

W wyłożonym kamiennymi płytami holu na parterze było mrocznawo i zimno. Znalazłem włącznik światła — kiedy go nacisnąłem, zapaliła się lampa z przejrzystym kloszem, wisząca pod sufitem. Przy ścianie korytarza stał stolik z wazonem kremowych róż i mosiężny stojak na listy. Na przeciwnej ścianie wisiało lustro w złoczonej ramie. Plamy starości upodabniały go do zapuszczonego stawu. Ujrzałem w nim swoje odbicie — byłem blady i zmęczony, a na mojej twarzy malowała się niepewność.

W holu wyczułem dziwny zapach, zupełnie inny niż w nowojorskich kamienicach: zapach starego budynku, kawy i czegoś jeszcze, jakby sera.

W cieniu po drugiej stronie dojrzałem spiralne schody z kamiennymi stopniami, prowadzące na piętro. Podniosłem torbę i już miałem wejść na górę, gdy ktoś głośno zapukał do frontowych drzwi. Postawiłem torbę na ziemi i otworzyłem je.

W progu stał taksówkarz z papierosem w ustach.

- O co chodzi? — zapytałem go.

Wypuścił dym nosem.

- Pan zostaje w tym domu?

- Tak. I nie chcę więcej słyszeć o żadnych seksklubach, klubach dla gejów ani o innych atrakcjach turystycznych.

- Wie pan, co się stało w tym domu?

- Nie, nie wiem, i nie obchodzi mnie to. Przepraszam pana, ale jestem bardzo zmęczony i chciałbym pójść na górę.

- Jeśli pan wie, co tu się stało, lepiej niech pan zatrzyma się w hotelu. Znam dobry hotel. Amaranten, przy Kungsholmsgatan. Załatwię najlepszy pokój, tanio.

- Bardzo dziękuję, ale nie — odparłem. — A teraz idź pan już, dobrze?

Chciał dodać coś jeszcze, ale w końcu wzruszył ramionami i wrócił do swojej taksówki. W połowie chodnika przystanął jednak i odwrócił się w moją stronę.

- Ostrzegałem pana, niech pan o tym pamięta! — zawołał.

- Dobra, dobra. Ostrzegałeś mnie. Ale teraz do widzenia.

Taksówkarz pokręcił głową, wsiadł do samochodu i odjechał. Jezu Chryste... A ja myślałem, że to nowojorscy taksówkarze są najbardziej namolni.

Zamknąłem drzwi frontowe, wziąłem swoją torbę i wszedłem po spiralnych schodach. Gdy dotarłem do połowy piętra, wyłączyło się światło na klatce. Otoczyły mnie kompletne ciemności. Ruszyłem pod górę, dotykając ramieniem ściany, i na podeście zrobiłem o jeden krok za dużo. Zatoczyłem się w ciemnościach i zderzyłem ze stolikiem, strącając coś na podłogę, chyba wazon.

Odstawiłem torbę i zacząłem obmacywać ścianę w poszukiwaniu włącznika. Kiedy wreszcie udało mi się go znaleźć, ujrzałem długi podest pokryty wąskim dywanem w kolorze musztardy. Okazało się, że strąciłem ze stolika wysoki miedziany wazon, rozrzucając po podłodze suche łądygi miesięcznicy. Pozbierałem je i ułożyłem w wazonie, a resztki zgarnąłem na dłoń i wrzuciłem do naczynia.

Na końcu podestu były szerokie czarne drzwi. Podeszedłem do nich i wyjąłem z kieszeni drugi klucz. Zamek otworzył się niemal bezgłośnie. Pchnąłem drzwi i ujrzałem korytarz oświetlony stojącą na stoliczku lampą z abażurem z zielonego i żółtego szkła, którą ktoś zostawił dla mojej wygody.

Wniosłem torbę do środka i musiałem przyznać, że Kate miała rację. Mieszkanie było ogromne i bardzo piękne. Sam hol był niemal tak wielki jak mój salon przy St Luke's Place. Miał okno z widokiem na zatokę, a na ścianie wisiał duży wyblakły gobelin, przedstawiający galeony na oceanie, morskie potwory i zachmurzone niebo.

Odchodzący w prawo od holu korytarz prowadził do przeszklonych drzwi o małych ośmiokątnych szybkach z żółtego szkła, za którymi ujrzałem salon z kilkorgiem innych drzwi.

W mieszkaniu było cicho i ciepło, lecz duszno. Zdjąłem płaszcz i przewiesiłem go przez oparcie rzeźbionego krzesła. Kate obiecała, że przyleci niedługo po mnie, i powiedziała, że mam się rozgościć, jednak mimo to czułem się jak intruz. Srebrny zegar wybił kwadrans po czwartej, wygrywając skomplikowaną melodyjkę.

Otworzyłem szerzej przeszklone drzwi i wszedłem do salonu. Na stole paliły się trzy lampy, więc poczułem się nieco milej widziany. Pomieszczenie miało przynajmniej dwanaście metrów długości i kończyło się wykuszem z oknami po obu stronach. Był tu również ogromny kamienny kominek. Stały tam też trzy spore kanapy z jasnego skandynawskiego dębu. Miały złoto-niebieskie obicia, jakby nigdy nie należały do szwedzkiej szlachty. Między dwiema z nich ustawiono orzechowy stolik z blatem -szachownicą, na którym rozstawione były pionki. Gracze najwyraźniej zbliżali się do końca partii. Podniosłem czerwonego gońca. Z nieznanego powodu zakrywał sobie oczy — albo w geście rozpacz, albo jakby nie chciał mnie widzieć.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, powąłęsałem się po mieszkaniu, otwierając różne drzwi i zaglądając do innych pomieszczeń. Najpierw trafiłem na garderobę, wypełnioną przynajmniej tuzinem płaszczy i ocieplanych kurtek, wśród których wisiały również trzy długie czarne futra; w kącie stało kilkanaście lasek i dwie pary rakiet śnieżnych. Za kolejnymi drzwiami był schowek ze środkami czystości, pachnący pastą do drewna. Potem odkryłem łazienkę, gdzie ujrzałem przypominający tron sedes z mahoniową deską i okno z witrażowymi szybami w kolorze sepii. Rezerwuar bulgotał cicho, z kranu kapła woda.

Za piątymi drzwiami znalazłem kuchnię, wyłożoną od góry do dołu niebieskimi i białymi kafelkami. Wzdłuż ściany po lewej stronie ciągnął się blat z nierdzewnej stali z błyszczącą mosiężną poręczą, jak w starej lokomotywie linii Central Pacific. Był niemal tak długi jak lokomotywa. Pod sufitem wisiało mnóstwo sit, chochli i patelni, a na

wielkim dębowym kredensie stały staromodne przyrządy kuchenne, których przeznaczenia nawet nie usiłowałem odgadywać.

Wziąłem jeden z nich do ręki. Wyglądał jak dzbanek parzenia kawy, ale miał dziwny uchwyt z dwoma przegubami. Poruszyłem nim parę razy, próbując się domyślić, do czego służy. Ustrojstwo zapisało, jednak nadal nie miałem pojęcia co się nim robi. Może sieka się kapustę albo ubija jogurt? Poruszałem uchwytem coraz szybciej, ale nagle usłyszałem płacz dziecka. Przestałem bawić się dziwnym dzbankiem i zacząłem nasłuchiwać. Po chwili ciszy znów dobiegło mnie łkanie — był to wysoki płacz dziewczynki.

Odstawiłem urządzenie na miejsce i podszedłem do drzwi kuchennych. Jakieś dziecko mówiło coś, rozpaczliwie łkając, ale nie rozumiałem słów. Głos dobiegał z końca korytarza, zza uchylonych drzwi. W szparze ujrzałem migoczące światełko przypominające światło świeczki.

Spokojnie, kolego, pomyślałem. Jeśli tu jest mała dziewczynka, musisz być ostrożny, zwłaszcza jeśli wpadła w histerię.

Podszedłem do drzwi, zza których dochodził płacz, i zapukałem.

- Halo? Nazywam się Gideon — powiedziałem. — Twój rodzice zaprosili mnie tu na tydzień. Czy coś się stało?

Płacz ucichł, ale nikt mi nie odpowiedział. Znów zastukałem do drzwi.

- Czy coś ci się stało? Usłyszałem twój płacz i...

Cisza. Biedactwo pewnie nie rozumiało ani słowa po angielsku i siedziało w pokoju sparaliżowane strachem. Bardzo powoli uchyliłem drzwi i powiedziałem:

- Nic ci nie grozi... Jestem znajomym twoich rodziców. Nie zrobię ci krzywdy.

W pokoju stało staromodne drewniane łóżko z wysokim wezglowiem, nakryte patchworkową narzutą. Na drewnianej skrzyni przy łóżku siedziały dziesiątki lalek, wśród których przeważały uszyte w domu szmacianki. W szklanej misie dopalała się świeca.

Na łóżku leżał szafirowy szlafrok, lecz nie było tu ani jego właścicielki, ani innych osób. Nie zobaczyłem też płaczącej dziewczynki.

Przykucnąłem i zajrzałem pod łóżko, ale tam też nikogo nie zobaczyłem. Podeszedłem do szafy. Po chwili wahania otworzyłem ją — jednak nikogo w niej nie znalazłem.

Jeśli płacząca dziewczynka była w sypialni przed moim przyjściem, musiała opuścić ją przez okno. Podeszedłem do niego. Zamknięto je od środka, a zewnętrzny parapet miał tylko kilkanaście centymetrów szerokości. Ściana domu opadała prosto w dół ku wąziutkiemu zaułkowi i nie było na niej niczego, co umożliwiałoby zejście. Dziewięć metrów niżej widziałem przechodniów w wełnianych czapkach i szalikach. Na dworze zrobiło się już ciemno i było coraz zimniej.

Przed wyjściem z sypialni zdmuchnąłem świecę, po czym wróciłem do salonu. Chciałem poczekać na Kate przy telewizorze. Pomyślałem, że może uda mi się obejrzeć szwedzkie wiadomości i nauczyć się kilku słów. Na lotnisku w Newark kupiłem szwedzkie rozmówki i próbowałem nauczyć się takich zwrotów jak „Dzień dobry”, „Dobry wieczór” lub „Gdzie mogą mnie wysmagać brzozowymi witkami?”. Jednak gdy stanąłem na szwedzkiej ziemi, okazało się, że Szwedzi wymawiają słowa zupełnie inaczej, niż je piszą. Kiedy na Arlandzie zapytałem celniczkę: „*Talar du engelska?*”, odpowiedziała mi chłodno: „Przepraszam, ale nie znam greckiego”.

Wróciłem do kuchni i zacząłem szukać piwa. Westerlundowie na pewno nie pożałowaliby mi jednej flaszki prippsa. W rogu stała ogromna staroświecka lodówka Electrolux, jednak była zupełnie pusta. Nie znalazłem w niej nawet butelki wody mineralnej.

Rzuciłem okiem na zegarek, zastanawiając się, czy nie powinienem poszukać jakiegoś baru, ale po chwili doszedłem do wniosku, że mam za mało czasu — w każdej chwili mogła pojawić się Kate. Poza tym nie bardzo miałem ochotę pić sam w obcym mieście.

Wydawało mi się dziwne, że Westerlundowie nie mieli nic w lodówce. Nawet ludzie, którzy codziennie jadają na mieście, mają

przecież coś w lodówkach, choćby nieświeże pomidory i trójkącik spleśniałego serka topionego.

Poprzestałem na kubku wody z kuchennego kranu. Była tak zimna, że ścierpły mi zęby. Potem wróciłem do salonu.

Kiedy przekroczyłem jego próg, zamarłem. Przy orzechowym stoliku siedziały dwie dziewczynki i grały w szachy.

ROZDZIAŁ 12

Obie były blondynkami, ale jedna miała nieco ciemniejsze włosy i wyglądała na jedenaście lat, natomiast druga na dziewięć. Starsza była ubrana w dżinsy i szkarłatny sweter, a młodsza w granatową sukienkę z wełny i tego samego koloru rajstopy z dzianiny.

- Cześć — powiedziałem, lecz mnie nie usłyszały.

Podszedłem do samego stolika.

- Cześć. Jestem Gideon. Przyjechałem tu na kilka dni. Jednak obie dziewczynki chyba nadal mnie nie słyszały.

Nawet na mnie nie spojrzały. Zacząłem podejrzewać, że w ogóle mnie nie widzą. W końcu zapytałem:

- Która z was to Felicia?

Młodsza podniosła głowę i spojrzała na mnie. Była bardzo blada, miała włosy obcięte na pazia i bladoniebieskie oczy, teraz przekrwione i podpuchnięte. Pewnie to ona płakała.

- Felicia to ja — powiedziała.

- A ty to Elsa, tak?

Druga dziewczynka również uniosła głowę. Jej włosy były zaplecione w wymyślne warkocze, jakby przygotowała się do roli w jakiejś skandynawskiej operze o trollach, bogach i wikingach w rogatych hełmach. Była bardzo ładna — miała wysokie czoło, szeroko rozstawione oczy i uroczo nadąsaną minę. Pomyślałem, że za kilka lat mężczyźni na jej widok zaczną wpadać na latarnie.

- Nie wiedziałam, że będziemy mieli gości — oświadczyła, jej angielski był niemal doskonały, choć szwedzki akcent sprawił, że niektóre słowa brzmiały, jakby jednocześnie piła koktajl mleczny.

- Nikt was nie uprzedził? — zapytałem ze zdziwieniem.

- *Nej* — odpowiedziały jednym głosem, kręcąc głowami.

- To niedobrze. Nie wiem jak wy, ale ja nie lubię niespodzianek. Zwłaszcza w postaci obcych mężczyzn zjawiających się w moim domu bez uprzedzenia.

- Ja też tego nie lubię — przyznała Elsa, spoglądając na mnie z ukosa.

Z jakiegoś powodu przez chwilę wydawała mi się podobna do Kate.

Postanowiłem zmienić temat.

- Lubisz muzykę? — zapytałem.

- Ja bardzo — wtrąciła Felicia. — W szkole dostałam nagrodę w konkursie muzycznym. Zaśpiewałam *Ack Vär- meland Du Sköna* i wygrałam dziesięć kuponów na płyty kompaktowe.

- I natychmiast wymieniłaś je na dwie lalki Barbie i domek dla nich — prychnęła Elsa.

- Co w tym złego? — zapytała Felicia.

- To, że Barbie daje zły przykład — oświadczyła jej siostra.

Popatrzyłem na nią.

- Zły przykład? Chodzi ci o jej szmirowate ubranka, złote miniówki i srebrne botki na obcasach?

- Nie. O to, że Barbie obchodzą tylko dobra materialne: dom, samochód, rolki. Barbie nie jest uduchowiona — odparła Elsa.

Wydała mi się bardzo dojrzała jak na jedenastolatkę, ale w końcu była Szwedką, nie Amerykanką.

- Przecież Barbie to tylko lalka — zauważyłem. — Nawet nie ma mózgu.

- Tak jak Elsa — stwierdziła Felicia i zachichotała, wskazując palcem siostrę.

- Cieszę się, że lubisz muzykę — powiedziałem. — Ja piszę muzykę, to mój zawód. Może dziś wieczorem zagram, a wy zaśpiewacie? Mógłbym nauczyć was nowych piosenek.

- Czy znasz jakieś piosenki o ludziach, którzy się zgubili i nie wiedzą, jak odnaleźć właściwą drogę? — zapytała Elsa.

Obrzuciłem ją badawczym spojrzeniem, próbując zrozumieć, o co jej chodzi.

- Nie wiem... Znam *Whiffenpoof Song*: „Jesteśmy trzema owieczkami, zgubiłyśmy się, mee, mee, mee!”.

Felicia znów się roześmiała, lecz Elsa nadal była poważna.

- Chodziło mi o takie piosenki, które zagubieni mogą zaśpiewać, by ci, którzy o nich pamiętają, usłyszeli ich i wiedzieli, że nie odeszli na zawsze — powiedziała.

- Przykro mi, Elso, ale nie znam takiej piosenki.

Spojrzała na szachownicę. Pomyślałem, że chyba ją czymś zdenerwowałem.

- Kto wygrywa? — zapytałem.

- Nikt.

- Jak to?

- Nikt nie wygrywa, bo nigdy nie mamy czasu, żeby skończyć grę.

- Ale ty i tak oszukujesz — oświadczyła Felicia, oskarżycielsko patrząc na siostrę. — Kiedy idę do łazienki, Elsa zawsze chowa moje krewetki.

- Pionki — poprawiła ją Elsa głosem tak znużonym, jakby robiła to po raz setny. — Krewetki to po szwedzku räka.

Przez chwilę milczałem. Miałem ochotę położyć dłoń na jej małej rączce, by ją pocieszyć, ale chyba nie byłby to dobry pomysł. Zamiast tego zapytałem tylko:

- Czy to Felicia płakała przed chwilą?

Elsa pokręciła głową.

- Nie. Teraz już w ogóle nie płaczemy — odparła.

- Nigdy? Czemu? Czasami dobrze jest sobie głośno popłakać. Ja robię to bardzo często.

- Naprawdę? — zdziwiła się Felicia.

- Jasne. Kiedy wprowadziłem się do nowego mieszkania i upuściłem sobie skrzynię na stopę, wyłem jak potępieniec!

Felicia zachichotała, lecz Elsa spojrzała na mnie i stwierdziła:

- Kłamiesz.

- Masz rację. Ale czasami trzeba kłamać, by stawić czoło prawdzie.

- Tak myślisz?

- Owszem, tak właśnie myślę. I wiesz co, Elsa? Napiszę dla ciebie piosenkę o ludziach, którzy się zgubili i nie mogą odnaleźć drogi. Pomyśl o mnie, gdy będziesz ją śpiewała, a kiedy ją usłyszę, będę wiedział, że jesteś w pobliżu. W porządku, panno Lalo?

Wreszcie udało mi się ją rozśmieszyć. Śmiała się w uroczy sposób, przyciskając palce do warg, jakby chciała wepchnąć śmiech z powrotem do ust.

- Szach — oświadczyła Felicia, przesuwając królową o dwa pola.

- I to ja oszukuję? — zaprotestowała Elsa. — Twojej królowej wcale tam przedtem nie było!

- Oczywiście, że była! Tak to jest, jak się nie patrzy na szachownicę!

Gdy się sprzeczały, usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi do mieszkania, i po chwili usłyszałem głos Kate:

- Cześć! Gideonie, jesteś tam?

- Przepraszam was, dziewczynki — powiedziałem i wyszedłem na korytarz.

Była tam Kate, ubrana w sięgające do kostek futro ze srebrnego lisa i uszankę. Miała zaróżowione od mrozu policzki.

- Wyglądasz jak Lara z *Doktora Żywago!* — zawołałem na jej widok.

- Przepraszam, że trwało to tak długo — powiedziała z uśmiechem Kate i pocałowała mnie zimnymi ustami. — Musieliśmy pojechać na Stortorget po prowiant, inaczej nie byłoby dziś kolacji!

Ściągnęła czarne skórzane rękawiczki i odwróciła się, a wtedy za drzwiami dostrzegłem więcej osób, trzymających torby z zakupami w dłoniach. Zobaczyłem brodacza w długim czarnym płaszczu, kobietę w czerwonej puchowej kurtce i czarnych legginsach oraz dwie dziewczynki — jedną w niebieskiej, a drugą w żółtej kurtce. Obie chichotały.

Światło z korytarza znajdowało się za ich plecami, więc rozpoznałem chichoczące dziewczynki dopiero wtedy, gdy cała czwórka weszła do mieszkania. Poczułem się, jakbym nagle znalazł się w windzie, która spadła piętnaście pięter w dół.

To były Elsa i Felicia. Obie miały nauszники, ale wyraźne widziałem warkocze Elsy i obcięte na pazia proste włosy Felicii.

W osłupieniu popatrzyłem na Kate, lecz ona najwyraźniej niczego dziwnego w tym nie widziała, bo jakby nigdy nic przystąpiła do prezentacji:

- Gideonie, oto doktor Axel Westerlund oraz jego żona Tilda i córki, Elsa i Felicia. A to Gideon, mój przyjaciel z Nowego Jorku.

Doktor Westerlund zdjął rękawiczkę i podał mi rękę. Jego brodę znaczyły siwe pasma, przydając mu lat, choć nie mógł mieć więcej niż trzydzieści osiem. Miał szeroką przystojną twarz, szare krzaczaste brwi i głęboko osadzone zielone oczy. Elsa była do niego bardzo podobna.

- Hej, Gideonie! — powiedział, witając mnie mocnym uściskiem dłoni. — Kate sporo nam o tobie opowiadała.

- Naprawdę? — wymamrotałem, nie mogąc wydusić z siebie nic więcej.

- Jesteś kompozytorem, prawda? Podobno piszesz piękną muzykę.

- Prawie piękną - poprawiła go Kate. — Nie można pisać pięknej muzyki do reklamy fasolki w sosie pomidorowym.

Chciałem się odwrócić, by zajrzeć do salonu, lecz Axel chwycił mnie za ramię i oświadczył:

- To jest Tilda, moja żona. Pracuje w szpitalu St Goran, w klinice paliatywnej.

- Witaj w Sztokholmie, Gideonie — powiedziała z uśmiechem Tilda.

Była drobną, bladą blondynką, podobnie jak Felicia. Miała nieco zbyt długi nos, ale za to oczy miała wielkie i hipnotyzujące. Przypominały dwa ciemne stawy, w których łatwo utonąć.

- Pracujesz w klinice paliatywnej? — powtórzyłem. - Już sama nazwa boli...

- Ta praca to dla mnie najważniejsza rzecz na świecie — odparła poważnym tonem. — Łagodzę bóle śmiertelnie chorych ludzi.

Miałem ochotę napluć sobie w brodę za swoją nonszalancję ale z trudem mogłem się skupić na czymś innym poza Elszą i Felicią. Przecież przed chwilą widziałem, jak grały w szachy w salonie, a teraz zobaczyłem je na progu mieszkania, wracające z zakupów. Było to tak absurdalne, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie śnię. Może nadal siedziałem na pokładzie odrzutowca SAS, gdzieś wysoko nad Arktyką, i chrapałem, opierając głowę o ramię pasażera obok?

- To jest Elsa — powiedziała Tilda. — A to Felicia, jej młodsza siostra.

Ucałowałem dłoń każdej z nich.

- Miło mi poznać tak urocze młode damy - oświadczyłem. Ich dłonie były ciepłe, bo jeszcze przed chwilą miały na nich rękawiczki. Czuję je, więc nie mogły być sennymi zwidami.

Kate zdjęła płaszcz i znów mnie uściskała.

- Cieszę się, że cię widzę. Jak się leciało?

- Świetnie, bardzo wygodnie. Podali nawet kawior. A ty kiedy przyleciałaś?

Kate znów mnie pocałowała.

- Tilda zrobi na kolację klopsy według własnego przepisu. Mam nadzieję, że jesteś głodny! Czy pomógłbyś mi zanieść zakupy do kuchni?

Wziąłem torbę i podążyłem za Kate długim korytarzem. Po drodze zajrzałem do salonu. Elsy ani Felicii nie było, pokój by pusty. Pionki stały na szachownicy dokładnie w tych samych miejscach co wtedy, gdy wszedłem do mieszkania.

- O co chodzi? — zapytała Kate. — Coś się stało? Masz okropnie poważną minę.

- Zawsze taką mam. To moja standardowa mina.

Axel powiesił kurtki i płaszcze w garderobie, a Tilda i Kate zaczęły rozpakowywać zakupy w kuchni. Elsa i Felicia pobiegły do swoich pokoi, śmiejąc się i szczebiocząc coś po szwedzku. Żałowałem, że nie rozumiem, co do siebie mówią.

- Chcesz się czegoś napić? — zapytał mnie Axel, wchodząc do kuchni.

- Jasne. Z chęcią spróbowałbym szwedzkiego piwa.

- Niestety, mam tylko fińskie, lapin kulta. Szwedzi wolą fińskie piwo, Finowie piwo norweskie, a Norwegowie najchętniej kupują piwo z Estonii.

Kate i Tilda wyjęły z toreb mielonkę wołową wędzoną rybę i czerwone brokuły. Położyłem dłoń na ramieniu Kate i pocałowałem ją. Bardzo ucieszył mnie jej widok, nawet nie wiedziałem, że będę za nią tak tęsknił. Ale jej przybycie uczyniło realnym wydarzenie, które nie mogło być prawdziwe. Westerlundowie mieli tylko dwójkę dzieci, więc z kim rozmawiałem w salonie?

- Kate mówiła mi, że macie niesamowite mieszkanie — powiedziałem do Axela, gdy podał mi szklankę piwa. — Miała rację, jeszcze nie widziałem niczego tak wspaniałego.

- To mieszkanie należy do rodziny Westerlundów od ponad stu trzydziestu lat — odparł Axel. — Przechodzi z pokolenia na pokolenie. Mamy mnóstwo zdjęć naszych dziadków i pradziadków,

siedzących w oknie i spoglądających na zatokę Norrstrom. Ja też mam takie zdjęcie, w mundurku marynarskim, gdy byłem dzieckiem.

Zaprowadził mnie do salonu. Z wielkiego mosiężnego kosza przy kominku wyjął kilka kawałków drewna i ułożył je w palenisku. Potem ze stojaka na gazety wyciągnął egzemplarz „Dagens Nyheter:”, zmiażdżył go i wepchnął pod polana.

- Felicia jest bardzo uzdolniona muzycznie, prawda? — powiedziałem, gdy szukał zapalek po kieszeniach.

- Felicia? A tak, wygrała nagrodę na konkursie muzycznym w szkole.

Upiłem łyk piwa. Pomyślałem, że następne pytanie będę musiał zadać bardzo ostrożnie. Piwo smakowało jak rozwodniony budweiser albo nawet jak rozwodniona woda.

- Długo już znasz Kate? — zapytałem.

- Kate? Hm, od jakiegoś czasu — odparł Axel, po czym potarł zapalką o draskę i podpalił wystającą spod drewna gazetę.

- Zastanawiałem się, dlaczego mnie do was zaprosiła.

W salonie zapadła cisza. Axel wstał i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w palenisko. W jego oczach tańczyło odbicie płomieni.

- Jesteś jej przyjacielem, ja? — odezwał się w końcu.

- Tak. Co prawda dość świeżym, ale za to bardzo dobrym. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Axel usiadł w dużym fotelu naprzeciw mnie. Wodził palcami po liściach dębu, wyrzeźbionych na oparciach mebla. Suche kłody w kominku poczęły trzeszczeć i strzelać iskrami, które pomknęły w głąb komina.

- Masz rodzinę? — zapytał w końcu. — Masz dzieci?

- Nie. Ale chyba mam jeszcze na to sporo czasu.

- Kiedy będziesz miał własne dzieci, być może zrozumiesz, do jakich poświęceń człowiek jest zdolny, by je ochronić.

Czekałem, aż wyjaśni, co miał na myśli, lecz nie zrobił tego.

- Smakuje ci piwo? — zapytał.

Uniosłem szklankę w górę.

- Jest świetne. Nigdy takiego nie piłem.

- Tylko uważaj, nie chcemy zbierać cię z podłogi — ostrzegł mnie Axel.

Ogień zapłonął mocniej. Jedno z polan zaczęło syczeć jak astmatyk usiłujący złapać oddech.

- Nadal nie wyjaśniłeś mi, czemu Kate mnie tutaj zaprosiła — powiedziałem.

Po raz pierwszy od chwili, gdy rozpałił w kominku, spojrzał mi prosto w oczy.

- Sam musisz zobaczyć, co się stało. Inaczej się nie da. Nie mogę ci tego wyjaśnić. Nie mogę oskarżać — oświadczył.

- Oskarżać? Nie rozumiem... Kogo oskarżać? I o co?

Jednak zanim Axel zdążył odpowiedzieć na moje pytanie, do salonu weszła Kate z dziewczynkami. Córki Axela i Tildy były teraz ubrane inaczej niż przedtem: Elsa miała na sobie szkarłatny sweter i krótką spódniczkę z denimu, a Felicia cienki niebieski sweter i dżinsy. Felicia żuła kołnierzyk sweterka, jak to zwykle czynią dzieci.

- Kolacja będzie niedługo gotowa — oznajmiła Kate, sadowiac się na poręczy fotela, na którym siedziałem. Przesunęła palcami po mojej potylicy i zapytała: — Jak się dogadujecie?

- Szukamy wspólnych tematów — odparłem. — Ginekologia i komponowanie piosenek nie są sobie bliskie. No, chyba że zaśpiewasz nam *Yes, Sir, She's My Baby* — zażartowałem.

Próbowałem wprowadzić weselszy nastrój, jednak Axel najwyraźniej nie zrozumiał mojego dowcipu.

- Elsa, Felicia, nakryjcie stół w jadalni — polecił córkom.

- Którymi podkładkami, tato?

- Wszystko jedno.

Gdy dziewczynki zniknęły, usiadłem z Kate i Axelem bliżej kominka. Zastanawiałem się, jak im powiedzieć, że rozmawiałem z Elszą i Felicią w salonie, zanim przyszły do domu. Ale Axel mówił o ochronie dzieci tak śmiertelnie poważnie, że pewnie raczej by go to zirykowało, niż rozbawiło. Poza tym nie byłem pewien, czy naprawdę widziałem jego córki. Może ze zmęczenia doświadczyłem jakiegoś *deja vu*? W Sztokholmie była teraz szesnasta, a w Nowym Jorku dopiero dziesiąta rano.

- No, Gideonie! Dziś wieczorem musisz nam zagrać i zaśpiewać coś swojego — oświadczył Axel.

- Oczywiście. Obiecałem Elsie, że napiszę dla niej piosenkę.

Axel spojrzał na mnie zdumiony.

- Naprawdę? Kiedy jej to obiecałeś?

O w mordę.

- No... wtedy, gdy dowiedziałem się, że masz dwie córki.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Gideonie. Z chęcią jej posłuchamy.

Kate ujęła moją dłoń i uśmiechnęła się do mnie. Może wiedziała, co tu się dzieje, ale ja nie miałem pojęcia.



Wieczorny posiłek i rozmowy przy nim prowadzone przypominały *Grę snów* Augusta Strindberga. Sztuka opowiada o dziewczynce, która przybywa z innego świata, by się dowiedzieć, czy życie na Ziemi naprawdę jest tak trudne, jak się ludziom wydaje. Bohaterowie ciągle zmieniają swoją osobowość, łączą się ze sobą i prowadzą dziwne dialogi: „Kto mieszka w tej wieży?”. — „Nie pamiętam. Chyba jakiś więzień, który chce, żebym go uwolnił”.

Innymi słowy, jest to sztuka, w której nie wiesz, o co chodzi, i oglądając ją marzysz o powrocie do domu na kolejny odcinek *Simpsonów*.

Niemniej kolacja była bardzo smaczna, a w jadalni panował nastrojowy mrok, bo Axel zapalił tylko dwa pięcioramienne świece. Szkła i sztućce błyszcząły w ich blasku, obrus lśnił bielą a wokół panowały ciemności. Przypominało to bardziej seans spirytystyczny niż kolację.

- Tildo, jesteś najlepszą kucharką, jaką znam — oświadczyłem, nabijając na widelec kolejny kęs. — Te klopsiki są naprawdę wspaniałe.

- Brakuje mi czasu, by je robić — wyznała.

- Nie robisz ich zbyt często? Gdybym ja potrafił takie ugotować, jadłbym je codziennie na śniadanie, obiad i kolację.

Wzruszyła ramionami.

- To dobry posiłek dla całej rodziny, gdy wszyscy są razem.

- Rodzinę też masz wspaniałą. A twoje córki są bardzo ładne.

Elsa i Felicia znów zachichotały, jednak Axel odwrócił wzrok i zmarszczył brwi, jakby wypatrzył w mroku coś, co mu się nie spodobało.

Kate chwyciła moją dłoń:

- Cieszysz się, że przyjechałeś?

- Oczywiście. Przepraszam, że jestem taki apatyczny. Nie wiem, skąd ty masz tyle energii. Przyleciałaś wczoraj?

Pochyliła się i cmoknęła mnie w policzek.

- Chyba wystarczy ci sił, by zagrać coś dla nas? Uwielbiam Zegar z jedną wskazówką.

- No pewnie, zagram tę melodię dla ciebie. A Elsie obiecałem piosenkę specjalnie dla niej.

Dziewczynka uśmiechnęła się radośnie. Jej oczy błyszczały w blasku świec. Tilda również się uśmiechnęła. Jednak Axel wciąż wpatrywał się w ciemny róg jadalni. Nie wiem, czemu się tak intensywnie przyglądał, bo było tam tylko krzesło z wysokim oparciem i obraz przedstawiający latarnię morską nad jasnoszarą tonią oceanu.



W salonie, między dwoma oknami, stało pianino Malmsjo. Usiadłem, otworzyłem je i zagrałem kilka taktów. Było nieco rozstrojone i miało krzyżowy układ strun, ale miało też piękne brzmienie — idealne do Zegara z jedną wskazówką i sentymentalnej piosenki o ludziach, którzy się zgubili i nie mogą odnaleźć właściwej drogi.

Kate usiadła obok mnie przy pianinie, a Tilda i dziewczynki zajęły jedną z sof. Axel stał przy ciemnym oknie, spoglądając na światła zatoki. Od kolacji prawie się nie odzywał i wyglądał, jakby coś go bardzo niepokoiło.

Znów poczułem natchnienie. Moje palce wygrywały muzykę tak doskonałą i wzruszającą, że aż nie mogłem uwierzyć, iż to ja sam ją ułożyłem. Melodię do piosenki dla Elsy wzięłem z mojego utworu do reklamy mrożonych placków kukurydzianych z mięsem, Mother Kretchmer's. Melodia ta, oprócz zachęcania do kupna mrożonych placków, podnosiła ducha i budziła nadzieję.

- Zatytułowałem tę piosenkę Drzewo drogowskaz — powiedziałem i zagrałem łagodny, powolny wstęp. — Napisałem ją specjalnie dla uroczej dziewczynki, którą poznałem w Sztokholmie... Zapamiętam ją, bo ma piękny uśmiech i uroczo się śmieje... oraz dlatego, że jej siostra zawsze chowa przed nią „krewetki” — dodałem i zacząłem śpiewać: — „Nie wiem, jak to się stało, błędzić nie zamierzałem, lecz kiedy szedłem przez las, od drogi wciąż się oddalałem...”.

- Oj, Gideonie, to takie smutne — jęknęła Kate.

- I tak ma być. Słuchaj dalej: „Wyszedłem na polanę i ujrzałem drzewo, co mój dom wskazywało, a skowronek zaśpiewał mi: »Drzewo drogowskaz kierunek ci wskaże i leśnym traktem poprowadzi cię. I mimo iż las jest gęsty, gdy tylko zgubisz się, zawsze znajdziesz drzewo drogowskaz, które pomoże ci odnaleźć się«”.

Zagrałem jeszcze kilka taktów, po czym odwróciłem się od pianina.

- I jak ci się podoba? — spytałem Elbę.

Jednak to Axel odpowiedział na moje pytanie.

- Nie ma takiego drzewa — stwierdził. — Kiedy człowiek się zgubi, nigdy nie znajdzie drogi z powrotem.

- Przecież to tylko piosenka.

- Owszem, ale piosenki przynoszą nadzieję. Nawet wtedy, gdy jej nie ma.

- Wybacz, Axel. Nie chciałem cię zdenerwować. Jeśli znasz jakieś smutne szwedzkie piosenki o ludziach, którzy się zgubili i nigdy nie odnaleźli drogi do domu, mogę je dla ciebie zagrać.

- A mnie się podobała ta piosenka — oświadczyła Elsa. — I uważam, że drzewo drogowskaz naprawdę istnieje.

- Bzdury — odparł Axel. — Poza tym jest późno. Już od godziny powinniście być w łóżkach.

- Dlaczego? — zaprotestowała Elsa.

- Dlatego, że jestem waszym ojcem i musicie mnie słuchać.

- Co mi zrobisz, jeśli odmówię?

- Dobrze wiesz — warknął Axel, który nagle wpadł w taką wściekłość, że wprost nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Sapał ze złości i co chwila przekrzywiał głowę, jakby miał skurcze szyi. — Chodzi o naszą rodzinę. O twoją matkę i siostrę. Chcesz, żeby zawsze cierpiały? Czy sama też chcesz już zawsze cierpieć?

Kate podniosła się, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Axel, nie denerwuj się tak. Proszę cię... Wszystko będzie dobrze, po prostu musisz być cierpliwy.

Szwed opuścił głowę, lecz nadal dyszał ciężko, jakby przed chwilą wbiegł na trzecie piętro.

- Mam być cierpliwy? Nie potrafię już dłużej czekać. Tilda również podeszła do niego i powiedziała uspokajająco

po szwedzku:

- *Du må inte oro så mycket... vi all älska du... flikama och jag.*

- Wiem — odparł Axel i poklepał ją po dłoni. — Ale po prostu czasami myślę, że to już nigdy się nie skończy.

ROZDZIAŁ 13

Dobrze po dwudziestej trzeciej usłyszeliśmy, jak Axel i Tilda się kłóć. Ściany mieszkania były grube, więc dało się rozróżnić jedynie przytłumione krzyki. Po jakichś dziesięciu minutach drzwi do ich sypialni otworzyły się z hukiem i usłyszeliśmy, jak Axel woła:

- *Vill du tro på vad hon saga? Jag inte!*

Zaraz potem drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Zrozumiałaś, co on mówił? — zapytałem Kate.

- Pytał Tildę, czy wierzy w to wszystko, co im mówię, bo on nie wierzy.

- A co im mówiłaś?

- Żeby nie tracili nadziei.

- Ale dlaczego? I co tak wkurza Axela? Przecież chyba są szczęśliwą rodziną?

- W tym cały kłopot...

Siedziałem w łóżku i patrzyłem, jak Kate rozczesuje włosy przed lustrami toaletki. Widziałem trzy Kate, a właściwie cztery, razem z nią samą. Miała na sobie koszulę nocną z koronkowym kołnierzykiem. Wyglądała w niej bardzo młodo i tak zachwycająco jak jeszcze nigdy przedtem.

Axel i Tilda dali nam wielką mroczną sypialnię. Stało w niej ogromne łóżo z kolumnkami i zielonym baldachimem oraz kanapa wielkości łodzi wikingów, zarzucona poduchami. Do sypialni przylegała oddzielna łazienka, przypominająca katedrę wyłożoną białymi i zielonymi kafelkami. Wykąpałem się razem z Kate w wannie, w sosnowym płynie do kąpieli, śpiewając *Love, ageless and evergreen, seldom seen by two... .*

Teraz, gdy wreszcie byliśmy sami, miałem do niej bardzo wiele pytań. Mimo zmęczenia wiedziałem, że nie zasnę, dopóki mi wszystkiego nie wyjaśni.

Wstałem z łóżka i stanąłem za jej plecami, również odbijając się potrojn timer w lustrach. Położyłem dłonie na jej ramionach. Przez koszulę nocną czułem, jak bardzo są chude. Pachniała kwiatami.

- Wiem, o co chcesz mnie zapytać — powiedziała. — Chcesz wiedzieć, dlaczego zaprosiłam cię tutaj i poznałam z Westerlundami.

- Między innymi.

- Czy będziesz zły, jeśli cię poproszę, żebyś wstrzymał się z pytaniami i zaczekał na to, co będzie dalej?

- Zły? Chyba nie. Ale czuję się nieco zagubiony i trochę przestraszony.

- Przestraszony? Czym?

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale kilka minut przed waszym powrotem z zakupów spotkałem w salonie Elsę i Felicię. Nie uważasz, że to dosyć przerażające? Bo ja tak.

Kate odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Tak właśnie było?

Na jej miejscu zapytałbym raczej: „Co takiego?”, „Żarty sobie stroisz?” czy też „Ile wypiełeś do kolacji?”, jednak Kate przyjęła moje słowa ze spokojem.

- Wydawało mi się, że to sen — mówiłem dalej. — Albo byłem zmęczony podróżą. Ale przysięgam, że kiedy wszedłem do salonu, Elsa i Felicia grały tam w szachy.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Pewnie. Felicia powiedziała mi, że wygrała w szkole nagrodę za śpiew, natomiast Elsa poprosiła mnie, żebym napisał dla niej piosenkę... a potem weszłaś do mieszkania z Axelem, Tildą oraz Felicią i Elsą. Kiedy zajrzałem z powrotem do salonu, dziewczynki w

nim nie było, ale pionki na szachownicy stały tam, gdzie je widziałem przedtem. Czy to nie jest przerażające?

Kate odwróciła wzrok, tak jak Axel podczas kolacji.

- Potrafisz to jakoś wyjaśnić? — zapytała po chwili.

- Ja? Nie wiem, w jaki sposób, dlatego pytam o to ciebie.

Spojrzała na mnie.

- Nie powiedziałeś o tym Axelowi i Tildzie, prawda?

- Chyba żartujesz! Jeszcze by pomyśleli, że jestem na przepustce z psychiatryka w Bellevue.

- Może to rzeczywiście był sen lub coś w tym rodzaju?

- Jasne... a ja dolecę do Nowego Jorku, zanim stąd wyjadę.

Kate podniosła się i delikatnie dotknęła mojej twarzy, jakby była niewidoma i chciała zobaczyć, jak wyglądam. Uwielbiałem jej oczy. Przywodziły mi na myśl szare dni i zimowe spacery nad morzem oraz zapadający zmierzch, gdy robi się zbyt ciemno, by dalej czytać, lecz zamiast włączyć światło, po prostu odkładamy książkę.

- Ufasz mi? — zapytała i jej głos się lekko załamał.

- Oczywiście, że ci ufam. Dlaczego miałbym ci nie ufać? Ale to wszystko jest cholernie dziwne. Dajesz mi klucze do ich mieszkania, ot tak sobie, przylatujemy oddzielnie... A do tego Elsa i Felicia... Nie, dwie Elsy, cholera, i dwie Felicie. Rozmawiam z Axelem, a on mówi, ile trzeba poświęcić, żeby dzieciom nic się nie stało. Potem podczas całej kolacji gapił się w kąt salonu, jakby zobaczył tam ducha. -

Wskazałem na drzwi i dodałem: — A teraz Axel i Tilda kłócą się. Na litość boską, Kate, co tu się dzieje?

- Przyjechaliśmy, żeby im pomóc — odparła. — Tylko tyle ci mogę powiedzieć.

- Pomóc? Jak? Według mnie oni powinni się leczyć.

- Prawdę mówiąc, jest w tym trochę racji. Leczenie przynosi ulgę albo przynajmniej pozwala nam pogodzić się z faktem, że nie będzie lepiej.

- To znaczy?

- To znaczy, że proszę cię, abys jeszcze trochę poczekał i sam się przekonał. Musisz zobaczyć pewne rzeczy, zanim wszystko zrozumiesz.

- Kate, proszę cię! Jak mam cokolwiek zrozumieć, jeśli nic mi nie chcesz wyjaśnić?

- Masz oczy, Gideonie, masz też uszy i w przeciwieństwie do większości ludzi jesteś bardzo wyczulony na to, co się wokół ciebie dzieje. Masz również coś o wiele ważniejszego: pewien rzadki dar...

Popatrzyłem na nią podejrzliwie.

- Naprawdę? Jaki to dar?

Pocałowała mnie w policzek, a potem w usta.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo silnie rezonujesz z muzyką Ty nie tylko ją tworzysz, ale także żyjesz nią i oddychasz. Sam jesteś muzyką. Niewielu jest takich ludzi. Jednym z nich był Mel Tormé. Mógł dokładnie określić dźwięk, jaki wydaje talerz spadający na podłogę w restauracyjnej kuchni.

- Nadal nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

- Jak sądzisz, czy piszesz lepszą muzykę, od kiedy jesteśmy razem?

- Tak — przyznałem. — To znaczy, nie chcę się chwalić, ale...

- Dlaczego tak jest?

- Nie wiem. Pewnie dlatego, że jestem szczęśliwy.

Znów mnie pocałowała.

Cieszę się. Ale chodzi o coś więcej, ty wyczuwasz wszystkie moje nastroje i emocje: smutek, to, co czuję do ciebie, i moją nadzieję... tak samo jak słyszysz muzykę. Wyczuwasz też wibracje Elsy i Felicii. Czujesz, kim były, kim chciały zostać i kim są teraz.

Spojrzałem na nią. Zaczynałem pojmować, o czym mówiła. Powoli zdawałem sobie sprawę z tego, że zrozumieć to, co mi się

przytrafia, dopiero wtedy, gdy zrozumie sam siebie i „dar”, który podobno posiadałem. Według Kate potrafiłem więcej, niż byłem w stanie sobie wyobrazić.

- Nie tylko twoja muzyka rozkwita — dodała z uśmiechem Kate. — Ty cały też rozkwitasz.

- Tak? W jaki sposób?

- Chodź do łóżka, to ci pokażę.



Obudził mnie tupot nóg kogoś przebiegającego obok naszej sypialni, kogoś, kto poruszał się bardzo szybko i na bosaka. Podniosłem się, ale było tak ciemno, że nie widziałem nic oprócz nieprzeniknionej czerni.

Po chwili znów usłyszałem, że ktoś biegnie. To chyba były dzieci. Biegły w jednym kierunku, z sypialni w stronę korytarza.

- Kate? — szepnąłem i potrząsałem ją za ramię. — Kate!

Ale ona nawet się nie poruszyła. Wyciągnąłem rękę w stronę szafki nocnej, szukając zegarka, i przewróciłem stojącą na niej szklankę. Usłyszałem, jak woda ciurka na dywan.

Znów rozległ się szybki tupot, a po nim głucho uderzenia jakby dziewczynki wpadały na ściany korytarza.

Ponownie potrząsałem Kate. Otworzyła oczy i wymamrotała:

- Co...? Co się stało?

- Posłuchaj! Dziewczynki biegają po mieszkaniu!

- Co takiego?

Włączyłem lampkę nocną. Zegarek wskazywał jedenaście po trzeciej. Kate patrzyła na mnie, mrugając powiekami, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy w życiu.

- Co się dzieje?

- Elsa i Felicia biegają tam i z powrotem po korytarzu.

- Co?

- Słyszysz? Znow biegną. I wpadają na ściany!

Zacząłem wstawać, ale Kate złapała mnie za rękę.

- Zostaw je w spokoju, Gideonie. To nie nasza sprawa, co robią.

- Ale może coś się stało? Może się pali?

- Nie pali się. Czujesz dym?

- Więc co one robią? Chodzą przez sen? Albo raczej biegają?

Znow usłyszeliśmy szybki tupot bosych stóp na korytarzu. Tym razem jedna z dziewczynek wpadła na drzwi prowadzące do naszej sypialni. Rozległo się bolesne jęknięcie, po czym ktoś krzyknął wysokim głosem:

- *Inte röra jag! Låta jag gå!*

Rozległ się tupot i kolejne uderzenia.

Wyskoczyłem z łóżka i ruszyłem ku drzwiom.

- Gideonie... — zaczęła Kate, wyciągając dłoń, ale zaraz ją opuściła, jakby pogodziła się z tym, że mimo wszystko wyjrzę na korytarz — co właśnie zamierzałem zrobić.

Otworzyłem drzwi. W korytarzu było ciemno, lecz jego koniec rozjaśniał księżyc, którego blask wpadał przez okno wychodzące na zatokę. Co chwila przesłaniały go chmury. Musiały przesuwac się bardzo szybko, bo blask pojawiał się i gasł co kilka sekund.

W korytarzu z rozpostartymi rękoma stała Elsa. Była w ko-szuli nocnej i miała rozpuszczone włosy. Pomyślałem, że gdzieś musi być otwarte okno, bo jej włosy falowały. W jednej chwili widziałem, jak patrzy na mnie, a w następnej jej twarz ginęła w ciemnościach. Oczy dziewczynki przypominały mleczne kulki z jasnoniebieskiego szkła. Miała zaciśnięte usta, jak ktoś zmuszany do jedzenia.

- Elsa? — odezwałem się. — Nic ci nie jest?

Kiedy ruszyłem w jej stronę, zaczęła potrząsać głową, najpierw powoli, a potem coraz szybciej.

- Elso, lunatykujesz — powiedziałem. — Wracaj do łóżka.

Wyciągnąłem dłoń, chcąc ją uspokoić. Przestała potrząsać głową i spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby mnie nie poznawała. Podchodząc bliżej, zauważyłem, że dorównywała mi wzrostem.

Poczułem niepokój. To musi być tylko złudzenie, pomyślałem. Przecież ona jest znacznie mniejsza. Może to perspektywa korytarza. Może ja śpię, a nie ona?

- Elsa? — zapytałem.

Nagle znalazła się tuż przy mnie, niemal mnie dotykała, choć nie zrobiła ani kroku. I wtedy zobaczyłem, że jest cała mokra. Z jej rzęs zwisały krople wody, miała zupełnie mokre włosy, a przemoczona koszula oblepiała jej ciało.

- Elso, co się stało? Dlaczego jesteś cała mokra?

Zakołysała się lekko.

- *Hjälpa mig*— powiedziała wysokim, głośnym szeptem.

- Co? Wybacz, ale nic nie rozumiem.

- *Hjälpa mig! Jag kan icke andas! Jag er drunkna!*

- Jesteś pijana? Posłuchaj, kochanie, muszę obudzić twoich rodziców. Zaczekaj tu chwilkę. Kate, jesteś tam?

Odwróciłem się, by sprawdzić, czy Kate wyszła z sypialni i wtedy zobaczyłem obie dziewczynki. Biegły prosto na mnie na bosaka. Potykały się i uderzały o ściany, jakby ktoś je popychał. Felicia wpadła na wysoką trójnożną wystawkę, zrzucając na podłogę figurkę z brązu.

- Stój, Felicia! — krzyknąłem, gdy przebiegły obok, jednak mnie nie usłyszały.

Złapałem Felicię za koszulkę, ale okręciła się i wyrwała. Przez ułamek sekundy widziałem jej twarz. Miała wytrzeszczone oczy i była bardzo blada.

- Låta jag gå! Låta jag gå! De nöd till mord oss!

Pobiegła w głąb cieni i zniknęła w nich, jakby wybiegła przez drzwi utkane z ciemności. Ale najbardziej przeraziło mnie to, co się stało z Elszą. Biegła wprost na drugą Elsę, która stała w korytarzu — wyglądało to tak, jakby pędziła na swoje odbicie w lustrze. Po chwili obie Elsy rozpadły się na tysiące błyszczących odłamków i zniknęły.

Trwałem w bezruchu przez kilka sekund. Słyszałem, jak wali mi serce. Potem schyliłem się powoli i przejechałem palcami po dywanie, szukając odłamków szkła, jednak nie znalazłem ich. Jedna z Els wyglądała jak lustrzane odbicie drugiej, lecz obie były tylko złudzeniem.

Podniosłem statuetkę z brązu i postawiłem ją na wystawce. Figurka przedstawiała szczupłą kobietę z włócznią w ręku, w powłóczystej szacie obnażającej jedną pierś.

Podeszła do mnie Kate. Miała bardzo poważną minę. Popatrzyła na figurkę.

- To Freya powiedziała. — Bogini miłości i piękna. Od jej imienia Szwedzi nazwali piątek.

- Kate, co tu się dzieje? — zapytałem. Mój głos brzmiał dziwnie głucho. — Czy to wszystko mi się śni? To nie sen, prawda?

Ujęła mnie za rękę.

- Powinieneś wrócić do łóżka.

- Co tu się stało, do cholery? Widziałem dwie Elsy... I widziałem, jak Felicia zniknęła! Wbiegła tam, w cień, i zniknęła. Kate, ja nie śpię, to mi się nie śni, to się stało naprawdę!

- Gideonie, proszę cię, chodź do łóżka.

W tym momencie otworzyły się drzwi sypialni Westerlundów i na korytarzu pojawił się Axel, ubrany w czarny japoński szlafrok. Podeszedł do nas, zaciągając pasek. Miał blade, włochate łydki.

- Słyszałem jakiś hałas... Nic się nie stało? Co tu robicie?

- To przez dziewczynki — wyjaśniłem.

Rozejrzał się wokół.

- Dziewczynki? — zapytał ze zdziwieniem.

- Biegały po korytarzu. Coś je przestraszyło, ale nie rozumiałem, co mówią.

- Biegały?

- Tak... zrzuciły tę figurkę.

Axel pokręcił głową:

- Ależ nie, Gideonie... Obie śpią w swoich pokojach.

Z sypialni wyszła Tilda w jasnozielonej piżamie.

- Czy coś się stało? — zapytała.
- Gideon miał koszmary — wyjaśnił Axel.
- Przepraszam bardzo, ale wiem, co widziałem - oświadczyłem. — Kate też to widziała.
- Cóż... Szczerze mówiąc, niczego nie widziałam - powiedziała Kate.
- Kate, daj spokój! Musiałaś chociaż słyszeć, jak biegały
- Tak, coś słyszałam, ale nie wiem, co to było.
- Kate...
- Wyjašnjmy to raz na zawsze, dobrze? — przerwał mi Axel.

Ruszył do drzwi sypialni Elsy i otworzył je ostrożnie. Zajrzał do środka, po czym skinął na mnie. Podszedłem z ociąganiem i zajrzałem do środka. Elsa, w czepku z różowymi wstążkami, leżała w łóżku i spała mocno.

Axel zamknął drzwi i skierował się w stronę pokoju Felicii.

- To nie będzie konieczne — mruknąłem. — Najwyraźniej musiało mi się coś przywidzieć.

Tilda położyła mi dłoń na ramieniu i powiedziała:

- *Du drömde*, Gideonie. Śniło ci się.
- *En mardröm* — dorzucił Axel. Domyśliłem się, że „mardröm” oznacza „koszmar”.



Rozeszliśmy się do swoich pokoi. Kate pocałowała mnie w ucho i zapytała, czy nic mi nie jest.

- Owszem, jest. Właśnie widziałem coś zupełnie nieprawdopodobnego. Nie wiem, dlaczego ty także tego nie widziałaś.

- Widziałam.

- Tak? Widziałaś, jak Elsa i Felicia biegają po korytarzu? To czemu nic nie powiedziałaś?

- Bo nie chciałam denerwować Axela i Tildy. Dla nich to się nie wydarzyło. Nie w taki sposób jak dla nas.

- Teraz to już zupełnie zgłupiałem.

- Wiem, ale jesteś bardzo zmęczony. Porozmawiamy o tym rano.

Podciągnąłem sobie kołdrę pod szyję. Mimo włączonego centralnego ogrzewania powietrze w sypialni wydawało mi się zimne. Gdyby było nieco jaśniej, pewnie widziałbym, jak mój oddech zamienia się w parę.

- W takich starych domach jest bardzo dużo wspomnień. Mają bardzo silne echa — dodała Kate. — Nietrudno w nich o przywidzenia.

- Więc nie odbija mi palma?

Przyłgnęła do mnie mocno.

- Pewnie, że nie. A gdyby nawet, co z tego? Lubię palmy, szczególnie tę twoją...

Leżałem przez chwilę w milczeniu, głaszcząc ją po karku.

- Dobrze znasz szwedzki? — zapytałem w końcu.

- Tylko trochę. Czemu o to pytasz?

- Wiesz, co znaczy „drunkna”?

- „Topić się” lub „utopiony”. Gdzie słyszałeś to słowo?
- Wykrzyczała je Elsa, kiedy pojawiła się na korytarzu.

Kate znów mnie pocałowała.

- Naprawdę powinieneś się wyspać. Mam ci zaśpiewać kołysankę? Znam jedną, jest urocza. To *Drzewo drogowskaz*.

Roześmiałem się. Miała rację, byłem wykończony. Zamknąłem oczy i natychmiast zasnąłem. Nic mi się nie śniło, choć nie mam pojęcia, czy w ogóle miewam sny, bo rano nigdy niczego pamiętam.

Gdy otworzyłem oczy, Kate rozsuwała zasłony. Wody zatoki lśniły w słońcu jak odłamki szkła.

ROZDZIAŁ 14

Zanim zdążyłem wziąć prysznic i ubrać się, Axel i Tilda wyszli do pracy, a ich córki do szkoły. Na śniadanie, które zjadłem z Kate przy kuchennym stole, były wędliny, ser St Olof oraz plastry melona na zimno. Próbowaliśmy oglądać telewizję, lecz kanał SVT nie ma zbyt ciekawej ramówki, chyba że kogoś interesują lasy sosnowe w Laponii lub wieszaki na kapelusze z poroży łośi.

- Czujesz się już lepiej? — zapytała Kate.

Dolałem sobie trochę czarnej kawy.

- Nadal nie rozumiem, co się stało w nocy.

- Kochanie, mówiłam, że powinieneś zaczekać, aż sam zobaczysz.

„Kochanie”. Zupełnie jakbyśmy byli małżeństwem.

- Co zobaczę? Jesteś cholernie tajemnicza.

- Nie lubisz tajemniczych kobiet?

- Oczywiście, że lubię. Ale martwią mnie tajemnicze dzieci, które potrafią przebywać w dwóch miejscach jednocześnie.

Uśmiechnęła się, lecz nic nie odpowiedziała. Jej szlafrok w roślinne wzorki był rozpięty, więc widziałem prawą pierś, obnażoną jak u bogini Frei. Nigdy nie spotkałem kobiety równie ponętnej i jednocześnie dającej tyle natchnienia. Dzięki niej po raz pierwszy w życiu poczułem, że jestem silny i nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Na samą myśl, że wróci do Nowego Jorku i pójdzie do łóżka z Victorem, cierpła mi skóra.

- Chciałabym pójść dzisiaj do muzeum „Wazy” — oświadczyła.

- A co to jest ten „Waza”?

- To słynny szwedzki galeon, który zatonął podczas dziewiczego rejsu. Wydobyli go z dna i odrestaurowali. Jest niesamowity, na pewno ci się spodoba.

- Sam nie wiem... Na dworze jest chyba diabelnie zimno. Może zostaniemy w łóżku?
- Na to będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu. Nie można przyjechać do Sztokholmu i nie zobaczyć tego galeonu.
- Mogę zwiedzać, co chcę, nie ruszając się z mieszkania...

Ujęła moją dłoń.

- Nie powinieneś być zazdrosny, Gideonie.
- Dlaczego nie? Ilekroć wyobrażę sobie ciebie z mężem w łóżku, wymyślłam kolejny sposób pozbycia się go. Może zabiję drzwi łazienki, gdy Victor będzie pod prysznicem, a potem wsypię przez okno wiadro mrówek ogniowych? Chociaż nie, raczej powinienem go udusić gołymi rękoma, tak byłoby szybciej.
- Nie zrobiłbyś tego. Nie jesteś taki.
- Założymy się?

Pochyliła się nad stołem i pocałowała mnie, muskając sutkiem grzbiet mojej dłoni. Czuję tamto muśnięcie do dziś, jakby stało się to zaledwie kilka sekund temu.



Poranek był słoneczny, ale powietrze zimne. Na intensywnie błękitnym niebie gdzieś za linią miejskich dachów wisały dalekie obłoki. Wyglądały jak odległe pasmo śnieżnych szczytów, do których nigdy nie udaje się dotrzeć.

Pojechaliśmy taksówką do parku Djurgården, położonego po drugiej stronie zatoki. Muzeum „Wazy” znajdowało się tuż przy nadbrzeżu. Był to wielki pudełkowaty gmach pokryty dachem ze zmatowiałej miedzi, ozdobiony trzema masztami z metalu, mającymi przedstawiać maszty galeonu.

Weszliśmy do środka w towarzystwie grupki rozgadanych szwedzkich uczniów i stadka nieco oszołomionych zakonnic z Chin. Galeon stał pośrodku wielkiej sali, bogato zdobiony setkami wyrzeźbionych w drewnie lwów, cherubinów, syren i rzymskich cesarzy.

- Wiesz, co mi przypomina ten statek? — zapytała Kate. — Victora. Jest tak samo jak on pompatyczny i próżny.

- Czy moglibyśmy nie mówić o Victorze? — burknąłem.

Właśnie czytałem tabliczkę z opisem okoliczności zatonięcia galeonu. Pewnego spokojnego wiosennego dnia 1628 roku okręt nagle wyrzucił się do góry stępką, zanim jeszcze opuścił Zatokę Sztokholmską, i opadł na jej dno, gdzie przeleżał trzysta lat, aż do naszych czasów.

- Myślałem, że przyszliśmy tu po to, by zająć się sobą, nie kryjąc się przed światem — dodałem.

- Racja. Przepraszam. O popatrz, jakie wspaniałe potwory morskie! I zobacz, ile on ma armat!

- Jest niesamowity — przyznałem.

Obchodziliśmy galeon przez jakieś dwadzieścia minut. Niestety, jeśli chodzi o historię, mam ogromne luki. Mój ojciec mawiał: „Historia? Po co się nią przejmować? To przeszłość” — a ja się z nim w pełni zgadzałem.

Wyszliśmy z muzeum, by pospacerować wzdłuż nadbrzeża. Cumowały przy nim cztery historyczne statki, a wśród nich pierwszy szwedzki lodołamacz „Sankt Erik” oraz latarniowiec.

Wiał tak wilgotny wiatr, że można było w nim umyć twarz. Po drugiej stronie zatoki widziałem ulicę Skeppsbron i mieszkanie Westerlundów. Okno jadalni słało ku nam słoneczne błyski.

- Może pójdziemy na lunch? — zaproponowała Kate. — Mam ochotę na bliny z wędzonym łososiem.

- Dobrze. A potem sjesta? Zanim Westerlundowie wrócą do domu...

Gdy zawróciliśmy w stronę postoju taksówek, usłyszałem, jak ktoś krzyczy po angielsku z wyraźnym szwedzkim akcentem:

- Tutaj, tutaj! Sprowadźcie pomoc! Ktoś wpadł do wody!

Na pirsie, przy którym cumował lodołamacz, zgromadził się mały tłumek. Dwóch młodzieńców schodziło po drewnianej drabinie, a jakiś brodacz rzucał do wody biało-czerwone koło ratunkowe.

- Chodźmy — powiedziałem do Kate. — Może też się na coś przydamy.

Pośpieszyliśmy mołem. Przepchnąłem się przez grupkę gapiów i spojrzałem w dół. Jeden z młodych ludzi dotarł już do podnóża drabiny i wyciągał rękę po ciało, które unosiło się na wodzie twarzą w dół przy pirsie.

Była to mała dziewczynka, ubrana w ciemnozielony sweter i brązową sukienkę ze sztruksu. Jej jasne włosy falowały jak wodorosty. Miała na nogach długie zielone skarpety. Jednego buta brakowało.

- Pomóc wam? — zapytałem młodzieńców.

Ale jeden z nich zdążył już chwycić ciało za prawą kostkę i przyciągał je do drabiny. W oddali słyszałem zawodzenie karetki.

Po chwili obaj młodzi ludzie wydobyli dziewczynkę z wody i zaczęli wnosić ją na pomost. Jej głowa i ręce zwisały bezwładnie.

- Nie żyje? — zapytała Kate, zakrywając dłonią usta.

Stojący obok nas staruszek spojrzał na nią i pokręcił głową. Woda w Zatoce Sztokholmskiej była bardzo zimna, nikt nie mógł w niej długo przeżyć.

Mężczyźni wciągnęli ciało na pomost. Twarz dziewczynki była szara i częściowo zasłonięta mokrymi włosami. Jakaś siwowłosa kobieta ułożyła ją na wznak i przystąpiła do reanimacji. Po chwili z nozdrzy i ust topielicy wypłynęła brudna woda, lecz dziewczynka wciąż nie dawała znaku życia. Stojąca obok mnie staruszka przeżegnała się i wyszeptała:

- *Gud villa henne ung själ.*

Nie potrzebowałem tłumacza, by ją zrozumieć. „Wieczny odpoczynek racz dać jej, Panie”.

Na parkingu przy muzeum zatrzymała się karetka. Wskoczyli z niej dwaj sanitariusze w pomarańczowych kurtkach i popędzili ku pirsowi. Po chwili zjawiły się dwa radiowozy. Z każdego wysiedli dwaj policjanci. Zaczęli usuwać gapiów i kierować ich w stronę ogrodów przy muzeum. Wszyscy posłusznie wykonywali ich polecenia. Słychać było tylko szuranie butów na żwirowej ścieżce i przenikliwy krzyk mew, przypominający rozpaczliwe wołanie rodziców szukających swoich dzieci.

- Biedna dziewczynka — powiedziała Kate. — Jak ona wpadła do wody?

- Może sama wskoczyła? Podobno w Szwecji jest sporo samobójstw.

Kate objęła mnie w pasie i przytuliła się mocno.

- Nie mam ochoty na lunch. Wracajmy do domu.

- Oczywiście.

Gdy obchodziliśmy tyły muzeum, dostrzegłem jakiegoś człowieka z dziewczynką. Szli szybko jedną ze ścieżek w stronę bramy ogrodu. Zauważyłem, że mężczyzna ciągnie małą za rękę, szarpiąc nią co chwila. Znajdowaliśmy się zbyt daleko, bym mógł go wyraźnie słyszeć, ale wydawało mi się, że krzyczy: *Skinder!*

Przystanąłem i przyjrzałem im się uważnie. Zaniepokoiłi mnie. Nawet z tej odległości widziałem, że dzieje się coś złego.

Mężczyzna bardzo przypominał Jacka, kumpla Victora o sokolim nosie, którego poznałem w jego mieszkaniu. Gdyby to było możliwe, myślałbym, że widzę właśnie jego. Jednak dziewczynka zaniepokoiła mnie jeszcze bardziej. Z początku nie widziałem jej twarzy, bo rzucała głową na boki, lecz gdy mężczyzna pociągnął ją za róg muzeum, odwróciła się i spojrzała na mnie, jakby błagała o pomoc.

Mógłbym przysiąc, że to Felicia.

- Jezu Chryste... — jęknąłem. — Widziałaś, kto to był?
- Kto? — zapytała Kate.
- Ta dziewczynka! — krzyknąłem i rzuciłem się biegiem w tamtą stronę.
- Co się stało? — zawołała Kate.
- To Felicia! Ten gość ją porwał!

Kiedy pędziłem ścieżką, kilku turystów obróciło się za mną. Musiałem przeskoczyć przez kwietnik, by nie zderzyć się z trzema chińskimi zakonnicami.

Dobiegłem do narożnika muzeum, lecz Felicia i podobny do Jacka mężczyzna już zniknęli. Widziałem tylko grupę japońskich turystów przy autobusie i gromadkę uczniów w czerwono-niebieskich kurtkach, podążających za nauczycielką z niebiesko-czerwoną parasolką.

Ruszyłem w stronę parkingu, by sprawdzić, czy mężczyzna zaciągnął dziewczynkę do muzeum, czy też może zasłania mi ich tablica z napisem „Wasamuseet”. Oboje jednak zniknęli, jakby ich tutaj nigdy nie było.

- Gideonie, Gideonie! Zaczekaj! —Kate dobiegła do mnie i chwyciła mnie za rękę. — Na pewno nic ci się nie przywidziało?
- Nic mi się nie przywidziało, to była Felicia. Miała na sobie tę samą kurtkę co wczoraj, gdy wróciła do domu. A facet, który ją włókł, wyglądał jak Jack, znajomy Victora.
- Jack? Chyba żartujesz!
- Chryste Panie, Kate! Widziałem ich na własne oczy!
- No dobrze, widziałeś ich — ustąpiła Kate, próbując mnie uspokoić, i rozejrzała się po parkingu. — Ale gdzie są teraz?
- Nie wiem. Może ktoś czekał na nich w samochodzie albo wrócili do środka?

Ścisnęła lekko moją dłoń.

- W porządku, Gideonie, wierzę ci.

Spojrzałem na nią.

- Czy to samo stało się w nocy? — zapytałem. — To znaczy, czy to się stało naprawdę, czy nie?

- Kochanie, jeżeli to widziałeś, stało się naprawdę. Kiedyś.



Powoli przeszliśmy przez parking. Rozglądałem się za mężczyzną i dziewczynką w nadziei, że wyłonią się zza jakiegoś autobusu albo przejadą obok nas w taksówce.

- Mówię ci, nie ma ich już — powiedziała Kate. — Czemu nie zostawimy tego w spokoju?

Dobiegł nas żałobny dźwięk syreny promu „Viking Lines”, wypływającego do Helsinek, a z nadbrzeża ruszył mały kondukt: dwóch sanitariuszy i dwóch policjantów niosło nosze z ciałem dziewczynki przykrytym niebieskim kocem. Mijani ludzie zdejmowali nakrycia głowy, a chińskie zakonnice przeżegnały się po trzykroć.

Sanitariusz dotarli do karetki w chwili, gdy ją mijaliśmy. Zatrzymali się i otworzyli tylne drzwi. Kiedy wsuwali nosze do środka, koc okrywający zwłoki zsunął się nieco i zobaczyłem twarz topielicy. Tym razem nie zakrywały jej mokre włosy.

Przez chwilę spoglądałem na nią z niedowierzaniem, po czym położyłem dłoń na ramieniu Kate.

- Powiedz mi, że to nie Elsa.

W tym samym momencie zatrzaśnięto drzwi karetki.

- Kate, widziałaś? To Elsa, przysięgam!

- Nie wiem, Gideonie. Nie zdążyłam się jej przyjrzeć.

Podszedłem do jednego z policjantów, młodzieńca z wyłupiastymi błękitnymi oczami i blond wąsikiem. Wskazałem palcem karetkę i powiedziałem:

- Czy może pan ich zatrzymać? Chyba wiem, kim jest dziewczynka, która się utopiła.

Policjant spojrział na mnie nieufnie.

- Zna pan jej nazwisko?

- Przypuszczam, że to Elsa Westerlund. Mieszka przy Skeppsbron czterdzieści cztery. Jej ojciec, Axel Westerlund, jest lekarzem. Sądzę, że gdzieś w pobliżu jest też jej młodsza siostra Felicia. Widziałem, jak w ogrodzie na tyłach muzeum ciągnął ją jakiś facet.

Jeden z sanitariuszy wyjrzał z kabiny karetki.

- *Vad är skedde? Kanna vi gå nu?*

- On pyta, co pan widział — przetłumaczył policjant.

- Widziałem, jak jakiś mężczyzna ciągnął za sobą dziewczynkę. Chyba nie chciała z nim iść.

Podszedł do nas drugi policjant. Był starszy, siwy, a pod oczami wisiały mu takie wory, jakby palił ze sto papierosów dziennie.

- Co się dzieje? — zapytał.

- Ten człowiek uważa, że może zidentyfikować utopioną dziewczynkę — wyjaśnił wyłupiastooki policjant. — Chce obejrzyć ciało.

- *Nej*. To niemożliwe — oświadczył starszy policjant.

- Panowie wybaczą, ale podejrzewam, że ktoś mógł wrzucić ją do wody. Kilka minut temu widziałem jej młodszą siostrę Felicię, tam za muzeum. Jakiś facet chyba zamierzał ją porwać. Może chciał porwać także i tę dziewczynkę, ale się opierała.

- Gideonie, przecież nie masz pewności, że to była Felicia — powiedziała Kate.

- Wyglądała jak ona.

- Felicia powinna być teraz w szkole. Co by tu robiła?
- Nie wiem. Ale w karetce na pewno leży Elsa, więc w takim razie tamta dziewczynka musiała być Felicią, prawda?

Starszy policjant popatrzył na mnie.

- Gdzie jest teraz ten mężczyzna i dziewczynka? — zapytał.
- Zniknęli.
- Gdzie? W którym kierunku poszli?
- Nie mam pojęcia, ale na pewno nie zaszli zbyt daleko. Może są w muzeum.
- Potrafi ich pan opisać?

Nareszcie ktoś mi uwierzył, pomyślałem. Opisałem mu Jacka i Felicię. Policjant wezwał dwóch kolegów, którzy wciąż stali na pirsie.

- Macie znaleźć mężczyznę w czarnym płaszczu, z nosem jak *en hök*, oraz dziewczynkę o jasnych włosach, ubraną w żółtą kurtkę — polecił im.

Obaj policjanci ruszyli w stronę muzeum, szybko przepychając się przez tłum turystów.

- Widziałem ich tam — powiedziałem, pokazując na ogród za muzeum. — Pobiegnę za nimi, ale zniknęli.

Starszy policjant popatrzył na mnie. Jego lewa powieka zadrżała w mimowolnym tiku.

- Jeżeli nadal tu są, na pewno ich znajdziemy, proszę pana. Wie pan, dlaczego ktoś chciałby porwać tę dziewczynkę?
- Nie mam pojęcia. A ty, Kate? Przecież znasz Westerlundów.

Pokręciła głową:

- Nie wiem. Poza tym nie widziałam jej.

Odwróciłem się do starszego policjanta i ponownie zapytałem:

- Możemy rzucić okiem na tę dziewczynkę w karetce? Proszę...

Policjant zastanawiał się przez chwilę, trzymając się za nos, jakby pomagało mu to w myśleniu, po czym powiedział:

- No dobrze... ale to nie jest zgodne z przepisami. Jak pan myśli, co by było, gdyby każdy mógł oglądać zwłoki tylko dlatego, że twierdzi, iż wie, kim był zmarły?

Zawołał coś do sanitariuszy, po czym jeden z nich wysiadł z szoferki i poszedł otworzyć tylne drzwiczki.

Popatrzyłem na Kate.

- Idziesz? — zapytałem.

- Nie. Idź sam — odparła.

Wszedłem do karetki wraz ze starszym policjantem i sanitariuszem, który odsłonił twarz dziewczynki.

- I co, rozpoznaje ją pan? — zapytał mnie policjant.

Twarz topielicy była spuchnięta, ale mimo to nie miałem wątpliwości, że to Elsa. Niepokoiły mnie jednak jej otwarte oczy. Patrzyła na mnie tym samym zamglonym wzrokiem jak wtedy na korytarzu.

- Tak, to ona. To Elsa Westerlund — odparłem.

W karetce było duszno, ledwo mogłem oddychać.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Zatrzymaliśmy się u jej rodziny. Wczoraj jedliśmy z nimi kolację i spędziliśmy razem cały wieczór.

Sanitariusz spojrział na starszego policjanta i oświadczył:

- Ona była w wodzie co najmniej przez trzy dni.

- To niemożliwe — powiedziałem. — Wczoraj napisałem dla niej piosenkę i zaśpiewałem ją przy kolacji...

Sanitariusz zsunął koc niżej.

- Widzi pan, jaki ma opuchnięty brzuch? Tutaj morze jest bardzo zimne, temperatura nigdy nie przekracza pięciu stopni więc topielcy nie rozkładają się tak szybko. Mogę pana zapewnić, że ta dziewczynka nie żyje od ponad siedemdziesięciu dwóch godzin. Patolog na pewno to potwierdzi.

Starszy funkcjonariusz spojrzał na mnie z mieszaniną żalu i współczucia.

- Przykro mi, chyba się pan pomylił.

- Ale jak? Przecież jest tak bardzo podobna do Elsy.

- Łatwo się pomylić, zwłaszcza gdy ofiara nie żyje już od jakiegoś czasu.

Znów spojrzałem na ciało. Trudno mi było uwierzyć, że to nie Elsa, ale nie mogłem spierać się z zawodowcami. Poza tym Elsa żyła, gdy ta dziewczynka pływała w zatoce.

- Przykro mi — powtórzył starszy policjant.

Wysiedliśmy z karetki. Kate czekała na mnie, wciskając dłonie w kieszenie kurtki.

- To nie Elsa — poinformowałem ją. — Wygląda zupełnie jak ona, ale pływała w zatoce od kilku dni.

Kate w milczeniu ujęła mnie za rękę.

- Będziecie szukali drugiej dziewczynki? — zapytałem starszego policjanta.

- Oczywiście. Skoro widział pan, że ktoś ciągnął gdzieś tę dziewczynkę wbrew jej woli, muszę potraktować pana słowa poważnie. Ale może pańska żona ma rację, może pan nie widział jej zbyt wyraźnie.

Nie wyjaśniłem mu, że Kate nie jest moją żoną, bo zbyt długo by to trwało. Poza tym było mi przyjemnie, że tak ją nazwał.

- Nie sądzę — odparłem. — Może ta utopiona dziewczynka to nie Elsa, ale na pewno widziałem Felicię.

- Wie pan, do której szkoły uczęszcza?
- Do Adolfa Fredriksa — wtrąciła Kate. — Obie tam chodzą.
- Powinniśmy zadzwonić do Axela i Tildy — powiedziałem.
- Jeszcze na to za wcześnie — stwierdził starszy policjant. — Najpierw sprawdzimy, czy któryś z nich nie ma w szkole. Nie chcę martwić rodziców bez powodu.

Zawyła syrena i karetka odjechała. Starszy policjant wyjął komórkę i przeszedł na drugi skraj parkingu. Kiedy rozmawiał, z muzeum wyszło dwóch policjantów. Pokręcili głowami.

- Ani śladu — powiedział jeden z nich, gdy podeszli do nas. — Mnóstwo dzieci, ale żadnego mężczyzny z nosem jak dziób jastrzębia.

Zaczął wiać wiatr z północnego wschodu. Wciąż było słonecznie, lecz robiło się coraz zimniej. Starszy policjant wrócił z końca parkingu.

- Rozmawiałem z dyrektorką Adolf Fredriks Folkskola. Elsa i Felicia Westerlund są całe i zdrowe w swoich klasach. Dyrektorka widziała je osobiście — oświadczył.

- Jest pan pewien?

- Jak najbardziej, proszę pana.

- W takim razie chyba rzeczywiście się pomyliłem. Ale na pewno widziałem, jak jakiś człowiek ciągnie za sobą małą dziewczynkę.

- Zapewniam pana, że nasi funkcjonariusze nadal będą go szukali — obiecał. — Muszę jednak panu powiedzieć, że nikt z pracowników muzeum ani też nikt inny nie widział osób odpowiadających pańskiemu opisowi.

- Proszę nam wybaczyć — powiedziała Kate. — Chyba zmarnowaliśmy panów czas.

- *Nej.* Niech się pani tym nie przejmuje. W mojej pracy nauczyłem się jednej rzeczy: nic nie jest takie, na jakie wygląda.

ROZDZIAŁ 15

Wróciliśmy na stare miasto i poszliśmy do staromodnej kawiarni Den Gråtande Fisk przy jednej z wąskich brukowanych uliczek. Zamówiliśmy butelkę zinfandela. Wnętrze lokalu, wyłożone ciemnym dębem, było mroczne, a na ścianach wisiały jeszcze mroczniejsze pejzaże. W okna wstawiono szyby z brunatnego szkła i nieustanny korowód ludzi na zewnątrz przypominał postacie z teatrzyku cieni.

- Nic nie mówisz — stwierdziła Kate.
- Bo jestem kompletnie zdezorientowany. Byłem pewien, że to Elsa.
- Tamto biedactwo leżało w wodzie od kilku dni, więc to nie mogła być ona.
- Kate, nie potrafię ogarnąć tego wszystkiego. Nie wiem, o co tu chodzi, i mam już tego dość.

Ujęła moje dłonie.

- Kochanie, już ci to wyjaśniłam. Widzisz i wyczuwasz rzeczy, które dostrzega niewielu ludzi. Poza tym jesteś bardzo zestresowany. Przecież to twoje pierwsze wakacje od czterech lat. Daj sobie kilka dni, a zobaczysz, że potem poczujesz się znacznie lepiej.
- Przykro mi, ale dla mnie to już koniec wycieczki. Nie rozumiem, co się tu dzieje, i nawet nie chcę tego zrozumieć. Wieczorem pakuję się i wracam do domu.
- Nie możesz. Jeszcze nie.
- Dlaczego?
- Po prostu chcę, żebyś został.
- Ja też chcę. Ale to, co widziałem, Elsa i Felicia... Nawet nie jestem w stanie tego opisać. I chyba Axel nie żywi wobec mnie szczególnie ciepłych uczuć, prawda?
- Gideonie, proszę, potrzebuję cię... Westerlundowie też,

nawet nie wiesz jak bardzo.

- Ciągłe mi to mówisz, ale nie wyjaśniłaś mi, po co jestem tu potrzebny.

- Bo nie mogę.

- Nie możesz czy nie chcesz?

Kate milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Obiecuję ci, że wszystko zrozumiesz. Może nie jutro ani pojutrze, ale wkrótce. Dlatego proszę cię, zostań... jeżeli naprawdę ci na mnie zależy.



Wieczorem Tilda podała nam po trzy cienkie plastry wędzonego mięsa łosia z galaretką z borówek i sałatką z ziemniaków.

Była dziś niezwykle rozmowna. Opowiedziała nam o pacjencie, któremu ponad rok temu amputowano lewą stopę, lecz on upierał się, że odcięta kończyna wciąż przyprawia go o straszliwe bóle.

- Ten człowiek twierdzi, że to dowód na istnienie duchów. Skoro czuje stopę, której nie ma, to czemu nie miałyby istnieć całe osoby, których również już nie ma?

- Nie wierzę w duchy — oświadczyła Felicia.

- Ja też nie — zawtórowała jej Elsa. — Gdyby duchy istniały, to gdzie by mieszkały?

- A wy co dziś porabialiście? — zapytał Axel, patrząc na Kate.

- Zabrałam Gideona do muzeum „Wazy”.

- Ach, ja — mruknął Axel. Nie powiedział nic więcej, tylko posmarował sobie kolejną kromkę żytniego chleba.

- Czy podobał ci się „Waza”? — zapytała Tilda.

- Bardzo. Najbardziej zainteresowało mnie to, co na nim znaleziono, na przykład beczki, w których po trzystu latach nadal było piwo.

Spojrzałem na Elsę siedzącą po drugiej stronie stołu. Przez cały czas wbijała we mnie wzrok, jakby chciała, żebym opowiedział jej matce o tym, co dziś widzieliśmy koło muzeum. Ale przecież nie mogła o tym wiedzieć, bo postanowiliśmy razem z Kate nie mówić Westerlundom o wydarzeniach na nadbrzeżu. Nie wspomniano o nich także w wieczornych wiadomościach telewizji SVT.

- Jutro pojedziemy do pałacu królewskiego w Drottningholm — oznajmiła Kate.

- Pałac na pewno bardzo ci się spodoba — zapewniła mnie Tilda. — Są tam wspaniałe ogrody z posągami i fontannami. Szwedzka rodzina królewska nadal tam mieszka i może nawet spotkasz któregoś z jej członków.

Elsa wciąż wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że zacząłem czuć się nieswojo.

- Jutro idę razem z moją klasą popływać — oznajmiła.

- Uważaj na siebie, dobrze? — powiedziałem.

Nic na to nie odpowiedziała, tylko wciąż na mnie patrzyła. Byłem niemal przekonany, że chce mi przekazać telepatycznie: „Miałeś rację co do tej topielicy, Gideonie. To byłem ja”. Ale oczywiście wcale tak nie było. Po prostu dawałem się ponieść wyobraźni.



Po kolacji graliśmy aż do dwudziestej trzeciej w skojarzenia. Axel pokazał nam *Oko diabła* Ingmara Bergmana, zamykając oko i trzymając nad głową palce, imitujące diable rogi. Felicia wybrała *High School Musical 2*, a Kate pokazała *Norę, czyli dom lalki*.

Elsa położyła się na podłodze, wyciągając ramiona do góry, po czym uniosła głowę i zaczęła nią kołysać. Kate natychmiast odgadła, co ma przedstawiać jej poza.

- Ofelia, utracona miłość Hamleta. Topi się.

Elsa spojrzała na mnie z podłogi. Nadal miałem wrażenie, że chce mi coś przekazać, lecz nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.



Mimo obfitującego w różne dziwne wydarzenia dnia poczułem się odprężony, kiedy znalazłem się w łóżku. Po trzech kieliszkach merlota do kolacji byłem skłonny przyznać rację Kate — chyba to po prostu stres. Po śmierci ojca też mi się wydawało, że widziałem go kilkakrotnie: raz przy ladzie w delikatesach Gristedego na Trzeciej Alei, drugi raz na Czterdziestej Drugiej, gdy patrzył na mnie zza mokrej szyby miejskiego autobusu. Być może zdarzenia z udziałem Elsy i Felicii również były podobnym złudzeniem.

Tym razem kochaliśmy się bardzo powoli, jakbyśmy pływali w wodzie. Kate co chwila zbliżała się do orgazmu, lecz nie szczytowała. Po godzinie była spocona jak mysz. W końcu przewróciła mnie na plecy i dosiadła. Poruszała się w skomplikowanym rytmie, coraz mocniej zaciskając uda wokół moich bioder.

Gdy zaczęła dochodzić, odetchnęła głęboko. Już myślałem, że zacznie krzyczeć, ale tylko się pochyliła, mocno ugryzła mnie w ramię i nie puszczała, dygocząc i oddychając przez nos.

- Aua! - zawołałem, kiedy skończyła, ale miałem ochotę wrzasnąć na cały głos.

- O Boże, Gideonie, wybacz...

Włączyła lampkę nocną. Na moim ramieniu widniały wyraźne ślady po jej zębach. Wyciągnęła chusteczkę z pudełka na szafce i zrobiła z niej opatrunek.

- Bałam się, że znów pójdzie lustro.

Skrzywiłem się z bólu i obejrzałem ugryzienie.

- Następnym razem gryź poduszkę.
- Przepraszam cię. Nie chciałam zrobić ci krzywdy.

Przytuliłem ją i pocałowałem.

- Nie przejmuj się. Wynagrodzisz mi to rano, zanim wstaniemy.

Wsunęła dłoń między moje nogi i zacisnęła ją na moim penisie:

- Umowa stoi.



Ledwo zasnąłem, obudziły mnie krzyki Axela i Tildy oraz trzaskanie drzwi do ich sypialni.

Usiadłem na łóżku i wymamrotałem:

- Boże święty... Wyglądają tak łagodnie, a zobacz, co wyprawiają!
- Typowi Szwedzi. Tłumią w sobie wszystkie uczucia i w końcu wybuchają — odparła Kate.

Położyłem się z powrotem. Nie miałem pojęcia, dlaczego Axel tak się wściekł. Nie słyszałem, co mówi — zresztą mówił po szwedzku. Tilda przez cały czas wrzeszczała niczym pomyłona sopranistka w operze Verdiego.

Po pięciu minutach krzyków znów usiadłem.

- Myślisz, że nic im nie jest? — zapytałem. — Może Powinienem do nich zajrzeć?
- Zostaw ich w spokoju — odparła Kate. — To nie nasza sprawa.
- Czemu Tilda tak wrzeszczy? Jakby ją mordował!
- To nie nasza sprawa, Gideonie — powtórzyła Kate.

Leżałem jeszcze przez kilka minut. Axel przestał krzyczeć, ale za to Tilda zaczęła głośno łkać.

- Jezu Chryste... —jęknałem. — I co im powiemy rano? „Dobrze się nam spało”?

W tym momencie drzwi do sypialni Westerlundów otworzyły się i Axel krzyknął:

- *Du djävul! Du demonen! Lov henne ensam!*

Zaraz potem usłyszałem straszliwy łoskot, jakby ktoś przewrócił wielką szafę. Tilda znów zaczęła wrzeszczeć.

- Idziemy — oznajmiłem, wyskakując z łóżka.

Wyszedłem na korytarz w moich bokserkach w niebieskie paski. Było tam zupełnie ciemno, lecz Kate zapaliła jedną z nocnych lampek. Drzwi do sypialni gospodarzy były uchylone, więc podszedłem do nich, zapukałem i zawołałem:

- Tildo, nic ci nie jest? Co wy tam wyrabiacie?

Axel krzyknął coś ochryple i po chwili z sypialni z wrzaskiem wybiegła Tilda w długiej białej koszuli nocnej. Jej kołnierzyk był do połowy oderwany, rękawy powiewały w strzępach. Razem z Axelem rzuciliśmy się do niej, by ją złapać, lecz wyrwała się nam i z krzykiem pobiegła w głąb korytarza.

- Axel! — ryknąłem. — Co się dzieje, do diabła?!

Nie odpowiedział. Patrzył na mnie dzikim wzrokiem, jakby zupełnie mnie nie poznawał.

Ruszyłem za Tildą. Dobiegła do połowy korytarza, rzucając się na boki i zderzając ze ścianami. Tłukła o nie ciałem z taką siłą, jakby ciskał nią jakiś niewidzialny napastnik. W końcu wpadła na stolik, zrzucając z niego lampę. Klosz rozprysnął się na podłodze.

- Tilda! — zawołałem i chwyciłem ją za nadgarstki. — Tilda, uspokój się!

- Co? — wybełkotała. Miała przerażone, rozbiegane oczy.

- Nie wiem, co się dzieje, ale boję się, że zrobisz sobie krzywdę!

Wyjęczała coś po szwedzku zduszonym, histerycznym głosem, jakby błagała o życie, i nagle padła na kolana, wyslizgując mi się z rąk.

- Tilda, na litość boską!

Zaczęła rzucać się na boki, a potem popędziła korytarzem na czworakach. Zanim ją złapałem, zdążyła dotrzeć do drzwi wyjściowych, otworzyła je i ruszyła podestem ku spiralnym schodom.

- Tilda!

Skoczyła na schody z takim impetem, że pomyślałem, iż skręci sobie kark. Pobiegłem za nią, przeskakując po trzy stopnie. Mimo to znalazła się w holu przede mną.

Usiłowała otworzyć drzwi na zewnątrz, lecz były zamknięte. Zaczęła walić w nie ze złością. Ciężko dysząc, odwróciła się do mnie i obrzuciła mnie nieprzytomnym wzrokiem.

- *Inte röra jag!* — krzyknęła. — *Vill du höra?*

Potem zacisnęła pięści, a kiedy wrzasnęła, zadzwoniło mi w uszach.

Krzyczała tak głośno, że lustro na ścianie obok mnie pękło, a zwisająca z sufitu lampa eksplodowała jak bomba, zasypując mnie gradem błyszczących odłamków. Skuliłem się i zasłoniłem oczy rękoma.

Nagle wrzask ucichł. Odsunąłem dłonie od oczu. Tilda gdzieś zniknęła. Drzwi na zewnątrz nadal były zamknięte, więc pewnie wbiegła na piętro. Ruszyłem na górę, dysząc z wysiłku. Drzwi do mieszkania były otwarte.

W korytarzu zobaczyłem Kate.

- Nic ci nie jest? zapytała i spojrzała na moją głowę. — Coś ci się świeci we włosach.

- To szkło — odparłem, wybierając odłamki lampy. — Kiedy Tilda wrzasnęła, lampa pękła.

- Tilda jest u siebie w sypialni.

Nie mogłem uwierzyć w to, co właśnie powiedziała.

- Co?

- Tilda jest u siebie, Gideonie. Wszystko jest w porządku.

- Przecież ty też musiałś ją widzieć. Biegła korytarzem w koszuli nocnej i nagle zaczęła miotać się jak szalona. Patrz, zrzuciła lampę.

Lampa znów stała na stoliku, ale jej abażur był pogięty i brakowało w nim kilku kawałków barwionego szkła.

- Stoi tu, odkąd przyjechaliśmy — powiedziała Kate.

- Przecież wiem, co widziałem. Tilda zrzuciła ją przed chwilą.

- Wiem, ale teraz już leży w łóżku. My też powinniśmy się położyć.

Zdjęła kilka kawałków szkła z moich ramion. Spojrzałem na nią. Jej oczy znów były zamglone.

- Muszę zobaczyć się z Axelem i Tildą — oświadczyłem.

- Nie powinieneś im teraz przeszkadzać. Uspokoili się już.

- Może, ale chcę sprawdzić, czy Tildzie nic nie jest. Rzuciła ją po korytarzu jak szmacianą lalką, a potem rozbiła lampę na dole i lustro.

Podeszliśmy do drzwi naszej sypialni.

- Kate, lustra i lampy same nie pękają.

- No dobrze — ustąpiła w końcu.

Podeszła do sypialni Westerlundów i cicho zapukała do drzwi. Axel otworzył dopiero po drugim pukaniu. Zamrugał oczami i spojrzał na nas z niechęcią.

- Co się dzieje?

- Chcieliśmy się tylko upewnić, czy nic się wam nie stało.

- Oczywiście, że nie. Będziecie nas tak budzili każdej nocy?
- Przepraszamy - powiedziała Kate. — Gideon jest trochę zestresowany, bo ostatnio bardzo ciężko pracował.
- A ja mam jutro bardzo ważną konferencję i jeżeli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym się wyspać.
- Jasne — odparłem. — Przepraszam, że cię obudziłem.

Axel zamknął drzwi do sypialni, lecz przez ułamek sekundy widziałem Tildę. Siedziała oparta na poduszce i patrzyła na nas. Na widok jej twarzy poczułem niepokój. Była dziwnie niewyraźna, jakby poruszyła głowę podczas robienia zdjęcia.

Ale to na pewno była ona. W jakiś sposób dostała się z powrotem do mieszkania i wróciła do łóżka.



Kate wyłączyła światło. Przez chwilę leżeliśmy w nieprzeniknionych ciemnościach, nasłuchując odległych odgłosów porannego ruchu i niskiego dudnienia silników promu samochodowego, który płynął przez zatokę.

- Dość tego — powiedziałem w końcu. — Jutro wracam do domu. Nie zniosę kolejnej takiej nocy.

Kate objęła mnie.

- Nie możesz, Gideonie. Jutro jedziemy do pałacu Drottningholm, a pojutrze do Uppsali.

Wysunąłem się spod jej ramienia.

- Przykro mi, Kate, ale mam dość Westerlundów do końca życia i nie pojedę na tę wycieczkę. Chcę wrócić do domu. Może w Nowym Jorku również są ludzie tak samo szaleni jak oni, jednak przynajmniej nie pojawiają się w dwóch miejscach naraz.

- Gideonie, proszę cię... Przecież mówiłam ci, że bardzo cię tu potrzebuję.

- Wybacz mi, kotku, wyjeżdżam. Nie wiem, kto tu istnieje naprawdę, a kto nie. To może jest śmieszne, ale boję się jak cholera. Już nie wiem, czy sam naprawdę istnieję. Ktoś gonił Tildę po schodach, choć nigdy po nich nie schodziła, a jeżeli nie ja ją ścigałem, to kto?

Kate pocałowała mnie.

- Jesteś zmęczony i mówisz bez sensu.

- I tak wyjeżdżam.

Na długą chwilę zapadła cisza. W końcu Kate zapytała:

- Czy mogę cię poprosić o przysługę?

- Zależy jaką.

- Nie mogę cię namówić, żebyś został, ale czy możesz zatrzymać się w jednym miejscu po drodze do Nowego Jorku?

- Zatrzymać? Gdzie?

- Tylko na jedną noc, najwyżej dwie. Zadzwoń tam i dowiem się.

- Gdzie, Kate?

- W Londynie. Mam tam starych przyjaciół, mieszkają w South Kensington. Bardzo chciałabym cię z nimi poznać. Możemy też pozwiedzać miejsca, na które nigdy nie miałeś czasu, pałac Buckingham, Tower, London Eye...

- A czy ci twoi przyjaciele często się kłócą?

- Nie... Są bardzo do siebie przywiązani.

- Czy biegają po mieszkaniu w środku nocy?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Londyn... No dobrze, zastanowię się.

Kate znów mnie pocałowała.

- Jesteś aniołem, wiesz?

Pogłaskałem ją po włosach. Czułem jej oddech, ale było tak

ciemno, że w ogóle jej nie widziałem. Zastanawiałem się nad tym jak wyglądało moje życie, zanim ją poznałem. Było szare i brakowało mi natchnienia. Po co miałbym wracać do czegoś takiego?

- Nie jestem aniołem — odparłem. — Jestem tylko muzykiem. I nie chcę, by to, co jest między nami, skończyło się tak nagle.

ROZDZIAŁ 16

Rano znów zasnęłam. Otworzyłam oczy kwadrans po dziewiątej, ale gdy usiadłam, poczułam się, jakbym był na kacu. W głowie mi łupało, w ustach czułam okropny niesmak. Wygrzebałam się z łóżka i rozsunałam zasłony. Szare chmury zwieszały się nisko nad zatoką, a małe żaglówki podskakiwały na wodzie przy pachołkach, jakby chciały zerwać się z cum.

Wciągnąłem niebieskie drelichowe spodnie i założyłem biały sweter z golfem, po czym poszedłem do kuchni. Nikogo tam nie było, więc przeszedłem do salonu, wołając Kate, ale i tam nikogo nie zastałem. Ani Westerlundów, ani Kate. Mieszkanie opustoszało.

Wróciłem do kuchni. Otworzyłem błękitny porcelanowy słój, zamierzając zaparzyć sobie kawę, jednak okazał się pusty. Postanowiłem napić się soku pomarańczowego, ale w lodówce nie było nic dojedzenia ani do picia — tak samo jak wtedy, gdy tu przyjechałem. Nie znalazłem również nic w szafkach nad kuchenką, nawet puszki fasoli.

Miałem wrażenie, że obudziłem się w jakimś równoległym świecie. Może powinienem wrócić do łóżka, zasnąć i znów się obudzić?

Na parapecie kuchennego okna wylądowała mewa. Zastukała dziobem w szybę, jakby chciała mnie przed czymś ostrzec. Przez kilka sekund przyglądała mi się badawczo, po czym odleciała.

Wróciłem do sypialni i dopiero wtedy zauważyłem, że na podłodze leży bladoniebieska koperta. Prawdopodobnie spadła z narzuty, gdy wstawałem z łóżka. Podniosłem ją i otworzyłem. W środku znalazłem dwa klucze do patentowego zamka i kartkę.

„Gideonie, masz lot AY5927 z Arlandy o 11.45. Bilet odbierzesz przy biurku linii Finnair. Zatrzymamy się u Davida i Heleny Philipsów, przy Wetherby Gardens 37 w Londynie, kod SW5. Do zobaczenia na miejscu! Buziaki — Twoja Kate”.

Znów zarezerwowała sobie bilet na osobny lot. Tym razem zupełnie nie wiedziałem, czemu tak zrobiła. Ale może Victor miał ciężką paranoję i sprawdzał listy pasażerów każdej linii lotniczej.

Usiadłem na brzegu łóżka i powąchałem poduszkę, na której spała Kate. Nie poczułem jej zapachu — jakby jej tu nigdy nie było.

Zastanawiałem się, czy powinienem lecieć za nią do Londynu. Co będzie, jeśli okaże się, że David i Helena Philipsowie wrzeszczą na siebie w środku nocy i biegają po mieszkaniu, tłukąc lampy, a tak naprawdę spokojnie śpią w łóżku? Co będzie, jeśli znajdę ich dzieci w Tamizie?

Po chwili zdecydowałem, że jednak polecę, że muszę polecieć. Kate wielokrotnie powtarzała, że mnie potrzebuje, choć nigdy nie wyjaśniła do czego. Mimo to nie chciałem jej zawieść. Gdybym nie poleciał, nasz romans by się skończył. Być może ten związek nie przekształcił się jeszcze w głęboką miłość, lecz utrata Kate bardzo by mnie bolała. Zwłaszcza że codziennie widywałem ją na St Luke's Place i co noc spałaby z Victorem w mieszkaniu pode mną.

Najbardziej jednak chciałem odkryć, o co w tym wszystkim chodziło i dlaczego Kate tak zależało na wizytach u tych dziwnych ludzi. To, co mi się przytrafiło u Westerlundów, było naprawdę straszne, lecz tym razem moja determinacja przewyciężyła lęki. Nie chciałem do końca życia zastanawiać się nad tym, dlaczego widziałem i wyczuwałem ludzi tam, gdzie ich nie było. Chciałem to wiedzieć.

Spakowałem się, po czym opuściłem mieszkanie Westerlundów, zamykając za sobą lśniące czarne drzwi. Zaczęło padać i na Skeppsbron zrobiło się tak mroczno, jakby to był wieczór, a nie rano. Gdy udało mi się złapać taksówkę, kazałem zawieźć się na lotnisko Arlanda.

Sosnowy las przy drodze E4 wydał mi się jeszcze ciemniejszy niż poprzednio. Pomyślałem, że w takim lesie człowiek nie tylko może się zgubić, ale także zatracić zdolność odczuwania szczęścia. Patrząc z tylnego siedzenia na moknące w deszczu drzewa, obiecałem sobie, że nigdy tu nie wrócę.

Obietnica jest w pewnym sensie przepowiednią. Ale kiedy człowiek wstaje rano, nie wie, co przyniesie mu kolejny dzień i czy dożyje nocy.



W Londynie również lało. Czarna taksówka przepelzła przez Hammersmith Flyover, a potem przez Earl's Court, wzdłuż której ciągnęły się wysokie wiktoriańskie kamienice. Nie byłem już tak przygnębiony jak w Szwecji — do Anglii leciałem wraz z męskim chórem z Helsinek, który przez cały czas śpiewał fińskie pieśni ludowe. Zapisałem sobie kilka z nich, zamierzając je wykorzystać do reklam. Najbardziej wpadła mi w ucho Isontalon Antti — Andrzej z wielkiego domu.

- To tu, kolego — poinformował mnie taksówkarz.

Zaparkował przy krawężniku przed wielkim budynkiem z jasnej cegły, z białymi kolumnami przy frontowym wejściu, tylko odrobinę mniejszym od łuku triumfalnego na Washington Square. Zapłaciłem taksówkarzowi, ale chyba dałem mu zbyt mały napiwek, bo spojrzał na monety, jakbym je opluł.

- Za mało? — zapytałem.

- Nie, kolego, wystarczy. Nie chcę, żebyś się całkiem splukał.

Nigdy nie rozumiałem brytyjskiego poczucia humoru, więc odpowiedziałem tylko: „Chyba mi to nie grozi” i wysiadłem. Wszedłem po schodach domu numer 37 i spojrzałem na dzwonki. Były cztery, przy trzech widniały karteczki z wypisanymi eleganckim pismem nazwiskami lokatorów, lecz czwartej brakowało. Uznałem, że to dzwonek Philipsów. Nacisnąłem, lecz podobnie jak na Skeppsbron, tu także nikt się nie pojawił.

Otworzyłem frontowe drzwi kluczem, który dostałem od Kate, i wszedłem do wysokiego holu, wyłożonego białymi i czarnymi płytkami. Na złożonym stoliku w stylu regencji stał wazon z

pomarańczowymi gladiolami. W wysokim lustrze na końcu korytarza ujrzałem zmokniętego amerykańskiego kompozytora jingli w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym.

Drzwi do Philipsów były po lewej, tuż za gladiolami. Otworzyłem je, wołając:

- Cześć! Halo? Czy jest ktoś w domu?

Wiedziałem, że Brytyjczycy nie mogą mieć broni bez zezwolenia, ale zawsze lepiej być ostrożnym, niż dać sobie odstrzelić głowę.

W środku ujrzałem mniejszy korytarz z drzwiami po obu stronach. Dwoje z nich było otwartych. Za pierwszymi dostrzegłem bibliotekę, pełną regałów i grafik przedstawiających polowanie na lisy. Za drugimi znajdowała się duża żółta kuchnia z długim sosnowym stołem i oknami wychodzącymi na ogród, w którym pod ogołoconą z liści pergolą mokły dwa kamienne cherubiny.

Postawiłem walizkę na podłodze korytarza i zdjąłem płaszcz. Otworzyłem podwójne drzwi na wprost mnie i znów znalazłem się w salonie większym od całego mojego mieszkania. Dominowały w nim różne odcienie brązu, od grubych beżowych dywanów po czekoladowe story z atłasu.

W mieszkaniu panowała cisza — z zewnątrz dochodził tylko cichy szum opon na mokrej jezdni i dźwięk skrzypiec z mieszkania na piętrze. Ktoś usiłował na nich grać, lecz po kilku taktach zaczynał fałszować i przerywał, po czym próbował od nowa.

Mimo ciszy, a może właśnie dzięki niej, poczułem, jak przytłacza mnie mroczna fala niepokoju. Nie wiem, jak to opisać. Miałem wrażenie, że ktoś niewidzialny przeszedł przez pokój — albo nawet przeze mnie. Chciałem włożyć płaszcz, złapać walizkę i wyjść stąd jak najszybciej.

Gdy wszedłem do mieszkania Westerlundów, poczułem się jak intruz, bo nikogo nie było w środku. Ale tutaj czułem, że sam dom uważa mnie za intruza. Z obrazu nad kominkiem wpatrywała się we

mnie srogo kobieta w brązowej sukni. Jej wyraz twarzy mówił: „Nie chcemy tu takich jak ty”.

Wyjąłem komórkę i cicho przeszedłem po dywanie w stronę okna, by złapać zasięg. Zadzwoiłem do Margot, bo nagle zapragnąłem usłyszeć czyjś przyjazny głos.

Odebrała prawie natychmiast.

- Lalo? To ty? Jak tam w Sztokholmie?
- Rano wyleciałem stamtąd, a teraz jestem w Londynie.
- Myślałam, że zostanieie w Sztokholmie na co najmniej dwa tygodnie! Co robisz w Londynie?
- Sam nie wiem. Kate jeszcze nie doleciała. Wyjechałem ze Sztokholmu, bo przeżyłem tam kilka naprawdę dziwnych rzeczy.
- Usiłowałam dodzwonić się do ciebie parę razy.
- Tak? O której? Pamiętaj, że w Sztokholmie jest sześć godzin wcześniej.
- Przecież wiem. Dzwoniłam do ciebie o szesnastej, a potem o dziewiątej rano, ale za każdym razem w słuchawce słyszałam jakieś trzaski, jakby ktoś miał papier. Słyszałam też kogoś w tle, jednak nie zrozumiałam, co mówi.
- Pewnie to jakieś zakłócenia na łączach. A teraz dobrze mnie słyszysz?
- Tak, ale słyszę również jakieś inne głosy. Jesteś w barze?
- Nie, w mieszkaniu pewnej rodziny. Nie ma tu nikogo więcej.
- Na pewno słyszę kogoś jeszcze... Ktoś się kłóci albo płacze. Zaraz, na pewno słyszę czyjś płacz!
- Mówię ci przecież, że jestem sam.

Kiedy to mówiłem, kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Coś białego przemknęło przez kuchnię, po czym zniknęło za uchylonymi drzwiami.

- Margot, nie rozłączaj się przez chwilę, dobrze?
- Jesteś jakiś nieswój. Czy coś się stało?
- Chyba coś widziałem. Idę to sprawdzić.
- Co widziałeś?

Wszedłem do kuchni i zajrzałem pod stół. Przez chwilę widziałem tylko nogi krzeseł, a potem w kącie dostrzegłem biały puchaty kształt.

Okrzyżłem stół i zbliżyłem się do niego powoli.

- Kici, kici, nie bój się...

Kot wpatrywał się we mnie bez ruchu. Kiedy przykucnąłem nad nim, rozpoznałem go. Była to Małkin.

- Margot, jesteś tam?
- Tak, ale coś przerywa. Znów słyszę trzaski i czyjeś głosy.
- Margot, tu jest kot Kate.
- Co mówisz?
- Kot Kate! Biały pers. Jest tu w kuchni, w Londynie.
- Lalo, nie słyszę cię. Oddzwonię później, dobrze?
- Margot! Tu jest Małkin, kotka Kate! Cholera, skąd ona się tu wzięła?
- Przepraszam, ale zupełnie cię nie słyszę.

Zatrzasnąłem klapkę telefonu. Małkin nadal patrzyła na mnie, nie ruszając się z miejsca.

- Co ty robisz w Londynie, Małkin? No dalej, wiem, że umiesz mówić.

W odpowiedzi kotka ziewnęła, zamykając oczy.

Wstałem i wróciłem do salonu. Stałem przy oknie i znów spróbowałem dodzwonić się do Margot, lecz w słuchawce rozległ się

tylko nagrany głos jakiejś Angielki: „Przepraszamy, wybrany numer nie istnieje”.

Wielki pozłacany zegar na kominku wybił piątą po południu. Kate ani gospodarzy nadal nie było, więc postanowiłem wyjść i napić się czegoś. Czuję się zmęczony, opuszczony i obcy w kolejnym obcym kraju. Potrzebowałem towarzystwa bliskiego człowieka, a nie kota, którego nie mogło tu być.

Wychodząc, zjrzałem do kuchni. Małkin nadal tam siedziała dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłem, i wciąż na mnie patrzyła. Z jakiegoś powodu przypomniałem sobie nagle, co powiedział tybetański wróżbita Margot: „Biała pamięć cię obserwuje”.



Wszedłem na deszcz i ruszyłem ulicami pełnymi czarnych taksówek i czerwonych piętusów. Po kilku minutach marszu trafiłem na pub o nazwie Duke of Clarence. Z zewnątrz wyglądał bardziej jak statek niż lokal, lecz w środku było jasno, powietrze było świeże, a stojące na sali kanapy bardzo wygodne. Naliczyłem – jedynie pięciu klientów, włączając w to mnie. Jeden z nich spał z odchyłoną głową i otwartymi ustami. Zamówiłem kieliszek wina i usiadłem samotnie w kącie. Moje odbicie w lustrze naprzeciw było tak zmęczone, że natychmiast przesiadłem się, by go nie oglądać.

Dopiłem wino do połowy, gdy nagle ktoś zasłonił mi oczy. Obejmujące moją głowę dłonie należały do kobiety, miały pierścionki na palcach i pachniały lekkimi kwiatowymi perfumami.

- Zgadnij, kto to?

Zdjąłem dłonie z oczu i odwróciłem się. Za mną stała Kate. Miała na sobie jasnobrązowy trencz i czarny beret, skrzący się kroplami deszczu.

Wstałem, przytuliłem ją i pocałowałem.

- Kiedy przyleciałaś? I skąd wiedziałaś, gdzie jestem?
- Nie było cię u Davida i Heleny, więc uznałam, że pewnie poszedłeś się napić. Boże, ale mi się ciebie zrobiło żal, gdy zobaczyłam, że pijesz tu całkiem sam.

Skinąłem na kelnerkę.

- Chcesz coś? Chardonnay jest trochę ciepłe, ale da się je pić.

Zdjęła trench i usiadła obok mnie.

- Davida i Heleny nie było w domu, gdy przyjechałeś?
- Nie. Za to zastałem tam Małkin.

Kate zamrugła oczami.

- Małkin? Chyba żartujesz! Skąd wzięłaby się w Londynie?
- Nie mam pojęcia, ale to na pewno ona. Wszędzie poznałbym jej pełne dezaprobaty spojrzenie.
- Wobec tego ma brytyjskiego bliźniaka. Gdybym chciała ją tu przywieźć, musiałabym ją zaszczepić przeciwko wściekliznie co najmniej pół roku temu.
- No dobra, pewnie znów się pomyliłem. Skoro widzę dwie Elsy i dwie Tildy, mogę także widzieć dwie Małkin. Chyba nie powinienem tyle pić.

Kate ujęła moją dłoń.

- To pewnie kot Heleny. Mówiła mi kiedyś, że chce sobie kupić kota. Dwa lata temu Philipsowie stracili Gilesa, swojego jedyne go syna, i Helena jeszcze się nie pozbierała.
- To smutne. Ile miał lat?
- Trzydzieści. Po szkole chciał pójść na architekturę.
- Jak umarł?
- Philipsowie nigdy o tym nie mówią.

Kelnerka postawiła przed Kate wino. Zamówiłem drugi kieliszek dla siebie i od razu zapłaciłem. Kelnerka spojrzała na napiwek tak samo jak taksówkarz.

- Czy coś się stało? — zapytałem ją.

- Ależ nie, proszę pana. Siedem pensów... Jest pan niezwykle hojny.

- To dobrze. Dziękuję.

- Ależ nie, to ja dziękuję — odparła kelnerka i odeszła. Odwróciłem się do Kate:

- Wyglądasz jak rasowa Europejka.

- Dziękuję. Ty też wyglądasz bardzo światowo.

- Powiedz mi coś. Mam wrażenie, że zaprosiłaś mnie do Westerlundów i Philipsów, aby mi coś pokazać...

- Najpierw ja chciałabym cię o coś zapytać — przerwała mi Kate. — Wiesz, ile to jest siedem pensów?

- Nie mam pojęcia.

- Przy obecnym kursie to trochę ponad czternaście centów. Nie ma to jak sute napiwki, co?



Wróciliśmy na Wetherby Gardens. Przestało padać, na mokrym asfalcie szumiały opony samochodów, a ich światła odbijały się w czarnej nawierzchni czerwienią i bielą. Londyn miał swój charakterystyczny zapach: wilgoci, spalin i ciepłego powietrza z restauracyjnych wentylatorów.

- Zobacz — powiedziała Kate, kiedy dotarliśmy pod numer 37. Zasłony w salonie były zaciągnięte, ale widziałem przez nie światło dwóch lamp. — David i Helena są już w domu.

Poprowadziła mnie po schodach do wejścia. Otworzyłem drzwi frontowe swoim kluczem, a potem Kate zapukała do mieszkania Philipsów.

- Davidzie, Heleno? To ja, Kate!

Usłyszeliśmy brzęk łańcucha i szcęk zasuw, po czym drzwi się otworzyły. Powitał nas wysoki pięćdziesięcioletni mężczyzna o siwiejących kasztanowych włosach i czerwonej twarzy.

- Kate, jak dobrze cię widzieć! — zawołał i ucałował ją w oba policzki. Potem spojrział na mnie i wyciągnął dłoń. — A ty pewnie jesteś Gideon. Wszyscy mówią do ciebie Lolly, prawda?

- Właściwie to Lalo — odparłem. — Miło mi pana poznać.

David zaprosił nas do środka. Był typowym szczupłym, długonosym Anglikiem z wyższych sfer. Miał wyblakłe niebieskie oczy, jakby spędził zbyt wiele czasu na słońcu gdzieś w tropikach. Miał na sobie koszulę w barwną kratę i brązowe spodnie ze sztruksu. Mimo szczupłej sylwetki odznaczał mu się już mały brzusek, jak u kogoś, kto dobrze jada i zawsze wypija kieliszek porto po kolacji.

Z kuchni wyszła Helena i objęła Kate.

- Witaj, kochanie! — powiedziała. — Dawno cię u nas nie było, moja droga.

- Bardzo dawno — zawtórował jej David, poklepując Kate po ramieniu jak córkę. Albo psa.

Helena musiała być kiedyś bardzo ładna. Jej jasne, polakierowane i zaczesane do tyłu włosy przypominały grecki hełm. Miała pulchną twarz, maleńki nosek i błyszczące oczy. Brak zmarszczek zawdzięczała prawdopodobnie chirurgii plastycznej. Była ubrana w kostium z czarnego aksamitu, który niezbyt dobrze dawał sobie radę z jej obfitym biustem i bujnymi biodrami.

Sprawiała wrażenie bardzo serdecznej, gadatliwej i zabawnej. Gdy David nalewał nam wino, opowiadała, jak kiedyś wzięła ambasadora Stanów Zjednoczonych za kelnera i posłała go po kanapkę z wędzonym łososiem.

- A propos wędzonego łososia... — odezwałem się. — Kiedy wcześniej wszedłem do mieszkania, widziałem waszego kota.

- Naszego kota?

- Jest bardzo podobny do kotki Kate i pomyślałem, że to jej kot.

Helena pokręciła głową.

- Gideonie, my nie mamy kota. Może się przybłąkał?

- Przybłąkał? Siedział sobie w kuchni, jakby tu mieszkał.

- Nigdy nie mieliśmy żadnego zwierzaka — dodał David. — Helena chciała mieć kota, ale nigdy go nie kupiła. — Poklepał się palcem po nosie i pociągnął nim. — Jestem uczulony na koty.

- To dziwne. Skoro się przybłąkał, to jak wszedł do domu?

- Pewnie przez okno kuchenne. Może przyszedł z piętra.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu Helena powiedziała:

- Gideonie, Kate mówiła mi, że jesteś kompozytorem.

- Piszę głównie kawałki do reklam. Zupy, pieluchy, makaron o różnych kształtach, co tylko chcecie.

- To bardzo dobra muzyka — dodała Kate. — Napisał kiedyś melodię do reklamy kostki klozetowej, po której prawie się popłakałam.

David dolał nam wina. Gdy napełniał mój kieliszek, zapytałem:

- A czym ty się zajmujesz, Davidzie?

- Bankowością — odparł. — Pożyczkami międzynarodowymi.

- Ten krach na rynku kredytowym musiał wam niezłe dać w kość.

Czekałem na jego odpowiedź, ale David milczał, wpatrując się we mnie lekko nieprzytomnym wzrokiem, jakby myślał o czymś innym. Nagle wstał.

- Przepraszam was bardzo — powiedział, po czym szybko wyszedł z pokoju.

Zerknąłem na Kate, lecz ona tylko wzruszyła ramionami, dając mi w ten sposób znać, że również nie wie, co się stało. Helena opowiadała, jak kiedyś oblała czerwonym winem białą aksamitną podomkę księżnej Margaret.

- Mój Boże, jak bardzo było mi wtedy wstyd! Ale ona uśmiechnęła się do mnie słodko i powiedziała tylko: „Kurwa mać”

Korzystając z nieobecności Davida, udałem się do toalety. Obmyłem twarz zimną wodą i przyczesalem włosy. Poczułem się o wiele bardziej odprężony. Pomimo dziwnych wypadków w mieszkaniu Westerlundów zacząłem mieć nadzieję, że nasza wycieczka okaże się jednak przyjemna.

Wychodząc z łazienki, usłyszałem jakiś dźwięk przypominający miauczenie. Dochodził z pokoju po drugiej stronie korytarza, obok sypialni Davida i Heleny. Wahałem się przez chwilę, po czym podszedłem do drzwi i zacząłem nasłuchiwać. Dźwięk ucichł, ale gdy chciałem wrócić do salonu, usłyszałem go ponownie. Drzwi były przymknięte, więc uchyliłem je nieco szerzej i zajrzałem do środka.

Zobaczyłem niewielką sypialnię z jednym łóżkiem. Do ścian przypięto kilka plakatów drużyny Chelsea, a z sufitu zwisało kilkanaście plastikowych modeli samolotów. Pokój z pewnością należał do chłopca.

Znów usłyszałem ten sam dźwięk, więc wsadziłem głowę przez drzwi, spodziewając się, że na łóżku ujrzę Małkin.

Kota — Małkin lub jej kłona z mieszkania na piętrze — nie było w pokoju. Przy oknie zobaczyłem Davida, odwróconego do mnie plecami. To on wydawał ten dziwny dźwięk. Stał z opuszczoną głową i opierał się rękoma o parapet, jakby zaraz miał się osunąć na kolana.

Co ma zrobić gość, gdy widzi, że jego gospodarz płacze? Przecież dopiero co poznałem Davida. Czy powinienem uścisnąć go po męsku, czy zapytać, co się dzieje?

A może powinien zrobić to, co ja zrobiłem — po cichutku zamknąć drzwi i z uśmiechem wrócić do salonu, jakby nic się nie stało?

Kate wyciągnęła do mnie dłoń.

- Jesteś głodny? — zapytała. — Helena chciałaby zamówić przez telefon coś indyjskiego.

- Mam nadzieję, że lubisz ostre dania — powiedziała Helena. — Uwielbiam vindaloo z kurczaka, z dodatkową porcją zielonych papryczek, ale David nie jest w stanie tego przełknąć, więc zawsze kończy się na pasandzie.

- Może być — odparłem. — Czy wiesz, jak indyjskie jedzenie nazywa się w Indiach?

- Nie mam pojęcia.

-Food.

ROZDZIAŁ 17

- David płakał — poinformowałem Kate, gdy ściągała swój obcisły sweterek.

Nie wyglądała na zaskoczoną.

- Kiedy? — zapytała.

Siedziałem na krawędzi łóżka i ściągałem skarpetki.

- Wyszedłem z salonu do kibelka, a kiedy wracałem, David stał przy oknie w jednym z pokoi i płakał jak bóbr. Nie zauważył mnie. — Przerwałem na chwilę. — To pewnie był pokój jego syna, bo pod sufitem wisiały modele samolotów. Chyba zrobili z niego kapliczkę.

- Ale później, podczas kolacji, zachowywał się całkiem normalnie — odparła Kate. — Nawet opowiadał dowcipy.

Wstałem i rozpiąłem pasek.

- To nie moja sprawa... Po prostu nagle wyszedł z pokoju, żeby sobie popłakać. Dlaczego ktoś taki jak David płacze? No wiesz... wygląda na gościa z klasą.

- Możliwe, że coś mu przypomniało o utracie syna. Żal może się odezwać nawet po latach.

Położyliśmy się i Kate przytuliła się do mnie. Pokój gościnny, w którym spaliśmy, nie wyglądał wprawdzie tak okazale jak apartament, który przydzielono nam u Westerlundów, lecz na ścianach były tapety w złote wzory i umeblowano go angielskimi antykami. Stał w nim między innymi mahoniowy sekretarzyk oraz para neoklasycystycznych krzeseł Sheratona, które musiały kosztować ponad trzydzieści tysięcy dolarów.

- Gdy zmarła moja babcia, rodzice odziedziczyli po niej wielki kolonialny dom w Sherman w stanie Connecticut — zaczęła Kate. — Lubiłam po nim wędrować, kiedy byłam mała. Wydawało mi się, że słyszę, jak babcia chodzi po korytarzach na piętrze albo śmieje się w

pokoju obok. Ale nigdy nie mogłam jej zobaczyć, choćbym nie wiem jak szybko biegła po schodach lub wpadała do sąsiedniego pokoju. Okropnie mnie to denerwowało. Zawsze miałam wrażenie, że zjawiam się o ułamek sekundy za późno. Nie widziałam jej już nigdy. Czasami tak strasznie za nią tęskniłam, że ciągle płakałam.

- Spędziłaś dzieciństwo w Connecticut?

Przytaknęła.

- Chyba byłam wtedy szczęśliwa. Rodzice często się kłócili, ale mimo to bardzo się kochali. Za nimi też tęsknię.

- Oboje nie żyją? Musieli umrzeć dość młodo.

Kate odwróciła głowę.

- Tak. Cóż, czasami złe rzeczy spotykają nawet bardzo dobrych ludzi.

- Przykro mi...

Pocałowała mnie w ramię.

- Nie trzeba. To mnie powinno być przykro. Żałuję, że po przeprowadzce do Nowego Jorku nie odwiedzałam ich częściej. Teraz już nie mogę pojechać do nich na obiad, a tak bardzo bym chciała... Mogliby się nawet pokłócić, ale co tam, przecież zawsze się kłócili.

- Szkoda, że nie masz rodzeństwa, kogoś, z kim mogłabyś o tym porozmawiać.

- Przecież ty, chociaż masz brata, zawsze mówisz, jaki to z niego wrzód na tyłku.

- Ach, Toby... Tak, to prawda. Ale obaj bardzo się różnimy, bo on świata nie widzi poza sportem. Nigdy nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać.

Uśmiechnęła się.

- Lepiej się wyśpijmy — powiedziała. — Chcę cię jutro zabrać do Kensington Gardens. W czwartek pojedziemy do pałacu Buckingham, zwiedzimy Trafalgar Square i siedzibę parlamentu.



Zasnęła pierwsza, skulona w kłębek i odwrócona plecami do mnie. Objąłem ją w pasie i przytuliłem mocno. W mieszkaniu Philipsów było bardzo cicho, choć nadal słyszałem stłumiony hałas londyńskich ulic, przypominający daleki tupot ogromnego stada, pędzącego gdzieś w panice.

Nie wiem, ile czasu zasypiałem, kiedy jednak pogrążyłem się już we śnie, usłyszałem, że dzwoni telefon. Przez chwilę myślałem, że to część snu, ale nadal słyszałem ten dźwięk i po jakiejś minucie całkowicie się rozbudziłem.

Kate spała, a telefon wciąż dzwonił. Najwyraźniej nikt nie zamierzał podnieść słuchawki.

Wstałem z łóżka. Szczelina między zasłonami wpuszczała pomarańczowe światło latami, więc widziałem, dokąd idę. Otworzyłem drzwi. Telefon był w bibliotece. Już chciałem zapukać do Davida i obudzić go, ale pomyślałem, że skoro nic nie słyszy, pewnie jest bardziej zmęczony niż ja i nie powinienem go budzić.

Na sztywnych nogach wtoczyłem się do biblioteki, podszedłem do biurka Davida, podniosłem słuchawkę i zachrypniętym głosem powiedziałem:

- Rezydencja państwa Philipsów, słucham.

W odpowiedzi usłyszałem tylko ciche trzaski.

- Halo? Czy wiecie, która jest godzina? Kwadrans po drugiej nad ranem, do diabła!

I znów trzaski. Albo ktoś wybrał zły numer, albo była to jakaś usterka na linii. Już miałem odłożyć słuchawkę, gdy nagle usłyszałem w niej zdesperowany krzyk:

- Nie! Proszę, nie! To boli! Nie! Nie rób tego, proszę, nie rób tego!! Nie! Tylko nie do oczu! Nie, nie, nie!!! To boli!!!

Głos należał do jakiegoś chłopca, być może dwunastolatka.

- Halo? — odezwałem się. — Halo, słyszysz mnie?
- Błagam, nie wytrzymam już, nie rób tego więcej! Proszę, błagam!!
- Kto mówi!? — ryknąłem do słuchawki. — Nie mogę ci pomóc, skoro nie wiem, kim jesteś!
- Nie, nie, proszę! Aaaach! — krzyczał chłopiec.

Działo się coś przerażającego, ale dzieciak albo nie chciał powiedzieć, kim jest, albo po prostu nie mógł. Nie potrafiłem dłużej znieść jego krzyku i w końcu odłożyłem słuchawkę na widełki.

Przez chwilę stałem nieruchomo. Serce waliło mi jak młot. Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Podniosłem słuchawkę i wybrałam numer centrali.

Po paru sekundach usłyszałem obojętny kobiecy głos:

- Centrala, w czym mogę pomóc?
- Właśnie miałem telefon, zadzwonił do mnie jakiś chłopiec i krzyczał do słuchawki. Nie wiem, kto to był, ale chyba ktoś robił mu krzywdę.
- Powinien pan zadzwonić na policję.
- Chciałem się tylko dowiedzieć, z jakiego numeru do mnie dzwoniło.
- Próbował pan oddzwonić? Trzeba wybrać jeden-cztery- -siedem-zero.
- Nie, nie próbowałem. A może pani mogłaby to zrobić?
- Proszę poczekać, spróbuję.

Czekałem przez dłuższą chwilę, po czym telefonistka powiedziała:

- Od dwudziestego drugiego sierpnia nikt nie dzwonił na pański numer.

- To niemożliwe. Kilka minut temu odebrałem telefon.
- Bardzo mi przykro, ale właśnie patrzę na billing na ekranie. Ostatnie połączenie przychodzące było w czwartek dwudziestego drugiego sierpnia o trzynastej zero trzy.
- Przecież to mieszkanie znanego bankiera. Niemożliwe, żeby nikt nie dzwonił do niego od ponad miesiąca.
- Przykro mi, ale tak wynika z billingu. Nie widzę też żadnych połączeń wychodzących.
- No dobrze — odparłem, bo zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć.

Rozłączyłem się i zacząłem zastanawiać, co robić dalej. Słyszałem w telefonie, jak krzyczy jakiś chłopiec, ale jakim cudem mogłem to słyszeć, skoro nikt naprawdę nie dzwonił?

Wiedziałem, że nie ma sensu dzwonić na policję. Nigdy nie miałem do czynienia z brytyjskimi konstablami, ale jeżeli działali podobnie jak gliniarze z Nowego Jorku, którzy kiedyś przyjechali po włamaniu do mojego poprzedniego mieszkania, na pewno wzięliby mnie za czubka. Już sobie wyobrażałem, co powiedzą: „Słyszał pan krzyki jakiegoś chłopca, ale nikt do pana nie dzwonił? Czy bierze pan jakieś leki?”.

Wróciłem do łóżka. Gdy układałem się pod kołdrą, Kate poruszyła się i wymamrotała coś przez sen, ale się nie obudziła. Przez godzinę leżałem, intensywnie myśląc. Jak to możliwe, że od sierpnia nikt nie dzwonił do Philipsów? Może korzystali wyłącznie z komórek, a ze swoimi partnerami handlowymi i znajomymi wymieniali e-maile?

Na zewnątrz znów się rozpadało. Słyszałem bulgot wody w rynnach, a w mojej głowie nadal rozlegały się krzyki tamtego chłopca: „Nie rób tego, proszę, nie rób tego! Nie, nie, to boli!!!”.



Kiedy się rano obudziłem, wciąż było mroczno i nadal padało. David pojechał do pracy, lecz Helena została w domu i podała nam na śniadanie jajka na miękko ze świeżym chlebem. Jedliśmy przy stole kuchennym, patrząc na zalane deszczem patio.

- Teraz trudno uwierzyć, że często tam grillujemy — powiedziała nasza gospodyni.

- Helena robi przepyszne kebaby jagnięce — dodała Kate.

- Jak poznałaś moją przyjaciółkę? — zapytałem Helenę.

- Och, znamy się od bardzo dawna, prawda, Kate?

Przytaknęła z uśmiechem.

- Powinnaś zabrać Gideona do Instytutu Courtaulda — oświadczyła Helena. — Mają tam obrazy wspaniałych impresjonistów, Renoira i Gauguina, a także autoportret van Gogha po obcięciu ucha, z zabandażowaną głową.

- Chcę go zabrać do Kensington Gardens i pokazać mu Piotrusia Pana.

- No tak... — mruknęła Helena.

Z jakiegoś powodu nie była zachwycona tym pomysłem. Wstała, by zabrać talerze i kieliszki do jajek. Odniosłem wrażenie, że dzieje się coś złego, ale gdy popatrzyłem na Kate, nie odpowiedziała mi spojrzeniem.

- Heleno... to ważne. Musi pewne rzeczy sam zobaczyć.

- Wiem, ale nie jest mi łatwo.

Kate wstała i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Obiecuję, że to nie będzie trwało wiecznie — powiedziała.

Helena stała do mnie tyłem, ale domyśliłem się, że ociera łzy.

- Dobra z ciebie dziewczyna — szepnęła. — Nie przejmuj się mną. Zachowuję się idiotycznie.

Kate otoczyła ją ramieniem i przytuliła.

- Nawet tak nie myśl. Po tym, co przeszliście z Davidem...

Helena pociągnęła nosem i odwróciła się do mnie.

- Ty też się mną nie przejmuj, Gideonie. Może chciałbyś jeszcze tosta? Mam marmoladę z limonek i cytryn, jeżeli taką lubisz.



Do Kensington Gardens poszliśmy pieszo, kryjąc się pod wielkim czarnym parasolem. Idąc, opowiedziałem Kate o telefonie i krzyczącym chłopcu.

- Zadzwoń do centrali, ale powiedzieli mi, że od sierpnia nikt nie dzwonił do Philipsów, a oni też nigdzie nie dzwoniли. Przecież to bez sensu.

- Wkrótce wszystko zrozumiesz.

- Co to znaczy?

Kate pocałowała mnie.

- Popatrz, książę Albert! — zawołała.

- Chcesz powiedzieć, że mi nie wierzysz?

- Oczywiście, że ci wierzę. Nie sypiam z kłamcami.

- A Victor? — zapytałem.

- Mój mąż ma wiele wad, ale nie jest kłamcą — odparła.

Poprowadziła mnie ku gotyckiemu pomnikowi księcia Alberta pod ozdobnym zadaszeniem. Otaczały go rzeźby zwierząt z czterech stron świata: wielbłąd, byk, bizon i słoń. Książę miał bardzo nieszczęśliwą minę.

- Nie wygląda na uradowanego, prawda? — zauważyła Kate.

- Pewnie, że nie — odparłem. — W końcu nie żyje.

- Martwi wcale nie są nieszczęśliwi dlatego, że nie żyją, ale z powodu tego, jak umarli.

- Na pewno wiesz, jak to jest?

Kate roześmiała się, odskoczyła ode mnie i pobiegła ścieżką.

- Ruszaj się, niezguło! — zawołała.

ROZDZIAŁ 18

Po niespełna czterdziestu metrach zadyszała się i zwolniła. Dogoniłem ją, przytuliłem mocno i pocałowałem. Miała mokre włosy, a jej oczy były szare jak niebo nad nami.

- Chodźmy zobaczyć Piotrusia Pana — zaproponowała. — On nigdy nie umarł, ale też nigdy nie był szczęśliwy.

Ruszyliśmy krzyżującymi się ścieżkami biegnącymi pomiędzy nagimi drzewami. Pod parasolami siedziała grupka niań otoczona wózkami. Mały chłopczyk rzucał golden retrieverowi kij. Gdzieś ponad chmurami rozległ się ryk silników samolotu podchodzącego do lądowania na Heathrow, niemal zupełnie zagłuszając naszą rozmowę.

- Oto on — powiedziała Kate. — Chłopiec, który nigdy nie dorósł.

Posąg Piotrusia Pana był mniejszy, niż sobie wyobrażałem. Uwieczniona w brązie postać stała na pniaku i grała na fletni. Wokół niej roilo się od elfów, myszy, wiewiórek i królików.

- Postawili go tu w nocy, żeby wyglądało, jakby pojawił się za sprawą magii — dodała Kate.

Chłopiec, który pojawia się w środku nocy jakby za sprawą magii... „Proszę, nic rób mi krzywdy. Proszę, nie rób mi krzywdy. Błagam”.

- Znów myślisz o tym telefonie?

- Czuję się winny. Powinienem być zadzwonić na policję.

- Skoro nie zarejestrowano tej rozmowy, to jak mieliby ją namierzyć? Sam powiedziałaś, że nie można się dowiedzieć, kim był ten chłopiec.

- Mimo to chyba powinienem coś zrobić.

- Na przykład co?

Opuściliśmy Piotrusia Pana, z którego fletni skapywały krople deszczu, i ruszyliśmy z powrotem do pomnika księcia Alberta.

- Może pójdziemy dziś wieczorem do teatru? — zaproponowałem. — Chętnie obejrzałbym jedną z tych brytyjskich fars, w których każdy akt kończy się w cudzej sypialni. Przydałoby mi się trochę rozrywki.

Kiedy podchodziliśmy do pomnika, zauważyłem dwóch mężczyzn i idącego między nimi chłopca. Zbliżali się do nas jedną z prostopadłych ścieżek. Obaj mężczyźni mieli na sobie grube płaszcze, jeden czarny, a drugi szary, natomiast chłopiec był ubrany w granatową budrysówkę z kapturem.

Nie zwróciłem na nich uwagi, gdyby nie pewien szczegół. Kiedy znaleźli się jakieś sześćdziesiąt metrów od nas, zauważyłem, że chłopiec się zatacza jakby był pijany, a obaj mężczyźni trzymają go pod ramiona.

Byli coraz bliżej nas. Mężczyzna w czarnym płaszczu miał czarną czapkę na głowie i okulary przeciwsłoneczne na nosie, więc nie widziałem zbyt dobrze jego twarzy, ale zauważyłem jego haczykowaty nos, taki sam jak nos Jacka, kumpla Victora. Drugi mężczyzna miał zaczesane do tyłu siwe włosy i ogorzałą szeroką twarz o słowiańskich rysach.

Przecięli naszą ścieżkę zaledwie kilka metrów przed nami i wtedy chłopiec spojrzał na mnie. Przez ułamek sekundy widziałem jego twarz, skrytą w kapturze. Miał ciemnoczerwone obwódki wokół oczu, jakby ktoś mu je podbił, opuchniętą z jednej strony twarz i poranione usta. Pod nosem dostrzegłem plamę zaschniętej krwi.

- Co się stało? — zapytała Kate.

- Widziałaś twarz tego chłopca? Wyglądał, jakby ktoś go pobił.

- Gideonie...

- Idę tam... sprawdzę, czy nic mu nie jest.

- Nie rób tego, Gideonie. Ma przecież opiekunów.

- Może tak, może nie. A jeśli to oni go pobili?

Mężczyźni z chłopcem oddalili się już od nas o mniej więcej sto metrów. Na kolejnym skrzyżowaniu skręcili w prawo i zniknęli za drzewami.

- Zaczekaj tu, dobrze? — poprosiłem Kate. — Wracam za momencik.

Ruszyłem ścieżką. Znów zaczęło padać, tym razem mocniej. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że Kate otwiera parasol.

Ścigana przeze mnie trójka mignęła mi między drzewami. Zastanawiałem się, jakim sposobem udało im się tak bardzo oddalić w takim krótkim czasie. Pobiegłem szybciej, rozchlapując kałuże i łopocząc płaszczem. Jakaś japońska para w przeciwdeszczowych płaszczach obejrzała się za mną.

Kiedy jednak dobiegłem do zakrętu, już ich nie zobaczyłem, choć dróżka przez dobre czterysta metrów biegła prosto. Dostrzegłem dwie niańki z wózkami, starszą kobietę w różowym płaszczu z pudlem na smyczy, ale obaj mężczyźni i chłopiec gdzieś przepadli.

Może zeszli ze ścieżki między drzewa? Przebiegłem kawałek trawnikiem, lecz wśród drzew nikogo nie było.

- Powinieneś uważać, młody człowieku, bo jeszcze śmierć dogonisz — powiedziała starsza pani w różowym płaszczu, przechodząc obok mnie.

Wróciłem do Kate.

- Jesteś cały przemoczony — stwierdziła.

Wyciągnęła z kieszeni haftowaną chustkę i otarła mi twarz.

- Nic z tego nie rozumiem — oświadczyłem. — Wszyscy trzej przepadli.

- Zawsze tak jest w Londynie. Ludzie bardzo szybko gdzieś znikają, bo mnóstwo tu zakrętów i ślepych uliczek, nie tak jak w Nowym Jorku.

Pokręciłem głową.

- To nadal nie wyjaśnia, czemu tak szybko straciłem ich z oczu.

- Chodźmy — powiedziała Kate. — Zafunduję ci prawdziwe brytyjskie danie: rybę z frytkami.



Wieczorem atmosfera u Philipsów była nie wiadomo czemu bardzo napięta. Zjedliśmy obfity lunch, więc Helena podała tylko lekką kolację z sera i krakersów. Była niespokojna i nerwowa. Ciągle wstawiała od stołu i wyglądała przez drzwi do ogrodu, jakby myślała, że ktoś tam jest.

David nie jadł z nami. Siedział w bibliotece, ale drzwi zostawił uchylone. Rozmawiał przez telefon, milcząc długo pomiędzy kolejnymi zdaniami. Idąc do salonu, usłyszałem, jak mówi:

- Tak... Tak, wiem, czego chcesz. Nie mogę. Jak mam się zgodzić na coś takiego?

Wpół do dziewiątej wyszedłem na spacer z Kate. Przestało padać i ucichł wiatr, więc było o wiele cieplej i chodniki zaczynały wysychać. Doszliśmy aż do Chelsea Embankment i ruszyliśmy brzegiem Tamizy. Most księcia Alberta skrzył się kolorowymi światłami, których odbicia tańczyły w ciemnej wodzie.

- W tym mieście jest coś dziwnego... — powiedziała Kate — Ludzie tutaj są bardzo skryci. Właściwie cały Londyn jest skryty. Za zamkniętymi drzwiami domów dzieją się różne rzeczy, o których nikt nie mówi.

Oparliśmy się o balustradę nad rzeką.

- Czy David ma jakieś kłopoty? — zapytałem.

- Słyszałeś, jak rozmawiał przez telefon?

- Tak. Chyba ktoś na niego naciskał.

- W końcu jest bankierem. Pewnie często jest pod presją.

- Rozumiem, ale to raczej nie była rozmowa o interesach. Nie podjęła tego wątku. Przyglądałem się przez chwilę, jak wieczorny wiatr rozwiewa jej włosy. W końcu zapytałem:

- Czy chciałabyś odejść od Victora? Rozwieść się z nim?

- Dla ciebie?
- Nie, dla Brada Pitta. Pewnie, że dla mnie.

Po chwili milczenia odpowiedziała:

- Dobrze by było, prawda?
- Już jest dobrze, ale gdybyś od niego odeszła, byłoby cudownie.
- Sęk w tym, że nie mogę.
- Dlaczego? Na litość boską, ten facet jest fanem Tony'ego Bennetta!

Uśmiechnęła się i wzięła mnie za rękę.

- Chodźmy napić się czegoś przed snem, dobrze? Niedaleko stąd jest winiarnia.
- Nie odpowiesz na moje pytanie?
- Chyba już ci odpowiedziałam. Po prostu nie mogę, choćbym bardzo tego chciała.
- Czemu? Czy Victor trzyma cię przy sobie jakimś sekrecikiem? Może wie, że oszukiwałaś na konkursie ortograficznym w szkole? O co chodzi?

Poszliśmy do zatłoczonej winiarni Corkers. Usiedliśmy obok pary, która najwyraźniej miała zamiar rozpocząć kłótnię „mającą zakończyć wszystkie kłótnie”, bo patrzyła na siebie gniewnie w milczeniu przez ponad pół godziny.

- Chcę, żebyś wiedział, że ze wszystkich osób, które poznałam, jesteś dla mnie najważniejszy. I to z bardzo wielu powodów — oświadczyła Kate.
- Ale mimo to nie możesz odejść od Victora?

Pokręciła głową.

- Nie mogę. A gdybyś wiedział dlaczego, nie chciałbyś mnie więcej widzieć.

- Kate, ja naprawdę mam otwarty umysł... Co takiego zrobiłaś, że nie chciałbym cię więcej widzieć?
- Gideonie, nie poradziłbyś sobie z tą prawdą.
- Byłaś mężczyzną? Przeszłaś operację zmiany płci? Znow pokręciła głową, choć tym razem uśmiechnęła się lekko.
- Czy nie możemy po prostu cieszyć się wspólnymi chwilami i nie myśleć o przeszłości?



Gdy wróciliśmy do mieszkania Philipsów, David i Helena już spali. Zostawili nam światło w salonie, a Helena napisała kartkę: „Czujcie się jak u siebie. Jeżeli jesteście głodni, w lodówce jest kurczak na zimno — H.”.

Byliśmy zmęczeni i nie chciało nam się jeść, więc wzięliśmy prysznic i poszliśmy spać. Przez chwilę przytulaliśmy się do siebie, a potem Kate odwróciła się do mnie plecami i zasnęliśmy.

Śniło mi się, że chodzę po zamrzniętym jeziorze. Było ciemno i wiedziałem, że muszę dostać się na drugi brzeg, nim zapadnie noc. Po lewej widziałem ciemny sosnowy las, podobny do tego, jaki rósł przy drodze na lotnisko w Szwecji. Na drugim brzegu ujrzałem skupisko dziwacznych namiotów we wszelkich kształtach i rozmiarach, nad którymi wzbijał się obłok dymu.

Lód skrzypiał mi pod nogami i bałem się, że nie wytrzyma. Szedłem coraz szybciej, a lód trzeszczał coraz głośniejsze. Byłem pewien, że za chwilę wpadnę do wody i utonę.

Otworzyłem oczy. Nie przemierzałem zamrzniętego jeziora — leżałem w łóżku razem z Kate. Mimo to wciąż słyszałem trzaski,

równie głośne jak we śnie. Zauważyłem, że światło między zasłonami migocze, jakby latarnia przed domem miała zaraz zgasnąć.

Wygramoliłem się spod kołdry i podszedłem do okna. Rozsunąłem zasłony i zobaczyłem okno sypialni Philipsów, znajdujące się pod kątem prostym do naszego. Tańczyły w nim pomarańczowe płomienie.

Potrząsałem Kate za ramię i krzyknąłem:

- Kate, obudź się, pożar!

Natychmiast się poderwała.

- Co?

- Pali się w sypialni Davida i Heleny!

Odciągnąłem zasłony do końca, ale gdy znów spojrzałem na okno pokoju naszych gospodarzy, zrozumiałem, że to nie u nich się pali. Ogień po prostu odbijał się w szybach. W jego świetle zauważyłem Davida. Wyglądał na zewnątrz. Nie wiedziałem, co wyraża jego twarz, bo przesłaniały ją migoczące płomienie, lecz mimo to widziałem łzy płynące po jego policzkach.

Najdziwniejsze było to, że nigdzie na zewnątrz nie widziałem ognia. Jego źródło powinno znajdować się na środku ceglanego patio, pomiędzy dwoma cherubinami, lecz tam też go nie było.

- Widzisz? — powiedziałem, odwracając się do Kate. — W oknie odbija się ogień, którego nie ma.

Podeszła do mnie.

- To nie ogień, ale latarnia — odparła.

Spojrzałem ponownie na okno i pomyślałem, że chyba ma rację, choć z trudem mogłem w to uwierzyć. Pomarańczowe odbicie, które tańczyło na szybach okna sypialni Philipsów, było prawdopodobnie po prostu światłem sodowej latarni stojącej po drugiej stronie ulicy, sączącym się przez gałęzie bezlistnego drzewa.

Wciągnąłem wiszące na krześle spodnie i włożyłem sweter, wyszedłem razem z Kate na korytarz, podszedłem do drzwi sypialni gospodarzy i zapukałem.

Odpowiedziała mi cisza, więc zapukałem ponownie i zawołałem:

- Davidzie? To ja, Gideon! Czy coś się stało?

Już miałem wejść do środka, gdy drzwi się otworzyły. W progu stał David w czerwonej piżamie w tureckie wzory, mrugając oczami.

- Tak? O co chodzi?

- Widziałem cię w oknie. Wydawało mi się, że się pali.

- Pali się? Gdzie? Spałem...

- Widziałem cię. Zobaczyłem, że w oknie odbija się ogień, a ty na niego patrzyłeś i płakałeś. W każdym razie miałeś załzawione oczy.

- Naprawdę? — zdziwił się David. — Może po prostu padłeś ofiarą złudzenia optycznego? Kiedy byłem w Sudanie, ciągle widywaliśmy miraże. Czasem człowiekowi wydawało się, że widzi całe miasto, choć żadnego miasta w pobliżu nie było.

Nic miałem pojęcia, co mam odpowiedzieć. Nie mogłem nawymyślać mu od kłamców w jego własnym domu. Byłem święcie przekonany, że widziałem w jego oknie odblask pożaru. Byłem pewien, że patrzył na ogień i płakał.

- No cóż... — mruknąłem w końcu. — Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie przejmuj się — odparł. — I tak bardzo źle sypiam. Zwykle budzę się kilka razy. Wtedy czytam albo rozwiązuję krzyżówkę z „Daily Telegraph”.

Zamknął drzwi.

- Chodźmy do łóżka — powiedziała Kate. — Jutro przed nami cały dzień zwiedzania. A właściwie to już dziś — dodała.

- Jeszcze nie — odparłem. — Chcę rzucić okiem na podwórze. Jeżeli to rzeczywiście było złudzenie, chcę wiedzieć, jak powstało.

Wszedłem do kuchni i odblokowałem drzwi na taras. Noc była wietrzna, lecz niezbyt zimna. Drzewa uginały się pod naporem wiatru, który niósł z oddali łoskot pociągu. Był to jeden z najbardziej nabrzmiałych tęsknotą dźwięków na świecie.

- Powinieneś włożyć buty — stwierdziła Kate.

- To potrwa tylko moment — odparłem.

Obszedłem podwórko, a Kate podążyła za mną. Chciałem zobaczyć, gdzie mógł znajdować się ogień, odbijający się w oknie sypialni Davida. Byłem przekonany, że musiał płonąć między dwoma kamiennymi cherubinami.

Przykucnąłem i dotknąłem cegieł. Były bardzo zimne, lecz gdy przyjrzałem się im uważniej, zauważyłem, że część z nich była popękana. Jak od wysokiej temperatury. Zauważyłem również ciemną plamę na środku. Możliwe, że był to ślad po ogniu.

Paliło się tutaj, ale chyba nic teraz — oświadczyłem, po czym podniosłem się i dodałem: — Na pewno widziałem też, że David płakał, choć on twierdzi, że tak nie było. Powiedział mi, że spał. A może widziałem coś, co wydarzyło się tutaj nie dzisiaj, lecz innej nocy?

Wróciliśmy do kuchni.

- Czy to samo przytrafiło mi się w Sztokholmie, gdy widziałem, jak Jack porywał Felicię? — zapytałem. — Może potrafię widzieć wydarzenia z przeszłości tak samo wyraźnie, jakby znów miały miejsce? Albo może widzę rzeczy, które jeszcze się nie zdarzyły? A może widzę coś, co mogłoby się zdarzyć?

- Tylko ty możesz odpowiedzieć na te pytania — odparła Kate.

Pokręciłem głową.

- Nie zdawałem matmy w siódmej klasie, nie mówiąc już o rozszerzonej fizyce, ale czytałem o takich przypadkach. Pewne małżeństwo spod Gettysburga zaklinało się, że co roku w ostatnią noc czerwca słyszało, jak obok ich domu przejeżdżają setki wozów i żołnierzy na koniach w drodze na pole bitwy.

- Gideonie, czy wiesz, że mówisz o duchach?

- Nie, nie o duchach. Nie o zjawach w prześcieradłach. Tu chodzi o jakieś zaburzenie ciągłości czasu. To tak, jakby rozrzucić talię kart i ułożyć ją w złej kolejności. Sądzę, że to możliwe, ponieważ widziałem to na własne oczy.

Wróciliśmy do łóżka. Pomyślałem, że chyba zaczynam rozumieć wszystko, co mi się przytrafiało. Kate powiedziała mi kiedyś, że mam rzadki dar, i być może ten dar polegał właśnie na oglądaniu przeszłości i przyszłości w taki sposób, jakby wszystkie przeszłe i przyszłe wydarzenia miały miejsce w teraźniejszości, i przeżywaniu ich wraz z dźwiękami i zapachami.

Kierkegaard powiedział, że życie można zrozumieć, patrząc na nie wstecz, ale żyć trzeba naprzód. Może byłem wyjątkiem od tej reguły?



Następny dzień był słoneczny, lecz znacznie zimniejszy. Nad Londynem przetaczały się wielkie białe cumulusy, przypominające elżbietańskie galeony pod pełnymi żaglami. Kate, zgodnie z obietnicą, zabrała mnie do pałacu Buckingham, na Trafalgar Square i do siedziby parlamentu.

Zachowywaliśmy się jak zwykli amerykańscy turyści, ale Kate nie chciała, żebym robił jej zdjęcia.

- Nie mam ochoty znaleźć ich po dwudziestu latach i zacząć wspominać, jaka byłam młoda i szczęśliwa. Nie sądzisz, że życie jest i tak wystarczająco przygnębiające? Po co robić zdjęcia, które w przyszłości doprowadzą cię do łez?

- Chcę po prostu zapamiętać ten dzień. A jeśli popłaczę się nad nimi, to cóż, trudno.

Pocałowała mnie.

- Na pewno go zapamiętasz. Obiecuję ci.

Lunch zjedliśmy w Rules przy Maiden Lane, najstarszej restauracji w Londynie, siedząc na ławie obitej czerwonym pluszem. Zamówiliśmy ostrygi i piezzonego bázanta, a na deser biszkopt w syropie cukrowym. Czuliśmy się jak postaci z ksiązek Dickensa.

Potem poszliśmy na spacer do St James's Park. Stańliśmy nad brzegiem jeziora, gdzie dwóch pracowników parku karmiło rybami niewielkie, ale bardzo łakome stadko pelikanów.

- Dokąd chcesz iść jutro? — zapytała mnie Kate. — Nie byliśmy jeszcze na zakupach, moglibyśmy pójść do Harrodsa.

Już miałem odpowiedzieć, lecz nagle znieruchomiałem, bo zobaczyłem tych samych mężczyzn i chłopca, których widzieliśmy poprzedniego dnia w Kensington Gardens. Szli wzdłuż przeciwległego brzegu jeziora. Tak jak wczoraj, jeden z nich był w czarnym płaszczu, ciemnych okularach i czarnej czapce, a drugi w szarym płaszczu i szarym szaliku, zakrywającym usta. Chłopiec miał na sobie budrysówkę z kapturem na głowie.

- Kate, patrz! Nie do wiary, to ci sami faceci i chłopiec co wczoraj.

Przysłoniła oczy.

- Tak, masz rację — przyznała. — Ale to pewnie zbieg okoliczności.

Chłopiec zataczał się jak wczoraj. Mężczyźni musieli go podtrzymywać, żeby nie upadł.

Przez chwilę patrzyliśmy, jak idą ścieżką. W końcu powiedziałem:

- Może powinienem zadzwonić na policję?

- Po co? — zapytała Kate. — Wyglądają całkiem normalnie, nikt nie zwraca na nich uwagi.

- Może i nie... Ale popatrz, jak ten chłopak się zatacza.

- Może jest upośledzony?

- Nie wiem. To wszystko jest cholernie dziwne.

Pomimo złych przeczuć, jakie budził we mnie widok mężczyzn i chłopca, niewiele mogłem zdziałać. Przez jezioro biegł most, jednak był zbyt daleko ode mnie. Zniknęliby mi z oczu, zanim dobiegłbym na drugi brzeg. Choć chłopak wciąż się chwiał, cała trójka szła nadszpiewanie szybko, jak na przyśpieszonym filmie. Wkrótce znaleźli się naprzeciwko nas. Zmierzali na wschód, w stronę najbliższej ulicy.

W pewnym momencie chłopak odwrócił głowę, spojrzał prosto na mnie i coś zawołał. Nie zrozumiałem go, był za daleko, lecz jego głos wyrażał rozpacz.

- Dość tego — oświadczyłem. — Dzwonię na policję.

Kate chwyciła mnie za ramię.

- Nie rób tego — powiedziała.

- Sama przecież widzisz, że chłopak ma kłopoty — zaprotestowałem.

- Gideonie, zostaw ich w spokoju. Jest już za późno, by mu pomóc.

Spojrzałem na nią zdumiony.

- Co to znaczy? Skąd to wiesz?

- Po prostu wiem. Wczoraj w nocy miałeś rację. Stało się to samo, co w Sztokholmie.

- Znasz tego chłopaka? Wiesz, kim on jest?

- Tego nie mogę ci powiedzieć.

Mężczyźni i chłopiec doszli do ulicy, przeszli na drugą stronę i zniknęli za przejeżdżającymi samochodami. Wyglądało to jakby nagle rozplynęli się w powietrzu.

- Ja tak dalej nie mogę — stwierdziłem. — Muszę wiedzieć, co się dzieje. Jeżeli nie możesz mi tego powiedzieć, będę musiał z nami skończyć. Przykro mi.

- Powiedziałeś, że mi ufasz. Proszę, nie odwracaj się ode mnie.

- Chcę ci ufać, ale nie dajesz mi ani jednego powodu, by ci wierzyć.

- Nie mogę ci go dać. I nawet nie powinnam musieć. Właśnie na tym polega zaufanie.

- No dobrze... Powiedz mi coś. Czy temu chłopcu coś grozi? Czy ci faceci robią mu krzywdę?

Spojrzała na mnie. Nie potrafiłem niczego odczytać z jej twarzy. Była jak posąg Piotrusia Pana — czarodziejska i tajemnicza. Za jej plecami stado ptaków poderwało się z tafli jeziora z nagłym łopotem skrzydeł.

- Nic mu nie grozi — odparła. — Przysięgam.

- Ale nie możesz mi powiedzieć, kim on jest? Nie możesz mi powiedzieć, skąd go znasz ani gdzie idzie z tymi facetami i dlaczego spotykamy ich już drugi dzień z rzędu?

- Nic.

- Nie? Bo „nie, i już”?

Zalała mnie fala złości, lecz po chwili powiedziałem sobie: nie bądź taki marudny. Zgodziłeś się wyjechać, zgodziłeś się zagrać w jej grę, choć nie wiesz, na czym polega, więc poczekaj teraz, by zobaczyć, jak to wszystko się skończy.

Ruszyliśmy z powrotem do The Mail. Kiedy tam dotarliśmy, minął nas regiment Królewskiej Straży Konnej w błyszczących srebrnych hełmach, napierśnikach i czerwonych kurtkach, pobrząkując ostrogami. Gdy patrzyliśmy na nich, Kate powiedziała:

- Widzisz? Pokazałam ci prawdziwy Londyn.

- Sztokholm też mi pokazałaś. A co z innymi rzeczami, które również mi pokazałaś? Co z córkami Westerlundów i Philipsami?

Nic nie odpowiedziała. Choć to również mnie złościło, nadal uważałem ją za jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znałem. Uświadomiłem sobie niemal z bólem, że bardzo ją kocham. Może była trochę za bardzo tajemnicza, ale dodawało jej to jeszcze uroku.

Zbliżała się do nas czarna taksówka. Pomarańczowy napis oznajmiał, że jest wolna. Kate podniosła rękę i zagwizdała tak przeraźliwie, że każdy nowojorski portier byłby z niej dumny.

ROZDZIAŁ 19

Wieczorem atmosfera u Philipsów była jeszcze gorsza niż poprzedniego dnia. Na kolację Helena podała gęstli zupę z soczewicy. David jadł z nami, lecz co chwila musiał wstawać do telefonu w bibliotece. Kiedy wracał do siołu, za każdym razem był coraz bardziej zdenerwowany.

Helena ciągle wyglądała przez okna na tyły domu i prawie nie słuchała tego, co Kale do niej mówi.

- Zeszłej zimy wybrałaś się z Davidem na rejs po Morzu Śródziemnym, prawda?

- Co takiego?

- Zastanawiałam się tylko, czy wam się podobało.

- Ach, tak! Nie przejmowaliśmy się innymi pasażerami, spędzaliśmy cały czas razem. Posiłki były pyszne i bardzo obfite.

- Co zwiedziliście?

Helena zmarszczyła brwi, jakby nie zrozumiała pytania, lecz po chwili odpowiedziała:

- Gibraltarc, Barcelonę, Ajaccio. Bardzo nam się podobało. Ale chyba nie popłyniemy więcej.

David wrócił z biblioteki i usiadł przy stole. Przez chwilę mieszał w swoim talerzu, po czym go odsunął.

- Czy coś się stało? — zapytałem go.

- Słucham? Ach tak, stało się. Cóż, samo życie.

- Może mógłbym pomóc?

- Pomóc? — Uśmiechnął się gorzko. — Bóg jeden wie, jak tu można pomóc.



Poszliśmy do łóżka i zaczęliśmy się kochać, ale byłem zmęczony, a Kate najwyraźniej coś innego zaprzętało głowę, więc po kilku minutach opadłem na poduszkę i mruknąłem:

- Spróbujemy rano.
- Dobrze — odparła Kate i pocałowała mnie w ramię.

Nadal widniały na nim ślady po jej zębach. Były sine i wciąż bolały.

- Chcę kupić sobie jutro taki sam sweter w romby, jaki ma David... a także koszulę w kratę i piaskowe sztruksy — powiedziałem po chwili.
- Chcesz wyglądać jak typowy średniozamożny Brytyjczyk w średnim wieku?
- Czemu nie? David wygląda bardzo elegancko w tych ciuchach.
- Biedny David...
- Dlaczego biedny? — zapytałem.
- Jest w nim coś tragicznego. Jest jak jeden z szekspirowskich bohaterów skazanych na cierpienie i ból. Nie zmieni przeznaczenia, choćby bardzo się starał.
- Znow twierdzisz, że ludzie nie mają wyboru?
- Bo nie mamy, jeżeli coś już się wydarzyło. Można wierzyć, że da się zmienić przyszłość, ale przeszłości nigdy nie odmienimy.
- Nie widziałaś tego filmu, zaraz... jak on się nazywał? Efekt motyla. Bohater próbuje zmienić przeszłość, by lepiej ułożyć sobie życie, ale za każdym razem wypada to jeszcze gorzej.

Kate znow mnie pocałowała.

- Cóż, sam widzisz.

- Co widzę? — zapytałem, ale Kate odwróciła się ode mnie. — Co widzę? No co?



Po raz kolejny śniło mi się, że przemierzam zamrożone jezioro i lód trzeszczy mi pod nogami. Tym razem jednak słyszałem jakieś uderzenia podobne do bicia w bębny i czyjeś krzyki.

Obudziłem się nagle, zalany lodową falą strachu. Nadal słyszałem trzaski i uderzenia, a za oknem sypialni tańczyło pomarańczowe światło.

- Kate! — zawołałem. — Kate? Znowu się zaczyna!

Wygramoliłem się z łóżka i rozsunąłem zasłony. Tym razem na dworze paliło się naprawdę. Ogień palił się między dwoma cherubinami i znów odbijał się w oknie sypialni gospodarzy. David stał w nim jak ubiegłej nocy i patrzył na taras, lecz tym razem nie płakał, ale krzyczał i walił pięściami w szyby.

Spojrzałem na ogień i zorientowałem się, że płonie w nim jakaś kobieta. Klęczała na patio, otoczona szalejącymi płomieniami, z ramionami wyciągniętymi do góry i cały czas krzyczała. Ogień strzelał tak wysoko, że z początku nie widziałem jej twarzy. Po chwili płomienie osłabły, bo przez podwórze przetoczył się podmuch wiatru, i wtedy ją rozpoznałem. Była to Helena.

Jej włosy tryskały pomarańczowymi iskrami, a twarz była już niemal całkiem zwęglona.

- Kate! — ryknąłem i potrząsnąłem nią, lecz ona tylko przewracała się bezwładnie z boku na bok i nie chciała się obudzić.

Postanowiłem działać. Zerwałem z łóżka kołdrę i pociągnąłem ją do kuchni. Chciałem otworzyć drzwi na patio, jednak klucz zaciął się w zamku. Helena wciąż płonęła, gwałtownie wymachując rękami — jakby tonęła w wodzie, nie w ogniu.

Kopnąłem drzwi, ale nawet nie drgnęły. Były zamknięte na dwie zasuwę. Helena wrzeszczała coraz przeraźliwiej. Wiedziałem, że mam tylko kilka sekund, aby uratować jej życie. Na płycie kuchenki stał ciężki czarny rondel. Podniosłem go z zamiarem wybicia nim okien i wydostania się na podwórze.

Jednak zanim doszedłem do drzwi, Helena wydała z siebie wrzask tak przenikliwy, że zaboląły mnie uszy. Szyby w oknach pękły, szkło zasypało podłogę i po chwili uświadomiłem sobie, że depczę po nim bosą.

W drzwiach kuchni pojawiła się Kate z potarganymi włosami, mrugając oczami.

- Gideonie, co ty wyprawiasz?

Przykucnąłem, by przejść przez wybitą szybę, ale płomienie zaczęły przygasać, zanim wydostałem się na patio.

Udało mi się wyjść na zewnątrz i przeciągnąć kołdrę przez dziurę. Kiedy wstałem, płomieni już nie było i patio oświetlały wyłącznie uliczne latarnie.

Ogień, dym i Helena zniknęły. Na ceglach między cherubinami pozostał jedynie ciemny ślad. Nie musiałem go dotykać. Wiedziałem, że jest zimny jak kamień.

Odwróciłem się. Okno Philipsów było zasłonięte, David zniknął. Kate przekręciła klucz w drzwiach prowadzących na patio i otworzyła je.

- Nic ci się nie stało? — zapytała. — Nie pokaleczyłeś się tym szkłem?

Z lewej stopy leciała mi krew, ale gdy ją obejrzałem, okazało się, że rany nie są zbyt głębokie.

- Nic mi nie jest. Nie wiem, co się dzieje. Widziałem Helenę, dokładnie w tym miejscu. Palila się żywcem, jakby ktoś oblał ją benzyną i podpalił, wiesz, jak buddyjski mnich.

- Chodź, Gideonie — powiedziała Kate. — Wracaj do środka.

Rozejrzałem się dokoła.

- Cholera, przecież widziałem, jak się paliła. Wymachiwała rękami i okropnie wrzeszczała, ale teraz nie ma jej tam.

Kate wyciągnęła rękę.

- Gideonie, chodź — powtórzyła. — Wracaj do łóżka.

Z ociąganiem pokuśtykałem za nią do kuchni. Zamknęła drzwi na taras.

- Nie ma sensu zamykać ich na klucz — stwierdziła. — Rano od razu zadzwonię do szklarza, żeby wstawił nową szybę.

Przyciągnąłem sobie krzesło i usiadłem. Moje serce wciąż łomotało jak szalone.

- Koniec z tym, Kate. Nie wiem, czemu mam zwidy i co chcesz mi pokazać, ale mam tego serdecznie dosyć. Jutro wracam do domu.

Podeszła do zlewu i po chwili wróciła ze zmoczonym ręcznikiem.

- Podnieś stopę. Obmyję ci nogę, zanim zakazisz się tężcem albo jakimś innym paskudztwem.

- Nie zamierzasz mnie prosić, żebym został?

- Nie — odparła. — Chyba już dość widziałeś.

- Wierzysz, że naprawdę widziałem Helenę?

- Tak.

- Alleluja! Po raz pierwszy odpowiadasz mi wprost. No dobrze, ale dlaczego ją widziałem, skoro jej tam nie było?

- Dlatego, że to potrafisz, kochanie.



Zamknęliśmy drzwi kuchenne na klucz i wróciliśmy do sypialni. Nie wiem, jakim cudem David i Helena przespali te wszystkie hałasy, ale nie chcieliśmy ich budzić.

Kate znalazła plastry w apteczce w łazience i przylepiła mi je na podeszwach stóp.

- Potrafię widzieć rzeczy, które dzieją się w innym czasie, na przykład wczoraj lub jutro? — zapytałem.

- W pewnym sensie. Mówiłam ci już, że to bardzo rzadki dar i dysponuje nim niewiele osób. Najczęściej występuje wśród muzyków i kompozytorów.

- Tak? Dlaczego?

- Ponieważ wszystko, co się dzieje na świecie, ma własne wibracje. Tak jak kamerton, który wydaje z siebie dźwięk jeszcze długo po uderzeniu. Niewiele osób umie je wyłapać, ale ty jesteś jedną z nich. Wiedziałam to od chwili, gdy zobaczyłam, jak wyglądałeś z mieszkania przez okno.

- Skąd to wiedziałaś?

- Po prostu wiedziałam.

- I dlatego zabrałaś mnie do Sztokholmu i Londynu? Żeby zobaczyć coś, czego inni nie widzą?

- Zgadza się.

- Ale po co?

Kate położyła się na łóżku i podciągnęła sobie kołdrę pod brodę.

- Powinieneś się wyspać, jeśli masz jutro lecieć do Nowego Jorku.

- Nie lecisz ze mną?

Pokręciła głową.

- Najpierw muszę gdzieś pojechać i zobaczyć się z kimś. Ale za parę dni wrócę.

Położyłem się obok niej.

- Helena... czy ona nie spłonie żywcem?
- Nie martw się o nią, Gideonie. Nikt nie zrobi jej krzywdy.
- Nadal słyszę jej krzyk. Chciałem wybić okno rondlem, ale szyba rozprysła się od tego krzyku.

Kate pocałowała mnie w policzek, a potem w obie powieki.

- Postaraj się zasnąć, dobrze?



Nie zdążyłem pożegnać się z Davidem. Wszedł do pracy, zanim wziąłem poranny prysznic i ubrałem się. Helena była w domu i piła kawę z Kate w salonie. Miała na sobie kremową bluzkę z jedwabiu i była bardzo blada.

- Kate wyjaśniła mi, co się stało z drzwiami na taras — powiedziała, gdy wszedłem do salonu. — Nie przejmuj się tym, każdemu mogło się zdarzyć.
- Znalazłam szklarza w książce telefonicznej — dodała Kate. — Przyjedzie po lunchu.
- To dobrze. Ile to będzie kosztowało? — zapytałem.
- Daj spokój — odparła Helena. — To był wypadek. Może chcesz kawy? Przyniosę ci filiżankę.

Wyszła do kuchni, a ja usiadłem obok Kate.

- Co im powiedziałaś? — zapytałem.
- Że obudziłeś się w nocy i chciałeś wyjść na powietrze, więc wyszedłeś na podwórze i zapomniałeś zamknąć drzwi na taras. Był przeciąg, drzwi trzasnęły i szyby poszły.
- I Philipsowie ci uwierzyli?
- Czemu mieliby nie uwierzyć?

- Helena naprawdę nie wiedziała, że to ona rozbiła szyby swoim krzykiem?

- Oczywiście, że nie. Przecież jej tam nie było.

„Już miałem powiedzieć, że widziałem ją na tarasie, ale nie chciałem kłócić się o to, co Kate przede mną ukrywała, zwłaszcza o tak wczesnej godzinie. Poza tym z kuchni właśnie wróciła Helena.

- Gideonie, masz ochotę na ciasteczko? — zapytała. Albo na maślaną babeczkę?



Na Heathrow pojechałem około wpół do dwunastej. Uściskałem Kate na progu mieszkania Philipsów. Taksówka już czekała przy krawężniku. Padało, ale w końcu byłem w Londynie.

- Zobaczymy się na St Luke's Place? — zapytałem Kate.

- Oczywiście.

- Nie jestem pewien. Mam wrażenie, że widzę cię po raz ostami.

- Zobaczysz mnie jeszcze, obiecuję. To dopiero początek.

- Chcę ci coś powiedzieć, zanim wrócę do domu. Zrozumiałem to dopiero wczoraj, mimo że nie chciałaś mi powiedzieć, kim byli tamci dwaj faceci i co robili z tym chłopcem.

- Wiem — odparła Kate. Dotknęła palcami moich warg, jakby chciała, żebym już nic nie mówił. — Kochasz mnie, prawda?

- To aż tak widać?

- Wyczuwam to w twoich wibracjach, kochanie. Taksówkarz zatrąbił i wskazał palcem na zegarek.

- Kolego, masz coraz mniej czasu!

Ponownie ucałowałem Kate i ruszyłem po schodach na chodnik. Otwierając drzwi taksówki, odwróciłem się, by pomachać. Kate właśnie zamykała drzwi wejściowe. Zobaczyłem, że z okna salonu patrzy na mnie Małkin. Albo jakiś inny biały kot, bardzo do niej podobny.

Zawahałem się. Miałem ochotę zawrócić, ale w końcu pomyślałem; Niech ta zagadka sama się rozwiąże we właściwym czasie.

Wsiadłem do taksówki i zatrzasnąłem drzwi.



Na St Luke's Place dotarłem tuż po siódmej wieczorem. W skrzynce znalazłem kilka listów i mnóstwo rachunków. Na sekretarce było mniej więcej tyle samo wiadomości, w tym zaproszenie od mojej matki na niedzielny lunch w domu rodziców w Connecticut. Najwyraźniej zapomniała, że wyjechałem do Europy. Nie zdziwiło mnie to. Gdy byłem mały, często zapomniała o tym, że ma odebrać mnie ze szkoły, i nigdy nie pamiętała, kiedy mam urodziny.

Noc była spokojna i mglista. W mieszkaniu panował ziąb, więc nie zdejmując szalika i płaszcza, poszedłem podkręcić ogrzewanie. Victor musiał być u siebie, bo przez podłogę słyszałem, jak Tony Bennett śpiewa *The Boulevard of Broken Dreams*.

Zadzwońłem do Margot i poinformowałem ją, że właśnie wróciłem do domu.

- Bardzo mi ulżyło — oznajmiła. — Wczoraj śnił mi się straszny koszmar o tobie.

- Czy mówiłem ci już coś na temat pizzy przed snem? — zażartowałem i wtedy przypomniałem sobie o płonącej na własnym podwórku Helenie oraz o ociekającej wodą Elsie, stojącej w blasku księżyca. Te koszmary były znacznie bardziej realne.

- Śniło mi się, że nie żyjesz — powiedziała Margot. — Zeszłam do jakiejś piwnicy, a ty siedziałeś tam na krześle. Miałeś siną twarz.
- Margot, żyją i nic mi nie jest — odparłem. — Jeśli chcesz to sama sprawdź, zapraszam jutro na drinka do The Pinch.
- Wspaniale, ale o czternastej mam lekcję gry na fortepianie, więc dopiero potem. Dobrze bawiłeś się w Londynie?
- I tak, i nie. Opowiem ci, gdy się spotkamy.
- Kto tam jest z tobą?
- Nikt oprócz Tony’ego Bennetta.
- Słyszę jeszcze jakieś trzaski i czyjeś szepty. Czy to Kate?
- Nie ma tu nikogo oprócz mnie — zapewniłem ją.
- Może to twoja komórka? Takie same szepty słyszałam, gdy dzwoniłeś do mnie z Londynu.
- Margot, nie dzwonię z komórki, lecz z telefonu domowego.
- Lalo, przecież nie jestem wścibska. Nie obrażę się, jeśli nie chcesz mi powiedzieć, kto jest u ciebie. Ale to chyba nie ten młody koleś, którego spotkałeś na warsztatach tańca, co?
- Margot!
- No dobra, dobra. Nie wściekaj się tak.



Kiedy już się rozpakowałem do końca i wrzuciłem ubrania do pralki, w mieszkaniu zrobiło się cieplej. Mogłem zdjąć szalik i płaszcz. Otworzyłem puszkę dr. peppera, zdjąłem mokasyny i rozwalilem się na kanapie. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że wcale nie czułem się, jakbym gdziekolwiek wyjeżdżał. Gdyby nie to, że na stole leżał przewodnik po muzeum „Wazy” i widokówki z

Piotrusiem Panem z Kensington Gardens, sądziłbym, że ostatnie dni były jedynie snem.

Na wybrzeżu była nadal siedemnasta, więc zadzwoniłem do Dicka Bortolottiego z agencji DDB, Jeanette Hirsch z Thunder Music i do mojego starego znajomego Randy'ego Spelmana. Kiedyś pomógł mi ułożyć motyw przewodni do nowego serialu komediowego NBC Jack The Snipper, którego akcja miała miejsce w zakładzie fryzjerskim w małym miasteczku na Środkowym Zachodzie.

Gdy rozmawiałem z Hazel McCall, moją agentką z Los Angeles, z mieszkania Victora dobiegły mnie jakieś hałasy i krzyki. Śpiew Tony'ego Bennetta urwał się nagle, po czym rozległ się rumor, jakby ktoś przewrócił stół ze stojącą na nim lampą.

- Przepraszam cię, Hazel — powiedziałem. — Oddzwonię później, bo mój sąsiad chyba zaczyna trzecią wojnę światową.

Znów rozległy się krzyki, a potem usłyszałem kobiecy wrzask. Kiedy kobieta znów wrzasnęła, byłem pewien, że to Kate.

Nie wiedziałem, jakim cudem udało jej się wrócić do Nowego Jorku tak szybko, jednak nie to mnie martwiło. Victor najwyraźniej krzyczał na nią i bił ją, a ona usiłowała mu się wyrwać.

Otworzyłem drzwi i zbiegłem na dół. Kate przestała krzyczeć, ale Victor nie. Załomotałem do drzwi jego mieszkania i zawołałem:

- Victor! Victor, to ja, Gideon, twój sąsiad z góry! Człowieku, co się u ciebie dzieje, do cholery?

W mieszkaniu Solwayów zapadła cisza. Odczekałem parę sekund, po czym znów zastukałem.

W końcu Victor otworzył drzwi. W rękach miał komórkę i szklankę whisky. Najwyraźniej z kimś rozmawiał, bo rzucił do telefonu:

- Ken, zaczekaj chwilę.

Uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- A więc wróciłeś z zagranicznych wojaży. Czy coś się stało?

Spróbowałem zajrzeć w głąb mieszkania.

- Usłyszałem jakieś wrzaski. Chyba się biliście.

-Wrzaski?

- Tak, wrzaski, krzyki i łomot przewracających się mebli.

Victor szerzej uchylił drzwi, żebym mógł zajrzeć do salonu. Krzesła i stoły stały na miejscu. Na jednej z kanap siedziała ruda kobieta w niebieskim szlafroku z satyny. Oglądała jakiś program o domach gwiazd filmowych. Na mój widok pomachała palcami i zawołała:

- O, cześć!

- Może słyszałeś sąsiadów zza ściany? — zasugerował Victor.

- Być może, ale miałem wrażenie, że te hałasy dochodzą właśnie stąd.

- Wiesz, to stary budynek... podwójne mury i przewody wentylacyjne... dźwięki dziwnie się w nich rozchodzą.

- Chyba tak — przyznałem. — Przepraszam za najście.

- Nic nie szkodzi, Gideonie. Dobrze wiedzieć, że się przejmujesz. Jeśli usłyszysz, że bijemy się naprawdę, przyjdź szybko, zanim Monica mnie zamorduje — dodał ze śmiechem i zamknął drzwi.

Wróciłem do siebie. Victor miał rację — niepokojące hałasy musiały dochodzić z mieszkania małżeństwa za ścianą, choć nigdy wcześniej ich nie słyszałem. Poza tym dopiero dochodziła jedenasta i Kate nadal była w Londynie. Nawet nie zaczęła się pakować, gdy wyjeżdżałem.

Małkin czekała na mnie na piętrze. Siedziała przy moich drzwiach i mruzczała głośno.

- Może wejdiesz puszkę sardeli i wyjaśnisz mi, co tu się dzieje? — powiedziałem.

ROZDZIAŁ 20

Następnego dnia wpadła do mnie Margot. Zabrałem ją do The Finch przy Sullivan Street na guinnessa i zapiekanekę pasterską. The Pineb to zapyziały irlandzki pub mieszczący się w obskurnym budynku z cegły. Mają tam płaski telewizor i mocno zużytą tarczę do lotek. Atmosfera jest zawsze radosna i hałaśliwa, a tego właśnie było mi potrzeba po wycieczce do Europy.

- Lalo, zmieniłeś się bardzo, odkąd jesteś z Kate — stwierdziła Margot. — Coś cię martwi, prawda?
- Prawda. Tylko nie bardzo wiem co.
- Nie rozumiem... Jak możesz się czymś martwić i nie wiedzieć, co to jest?

Opowiedziałem jej, czego doświadczyłem u Westerlundów w Sztokholmie i u Philipsów w Londynie. O tym, jak Elsa i Felicia były w dwóch miejscach naraz, o płonącej Helenie Philips oraz o Małkin. Odnosiłem przy tym dziwne wrażenie, że to właśnie Małkin jest kluczem do całej tajemnicy, brakującym kawałkiem nieba w układance

- Może i miałem zwiady — dodałem. — Może to byty halucynacje albo jakieś złudzenie optyczne, ale wiem, że nie zwariowałem. Nic czuję się jak wariat, bo wszystko inne w moim życiu jest najzupełniej normalne i logiczne.
- Czy Kate wie, o co w tym wszystkim chodzi? Może tylko ty uważasz, że coś wie?
- Sama przyznała, że wie. Ale ilekroć ją o to pytam, odmawia odpowiedzi. Nie chce albo po prostu nie może mi jej udzielić, choć nie wiem czemu.

Margot nabiła na widelec kolejny kęs zapiekanki.

- Może powinieneś postawić jej ultimatum? No wiesz, może powinieneś powiedzieć, że masz już tego po dziurki w nosie i musi ci wyjaśnić, co się dzieje, bo inaczej odejdiesz.

- Już to zrobiłem. Dwa razy.

Margot zmrużyła oczy.

- I mimo to jeszcze ci nie powiedziała, a ty nie odszedłeś? Lalo, zakochałeś się w niej. Nawet nie zaprzeczaj.

- No dobra, zakochałem się. Dzięki niej czuję, że mogę wszystko. Od czasu gdy ją poznałem, napisałem kilka tak cholernie dobrych ścieżek dźwiękowych, że sam nie mogę wyjść z podziwu.

- A czy ona cię kocha?

- Myślę, że tak.

- Na tyle mocno, by odejść od tego okropnego Victora?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Twierdzi, że nie może odejść, choć nie mam pojęcia dlaczego. Co powiesz na kolejny koktajl Pinch Buli?

Margot pokręciła głową.

- Jeśli jeszcze trochę wypiję, nie będę mogła zagrać nawet Chopsticks, a co dopiero Szopena.

Wróciliśmy pod rękę na St Luke's Place. Dzień był zimny i wietrzny. Po parku imienia Jamesa J. Walkera fruwały pomięte strony gazet. Część z nich przyłgnęła do ogrodzenia.

- Chcesz wejść do mnie na kawę? - zapytałem. Dziękuję, ale nie. O wpół do piątej mam następną lekcję, z małym Chińczykiem, który gra lepiej ode mnie. Możemy zobaczyć się jutro.

Uściskałem ją i ucałowałem, po czym wszedłem po schodach i otworzyłem drzwi. Za nimi czekała na mnie Kate. Była bardzo blada, a jej bladość podkreślała jeszcze zapinana na guziki szara suknia i jedwabna chusta tego samego koloru.

- Witaj, kochanie — powiedziała, wyciągając do mnie rękę.



- Co się stało? — zapytałem, gdy weszliśmy do mojego mieszkania. - Wyglądasz, jakbyś była chora.

- Nic mi nie jest, czuję się tylko trochę zmęczona. Mogę dostać szklankę wody?

- Jasne — odparłem.

Poszedłem do aneksu, otworzyłem lodówkę i nalałem jej szklankę wody Evian.

- Wczoraj wieczorem spotkałem Victora — powiedziałem. — Słyszałem jakąś kłótnię i krzyki, myślałem, że to z waszego mieszkania. Byłem przekonany, że to ty krzyczałaś.

Kate spojrzała na mnie i uśmiechnęła się blado.

- Za bardzo się o mnie troszczysz.

- Pewnie tak. Gdy zszedłem na dół i zapukałem do was, okazało się, że nikt nie krzyczy, nikt się nie kłóci, a ciebie w ogóle tam nie było. Za to była ta ruda.

- I co mam ci na to odpowiedzieć?

- Nic. Wszystko, co dzieje się między tobą a Victorem, to tylko wasza sprawa. Co nie oznacza, że nie jestem wściekle zazdrosny.

- Nie masz o co, przysięgam.

Do salonu weszła Małkin i wskoczyła na kanapę, sadowiąc się przy swojej pani. Kate zaczęła ją głaskać i delikatnie tarmosić za uszy.

- Chyba powinniśmy na jakiś czas przestać się widywać — oznajmiła po chwili.

- Do diabła, dlaczego?

- Bo wiem, że to cię rani, a nie chcę, żebyś cierpiał.
- To mnie nie rani, tylko frustruje.
- Gideonie... potrzebuję cię, ale nie chcę, żebyś płacił za to zbyt drogo.

Usiadłem obok Kate.

- Już podjąłem decyzję — odparłem. — Jeśli chcesz, abym zaczekał i zobaczył, o co chodzi w naszym związku, a także o co chodzi z Westerlundami i Philipsami, niech tak będzie. Nie powiem, że lubię żyć w niewiedzy, ale jeżeli to ma być dla dobra naszego związku, jakoś wytrzymam.

Pocałowała mnie. Miała bardzo zimne usta i wyglądała na chorą. Ująłem jej dłonie, które były równie lodowate.



Została u mnie do osiemnastej, bo dopiero o tej godzinie Victor miał wrócić do domu. Podkręciłem ogrzewanie do maksimum i na policzki Kate wróciły kolory, choć nadal wyglądała, jakby była chora. Małkin położyła się na dywanie brzuszkiem do góry, rozkładając łapy.

- Zero skromności — mruknęła Kate.

Kiedy wychodziła, pocałowałem ją na podeście.

- Koniecznie się połóż — przykazałem jej. — Weź tylenol i nie pozwól mężowi zbliżyć się do siebie.

Zacząła schodzić na dół. W połowie schodów odwróciła się i posłała mi buziaka.

- Schowaj się, obiecuję ci, że nic mi nie będzie — powiedziała. — Pewnie nie zobaczę się z tobą jutro, ale być może spotkamy się pojutrze... O, popatrz, jest tutaj twoja przyjaciółka!

Odwróciłem się i zobaczyłem, że tuż za mną stoi Pearl w swoim brudnym szlafroku z różowej satyny. Miała zmarszczone brwi.

- Pearl?
- Chyba zapomniałam, gdzie jestem... — jęknęła. — Czy to hotel?

Wziąłem ją pod ramię.

- Nie, Pearl. Jesteś u siebie w domu. Mieszkasz tutaj.
- Właśnie tego się obawiałam. Za dużo tu ludzi, prawda?
- To znaczy?
- Przychodzą, odchodzą... Jest ich zbyt wielu. Ciągłe otwierają i zamykają drzwi, bez ustanku. Otwierają i zamykają... Widzisz ich, prawda? Widzisz ich wyraźnie.
- Pearl, nie rozumiem, o co ci chodzi. Chodź, pomogę ci wrócić na górę.
- Jest ich zbyt wielu... i nie ma temu końca. Widziałeś może mojego Jonathana na dole? Poszedł do Blicka po nowe pędzle.
- Niestety, nie. Przykro mi.

Weszliśmy na drugie piętro. Drzwi do mieszkania Pearl były otwarte, czułem znajomy zapach farb olejnych i zepsutego kalafiora.

- Nie ma go już tyle czasu... Zaczynam się martwić. To przez tych ludzi. Pragną wszystkiego, co posiadasz, nawet światła słonecznego, które świeci ci w oczy. Pożądają go.

Pomogłem jej wejść do salonu. Usiadła i sięgnęła po pamiętą paczkę lucky strike'ów. Zapaliła papierosa starą mosiężną zapalniczką i wydmuchnęła chmurę dymu.

- Jak tam obraz? — zapytałem.

Sztaluga stała do mnie pod kątem, a ponieważ światło odbijało się od warstwy farby olejnej, nic widziałem, jak wygląda malunek.

- Bardzo dobrze — odparła Pearl. — Ale jest na nim zbyt wielu ludzi. Jest zatłoczony.
- Myślałem, że na obrazie będziesz tylko ty.

- Na początku tak. Jednak teraz... sam zobacz.

Obszedłem sztalugę. Nie wiem, kto malował portret Pearl, ale od czasu mojej ostatniej wizyty zrobił bardzo wiele. Akt Pearl był niemal ukończony. Malarz przedstawił ją jako starą kokietkę, która dobrze wiedziała, że nadal pociąga mężczyzn.

Wokół otomany, na której leżała, stało sześć postaci: dwie kobiety, dwóch mężczyzn i dwie dziewczynki. Kobiety były nago, mężczyźni mieli na sobie trzyczęściowe czarne garnitury, a dziewczynki ubrane były w staroświeckie sukienki bez rękawów w wąskie biało-niebieskie prążki.

Malarz zdążył namalować jedynie dziecięce buzie. Twarze dorosłych były rozmazane, jakby naniósł je i wytarł szmatką, zanim wyschły. Jednak wizerunki dziewczynek oddano równie szczegółowo jak postać Pearl.

Zamurowało mnie na ich widok. Poczułem, że wszystkie włosy stanęły mi na głowie. Były to Elsa i Felicia. Twarze dorosłych były niewyraźne, ale łatwo mogłem się domyślić, kogo miały przedstawiać.

- Rozumiesz, o co mi chodzi? — zapytała Pearl, wydmuchując dym nosem. — Zbyt wielu ludzi.

- Ale przecież nie przyszli do ciebie, by pozować do obrazu?

- O czym ty gadasz? Mówiłam ci już, że są tu cały czas, bez przerwy otwierają i zamykają drzwi. Oni nie przyszli tutaj, Gideonie Lake. Zawsze tu byli.

Przerwała na chwilę i machnęła ręką.

- A widzisz? Zapamiętałam, jak się nazywasz. Mówiłam, że zapamiętam, prawda?

Przez dobrą minutę wpatrywałem się bez ruchu w obraz. Niczego nie rozumiałem. Jakim cudem córki Westerlundów przybyły tu ze Sztokholmu, by pozować do obrazu? Skąd wzięli się tu ich rodzice i kiedy Philipsowie zdążyli przyjechać tutaj z Londynu?

Nie, to niemożliwe, Pearl się myli. Ktoś musiał ich namalować ze zdjęć, ale skoro tak było, dlaczego wybrano akurat ich? Co Pearl

miała wspólnego ze znajomymi Kate z Europy? Dlaczego domalowano ich do jej portretu?

- Kiedy przyjdzie twój malarz? — zapytałem.

- Mówisz o Jonathanie? Poszedł do Blicka po nowe pędzle. Zawsze je tam kupuje, choć zajmuje mu to całe wieki. Chyba wpada gdzieś na kielicha po drodze do domu, i to na niejednego, albo do jakiejś zdziry. Zawsze ciągnęło go do zdzir, im bardziej zdzirowatych, tym lepiej. Lubi małe piersi, dlatego tak mu się spodobałam. Małe, dziewczęce piersi. Jego przyjaciel Gordon nazywa go minicyckomanem.

- Więc nie wiesz, kiedy wróci? Chciałbym z nim porozmawiać, gdy przyjdzie.

Zgniotła papierosa w popielniczce i wychrypiała:

- W takim razie powiem mu, by zszedł do ciebie na piętro. Ale nie wiem, kiedy to będzie, bo on chyba wpada gdzieś na kielicha, wracając od Blicka. Na kielicha albo do jakiejś zdziry.

Rozkaszała się i musiała sięgnąć po chusteczkę higieniczną. Gdy odjęła ją od ust, zauważyłem na niej krople krwi.

- Nic ci nie jest? — zapytałem. — Przyniosę wody, dobrze? Pearl pokręciła głową.

- Nic mi nie jest. Ale martwię się o ciebie.

- O mnie? A to dlaczego?

Odkaszała i wycelowała we mnie palec.

- Widziałam cię z tą kobietą. Powinieneś na nią bardzo uważać. Wiem, co knuje.

- Czyżby? Co knuje?

- Chce, żebyś odwalil za nią brudną robotę, ot co.

- Pearl, ona niczego nie knuje — odparłem. — Po prostu spędzamy ze sobą czas.

- Ale po co? Właśnie takie pytanie powinieneś sobie zadać.

- Z sympatii i przyjaźni. To za mało?

- Dla niej tak, Gideonie Lake. Wiem, co ona knuje. Nie może zrobić tego sama, więc nakłania ciebie.

- Czego nie może zrobić sama?

Pearl wzruszyła ramionami i z jednego z nich zsunął się szlafrok, odsłaniając zagłębienie nad obojczykiem.

- Skąd mam wiedzieć? Każdy ma swój cel, prawda? Przychodzą, odchodzą, otwierają i zamykają drzwi. Nie sposób za wszystkimi podążać, by się dowiedzieć, dokąd idą.

- To prawda — odparłem, choć nie miałem zielonego pojęcia, o czym mówi.

Przez chwilę znów patrzyłem na obraz, a Pearl patrzyła na mnie.

- *Dejeuner sur l'herbe* — powiedziała.

- Co?

- To słynny obraz Edwarda Maneta Śniadanie na trawie. Są na nim dwaj kompletnie ubrani mężczyźni i naga kobieta. Gdy pokazano go po raz pierwszy, wybuchł skandal.

Elsa i Felicia wyglądały jak żywe. Miałem wrażenie, że zaraz przemówią do mnie z płótna.

- Jonathan mówi, że kobiety powinny być nagie przez cały czas, dniem i nocą — dodała Pearl. — Wtedy widzielibyśmy, kim są naprawdę. Któregoś dnia zobaczysz, kim naprawdę jest ta kobieta z parteru. A wtedy, uwierz mi, będziesz potrzebował kogoś, by się przed nim wypłakać.

Wstała i nieoczekiwanie zrzuciła szlafrok na dywan. Była bardzo chuda. Malarz hojnie obdarzył jej portret kolorami, ale w rzeczywistości jej skóra była niemal przezroczysta. Mimo swoich siedemdziesięciu paru lat była bardzo kobieca.

Uniosła wyzywająco podbródek.

- Teraz widzisz, jak naprawdę wyglądam, i wiesz, że mówię prawdę.

Podniosłem szlafrok i ostrożnie narzuciłem na jej ramiona.

- Jesteś piękną kobietą, Pearl — powiedziałem. — I wierzę, że mówisz prawdę.



Tej nocy znów usłyszałem, jak Tony Bennett śpiewa *The Boulevard of Broken Dreams*, a także kłótnię, wrzaski i łoskot przewracanych mebli.

Usiadłem na łóżku i nasłuchiwałem. Byłem pewien, że wszystkie te odgłosy dobiegają z dołu, z mieszkania Victora i Kate. Słyszałem, jak Victor krzyczy:

- Coś ty w ogóle zrobiła? Powiedz! Coś ty, kurwa, kiedykolwiek zrobiła?

Usłyszałem przytłumiony głos Kate, a potem trzask, jakby ktoś rozbił szkło obrazu lub jakieś lustro. Trzasnęły drzwi, potem drugi. W końcu zapadła cisza.

Położyłem się. Nie wiedziałem, co robić. Miałem ochotę zbiec po schodach, wykopać drzwi Solwayów i przyłożyć Victorowi z całej siły. Ale przecież Kate oświadczyła, że nie zamierza go zostawić, w każdym razie nie w najbliższym czasie — i miałem wrażenie, że nie byłaby mi wdzięczna, gdybym się wtrącił, choćby ich małżeństwo było nie wiem jak okropne.

Ponieważ nie działało się nic więcej, postanowiłem poczekać do następnego spotkania z Kate. Musiałem jej powiedzieć, że jeżeli znów usłyszę, jak Victor wydziera się na nią lub że ją bije, nie daruję mu tego. Była jego żoną, ale była też moją kochanką. Kochałem ją i musiałem jej bronić.

Przez godzinę przewracałem się w łóżku, nie udało mi się jednak zasnąć. W końcu wstałem i usiadłem przy rolandzie. Zagrałem kilka

próbnym riffem do piosenki Jack The Snipper, Założyłem słuchawki, by nikogo nie obudzić.

Potem zagrałem powolną, tęskną melodię i zacząłem układać do niej słowa:

-„Kate, zbyt późno pojawiłaś się w moim życiu, ale czemu zawsze odwracasz się i nigdy mi nie powiesz, czy to, co widzę, to jawa czy sen...”



Nie widziałem Kate przez następne trzy dni. Dwa razy po wyjściu Victora z domu schodziłem i pukałem do drzwi ich mieszkania, lecz nikt mi nie otworzył. Małkin też gdzieś zniknęła. Wystawiłem nawet talerzyk z sardelami, które wyciągnąłem z pizzy kupionej na Carmine Street, jednak na drugi dzień tak okropnie cuchnęły, że musiałem je wyrzucić.

Zacząłem się już zastanawiać, czy Kate nie postanowiła ze mną skończyć albo przynajmniej nieco przystopować. A może Victor podbił jej oko i bała się, że kiedy to zobaczę, zrewanżuję mu się tym samym?

Dzień był szary i wszystko wyglądało jak na fotografii z lat pięćdziesiątych. W sobotę wieczorem odwiedził mnie Johnny Stuber, mój wyluzowany kumpel z Fort Lauderdale, gdzie spędzał czas na surfowaniu i pisaniu dobrze płatnych ballad. Najpierw poszliśmy na chińszczyznę do Suzies, a potem do Bowlmor Lanes przy University Place, by wypić kilka piwek i pograć przez parę godzin w kręgle. Johnny miał na sobie jasnoniebieską kurtkę windbreaker i żółte spodnie. Przy jego opaleniznie moja cera wyglądała, jakbym miał za chwilę umrzeć.

- Co się z tobą dzieje, koleś? — zapytał, gdy siedliśmy przy barze, czekając, aż zwolni się jakiś tor.

- A co ma się dziać?

- Ile już czasu się znamy? Zwykle gęba ci się nie zamyka, a dziś zapytałeś mnie tylko, skąd wytrzasnąłem te żółte portki. Aha, zapomniałbym, powiedziałaś jeszcze: „Przepraszam panią, ale w moich brokułach z czosnkiem jest jakiś robał”.

W końcu powiedziałem mu prawdę, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć. Gdy skończyłem, Johnny zapytał tylko:

- I czym tu się przejmować?

- Nie mogę przestać się tym przejmować, bo tego się w żaden sposób nie da wytłumaczyć.

- Masz rację, ale tak jest z większością rzeczy w życiu. Po prostu nie mamy czasu zrozumieć wszystkiego, co nam się przydarza. Czasami musimy przyjmować najbardziej szalone rzeczy takimi, jakie są. Kiedyś na lotnisku w Orlando w kolejce na lot do Seattle zobaczyłem mojego dziadka. Nie widziałem go od pięciu lat. Już miałem podejść i przywitać się, gdy objął jakąś starszą Chinę, która stała obok niego, i pocałował ją jak żonę. Umarł rok później. Nigdy się nie dowiedziałem, kim była ta kobieta i po co leciał z nią do Seattle.

- Może był bigamistą?

- Może i był. To też trochę tak, jakby się było w dwóch miejscach jednocześnie, prawda?



Gdy wieczorem wróciłem do mieszkania, na piętrze pod moimi drzwiami zastałem Kate z Małkin na rękach. Miała na sobie tę samą szarą suknię co ostatnio i wyglądała jeszcze bladziej.

- Gdzie się podziewałaś? — zapytałem. — Tęskniłem i martwiłem się o ciebie.

Schyliłem się, by ją pocałować, lecz Kate odwróciła głowę i moje usta wylądowały na jej uchu. Otworzyłem drzwi i wpuściłem ją do środka.

- Pukałem do ciebie, gdy Victora nie było.
- Nie trzeba było, nie otworzyłabym.
- Dlaczego? Zdenerwowałem cię czymś?
- Nie, skądże.

Usiadła w jednym z foteli z kotką na kolanach. Coś jednak musiało ją zdenerwować. Nieustannie rozglądała się po pokoju, ani razu nie spoglądając na mnie.

- Mamy mniej czasu, niż sądziłam — oznajmiła w końcu.
- Czasu na co?
- Mamy jakieś sześć, siedem tygodni, może nawet mniej.
- Znowu mówisz zagadkami — stwierdziłem.
- Mówiłam ci przecież, że nie mogę inaczej. Nie mogę oskarżać, nawet jeśli bym chciała!
- Kogo oskarżać i o co?
- Niczego nie rozumiesz.
- Oczywiście że nie! Może jestem głupi od urodzenia? Ale za to na pewno nie jestem głuchy! Znow słyszałem, jak ty i Victor wrzeszczycie i przewracacie meble! Ile czasu mam to jeszcze znosić?

Po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała na mnie.

- Słyszałeś nas?
- Dziwne, że nie słyszała was cała pieprzona okolica! Rozwalaliście mieszkanie na strzępy!

Zakryła usta dłonią, po czym wyszeptała:

- Słyszałeś nas... O mój Boże...
- Kate proszę cię powiedz mi wreszcie, o co chodzi z Victorem!? Dlaczego nie możesz po prostu od niego odejść? Kiedyś naprawdę zrobi ci krzywdę albo coś gorszego.

Wstała tak gwałtownie, że Małkin spadła na podłogę.

- Przepraszam cię, Gideonie. Nie dam rady. Myślałam, że mi się uda, ale jestem za słaba.

Chwyciłem ją za nadgarstki, nie spojrzała jednak na mnie.

- Kate, posłuchaj, możesz od niego odejść. Zajmę się tobą. Nie pozwolę mu ciebie tknąć. Nie pozwolę mu się nawet do ciebie zbliżyć. Zamieszkasz tutaj albo u moich rodziców, albo przeniesiemy się do hotelu.

Pokręciła głową.

- To niemożliwe.

- Wszystko jest możliwe, jeśli bardzo tego chcesz. O pieniądze się nie martw, o prawnika też. Mam dobrego przyjaciela w kancelarii Lukasa, Daniela i Rolanda. Uwierz mi, to prawdziwy drapieżnik.

- Nie, Gideonie. Przykro mi, to nic nie da.

Ująłem ją pod brodę tak, by spojrzała mi w twarz. Jej szare oczy były bardzo ciemne.

- Ty po prostu chcesz mi powiedzieć, że mnie nie kochasz, prawda?

- Skoro tak będzie ci łatwiej, to nie Kocham cię.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Ależ tak. Jesteś nudnym i zarozumiałym przeciętniakiem, któremu wydaje się, że jest drugim Mahlerem, bo umie spłodzić chwytliwą melodyjkę do reklamy kostki klozetowej.

- Masz całkowitą rację. Potrafię pisać genialną muzykę tylko dzięki tobie. Ale nikogo nie oszukasz, czujesz do mnie to samo, co ja do ciebie, a może nawet więcej...

Małkin ocierała się o jej nogi. Kate wzięła kotkę na rękę.

- Powodzenia, Gideonie — rzuciła, idąc do drzwi.

- I to wszystko? — nie ustępowałem.

Spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

- Powiedzmy, iż sytuacja nieco mnie przerosła.

Z tymi słowy opuściła mieszkanie i zeszła na dół. Stałem w bezruchu, czekałem na trzask drzwi do jej mieszkania, lecz słyszałem tylko telewizor u Pearl i odległe zawodzenie radiowozu.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Nadal było szaro i spokojnie. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak beznadziejnie.

ROZDZIAŁ 21

Minęły ponad trzy tygodnie. Śnieg w tym roku spadł bardzo wcześnie. W parku naprzeciwko bawiły się dzieci, obrzucając się śnieżkami i jeżdżąc na plastikowych sankach.

Widziałem Kate kilka razy: raz, gdy szła przez park odwrócona do mnie plecami, w ciemnoszarym płaszczu i szarej czapce z wełny. Innym razem zauważyłem ją, gdy wychodziła z domu kilka kroków za Victorem. Nie spojrzała już nigdy w moje okna — tak jak wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

Widziałem ją też przed FAO Schwarz, wielkim sklepem z zabawkami naprzeciwko hotelu Plaza. Kupowałem tam robota na jedenaste urodziny syna mojego producenta, Larry'ego Parnassiego. Akurat stałem w kolejce do kasy, gdy zobaczyłem ją przez okno.

Miała ciemne okulary na nosie, więc nie wiedziałem, czy patrzy na mnie, czy tylko na wystawę lalek z jakiejś kolekcji. Już chciałem zostawić robota na ladzie i wyjść, by z nią porozmawiać, lecz musiałem zejść z drogi pracownikowi sklepu niosącemu drabinkę. Gdy znów spojrzałem przez okno wystawowe, Kate już nie było.

Nie kłóciła się więcej z Victorem, a przynajmniej nie słyszałem już żadnych awantur. Z dołu dochodziły tylko śmiechy i nieśmiertelny Tony Bennett. Pewnego wieczoru usłyszałem odgłos piłowania, który nie ustawał prawie przez trzy kwadranse.

Słyszałem też rudą kobietę. Ilekroć wychodziła z domu, niemal zawsze czegoś zapominała. Zamykała z trzaskiem drzwi od frontu, po czym natychmiast je otwierała i znów zatrzaśniała. Kiedy w końcu wychodziła na ulicę, także waliła drzwiami. Gdy akurat była u mnie Margot i zdarzało jej się słyszeć, jak ruda kręci się w tę i z powrotem, zawsze nuciła:

- Bara-bara, żegnaj, stara!

Moja miłość się skończyła, ale praca szła mi nieźle. Telewizja CBS zleciła mi napisanie muzyki do Pytań i odpowiedzi, nowego

quizu imitującego rozprawę sądową, a z DDB podpisałem kontrakt na nowe reklamówki pepsi bez cukru.

Zastanawiałem się, czy nie wyjechać na tydzień w tropiki, zanim na dobre nastanie zima. Wahałem się między Cancún i Barbadosem, pomyślałem nawet o wyspach Turks i Caicos. Gdy siedziałem przy komputerze, szukając jakiegoś odpowiedniego miejsca, ktoś wepchnął pod moje drzwi brązową kopertę.

Podniosłem ją i natychmiast wyjrzałem przez drzwi, ale nikogo już nie było. Wszedłem na podest, lecz nie słyszałem, żeby ktoś schodził na dół.

Nasłuchiwałem jeszcze przez chwilę, po czym wróciłem do mieszkania. W kopercie były jakieś dwa ciężkie i dość długie przedmioty. Wiedziałem, co to takiego, jeszcze zanim otworzyłem kopertę: dwa nowe mosiężne klucze, najwyraźniej kopie jakichś antyków. Miały proste uszka i bardzo skomplikowane nacięcia na języczkach.

Był tam także bilet na przelot klasą biznesową, na wtorek rano, liniami Alitalia, numer lotu 7617, z lotniska Kennedy'ego na lotnisko imienia Marco Polo w Wenecji. Kosztował siedem tysięcy sześćset osiemnaście dolarów. Oprócz niego była jeszcze kartka z adresem: „Professore Enrico Cesaretti, mieszkanie nr 1, Palazzetto Di Nerezza, Campo San Polo, San Polo, Venezia”.

I nic więcej. Żadnego liściku z wyjaśnieniami, żadnego zaproszenia, nawet kartki ze słowami: „Drogi Gideonie, przepraszam cię za to, co powiedziałam... Mimo wszystko naprawdę cię kocham”. Najwyraźniej Kate chciała, żebym sam podjął decyzję.

Nalałem sobie kieliszek wina i podszedłem do okna. Zawsze chciałem zwiedzić Wenecję, lecz niekoniecznie z Kate, zwłaszcza że nie wiedziałem, czy nadal jesteśmy parą. Nie wiedziałem też, czy państwo Cesaretti nie są przypadkiem równie porąbani jak Westerlundowie i Philipsowie.

Zadzwoiłem do Margot. W tle usłyszałem jakieś brzęki i stuknięcia.

- Jest u mnie Brad i właśnie robię spaghetti — wyjaśniła Margot. — Możesz wpaść i zjeść razem z nami, spokojnie wystarczy na trzy osoby...

- Nie chcę czuć się jak piąte koło u wozu. Poza tym prawdopodobnie będę jadał spaghetti przez następnych pięć dni. Nie uwierzysz, Kate zaprasza mnie do Wenecji.

- Znów jesteście razem? To wspaniale!

- Nie wiem, czy tak wspaniale, zwłaszcza po ostatniej wycieczce.

- Owszem, była bardzo dziwna, ale przecież kochasz Kate, prawda? Poza tym żyje się tylko raz. Może teraz wreszcie się dowiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

- Zdecydowałem się już. Chcę się tego dowiedzieć, choćbym miał przy tym zginąć

- Nigdy tak nie mów, Gideonie. Brad! Przestań napychać sobie usta chlebem, bo wyglądasz jak chomik!



Gdy wychodziłem z domu po zakupy do Sushila's, przy chodniku stała taksówka, z której wysiadł Victor z rozchichotaną rudą. Victor uśmiechał się szeroko, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

- Ależ ty jesteś zabawny! — zawołała ruda. — „Którą część zrozumiałś?”. Niech skonam!

- Czołem, Gideonie — powitał mnie Victor. — Co tam u naszego geniusza muzycznego?

- Wszystko w porządku, dzięki.

- Chyba nie przeszkadzamy ci z Monicą? Och, chyba cię nie przedstawiłem. Moja droga, to Gideon, nasz sąsiad. Gideonie, to Monica.

- Miło mi cię poznać, Gideonie — oświadczyła ruda, wyciągając do mnie dłoń grzbietem do góry, jakby sugerując, że powinienem ją pocałować. Miała sztuczne paznokcie w kolorze głębokiej czerwieni. — Słyszałam parę razy, jak grałeś w nocy, bardzo romantycznie zresztą!

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzałem.

- Och, wierz mi, inne rzeczy mogą znacznie bardziej przeszkadzać — oznajmiła, fundując Victorowi kuksańca, po czym roześmiała się. — Żartowałam, kochanie.

Zastanawiałem się, czy nie zapytać Victora, gdzie podziewa się Kate — bardzo chciałem porozmawiać z nią o podróży do Wenecji. Nie wiedziałem jednak, jakie stosunki panują między Solwayami, i nie chciałem nikomu narobić kłopotów. Jak bym wyjaśnił Victorowi, po co chcę zobaczyć się z Kate? Prawdopodobnie nie miał pojęcia, że w ogóle ją znam, nie wspominając już o naszej wspólnej wyprawie do Europy.

- Trzymaj się, Gideonie — powiedział Victor ściskając mi dłoń. — W przyszły weekend robimy imprezę, zapraszam. Przyrowadź kogoś, co? Może nam coś zagrzasz?

- Oczywiście. Na tym znam się najlepiej.

Weszli do mieszkania i zamknęli drzwi. Usłyszałem rechot Moniki i pomyślałem, że pewnie śmieje się ze mnie.



Gdy wyszedłem z hali lotniska Marco Polo, było słonecznie, jednak temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni. Od Alp wiał czysty, chłodny wiatr.

Mogłem dojechać do Wenecji autobusem, lecz moja agentka namówiła mnie, żebym wziął taksówkę wodną, mimo że była droga.

Usiadłem z tyłu niewielkiej motorówki, która pomknęła zatoką na południowy zachód. Wieże i kopuły Wenecji wynurzały się zza horyzontu niczym budowle bajkowego zatopionego miasta.

Płynęliśmy powoli Wielkim Kanałem. Miałem wrażenie, że znalazłem się w jakimś średniowiecznym malowidle. Mijałem pałace z balkonami i czerwone, żółte lub zielone domy. Na kanale roilo się od gondoli i wodnych tramwajów, pełnych turystów. Przepłynęliśmy pod mostem Rialto i po kilku minutach skręciliśmy w wąski kanał, ciągnący się między wysokimi rdzawymi budynkami.

Zacumowaliśmy przy omszałej ścianie. Taksówka podskakiwała na falach i omal się nie przewróciłem, wysiadając, lecz sternik podtrzymał mnie i pomógł mi wejść na strome kamienne schody.

- *Grazie, signore* — powiedział, szczerząc brązowe od tytoniu zęby. Uświadomiłem sobie, że dwadzieścia euro napiwku to chyba o wiele za dużo. — *Faccia attenzione. A Venezia potete non fidarsi mai di qualcuno.*

- Ja też dziękuję — odparłem.

Wszedłem po schodach. Za nimi rozciągał się niewielki brukowany plac, na którym stała wyschnięta marmurowa fontanna i ozdobne wazy. Prawdopodobnie latem rosło w nich geranium, lecz o tej porze roku pełne były brązowych chwastów.

Spojrzałem w górę. Pałacyk miał cztery piętra, pomarańczowe tynki oraz eleganckie kolumnienki w oknach, które od strony kanału zakrywały okiennice. Ruszyłem w kierunku łukowatych drzwi, których oba skrzydła pomalowano czarną farbą. Dojrzałem cztery przyciski dzwonek, jednak nie było przy nich wizytówek — jedynie rzymskie cyfry od jedynki do czwórki.

Sternik jeszcze zawracał. Przez chwilę miałem ochotę przywołać go i kazać zawieźć się z powrotem na lotnisko. W Palazzetto Di Nerezza było coś, co bardzo mi się nie podobało, coś tajemniczego i złowrogiego. Jednak wahałem się zbyt długo i motorówka z bulgotem ruszyła w stronę Wielkiego Kanału. Tak więc zostałem sam na sam z czarnymi drzwiami i kluczem do nich.

Zapadki zamka odskoczyły ze słabym szczęknięciem, a gdy popchnąłem skrzydło, ustąpiło z donośnym niskim skrzypnięciem.

Znalazłem się w okazałym marmurowym korytarzu. Pod sufitem wisiał żyrandol, na jednej ze ścian znajdowało się lustro w bogatej, złożonej ramie z kinkietami na świece po obu stronach. Po prawej miałem schody z kamienną balustradą o wyslizganej marmurowej poręczy.

Po lewej stał naturalnej wielkości posąg nagiej kobiety trzymającej w dłoniach bezgłową gołębicę. Najwyraźniej utracono jej głowę całe stulecia temu. Za posągiem znajdowały się kolejne szerokie dębowe drzwi. Domyśliłem się, że prowadzą do mieszkania Cesarettich.

Zapukałem, odczekałem chwilę i spróbowałem ponownie, lecz nikt mi nie otworzył. Z góry słyszałem przytłumiony głos dobiegający z telewizora, w którym ktoś odczytywał wyniki rozgrywek piłkarskich:

- *Genoa, tre, Udinese Calcio, zero...*

Wyciągnąłem drugi klucz, otworzyłem drzwi i wszedłem do długiej galerii z ciemnym kasetonowym sufitem i ciągiem okien o bursztynowych szybach. Wisiało tam mnóstwo obrazów, wśród których przeważały pejzaże z ponurym niebem i ciemnymi lasami.

Po obu stronach stało kilka krzeseł z poduchami obitymi czerwoną i zieloną tkaniną, a podłogę zaścielały weneckie dywany.

Zamknąłem drzwi i ruszyłem galerią. Przez okna widziałem rozległy plac — Campo San Polo. Snuło się po nim mnóstwo rozmazanych postaci, przypominających armię duchów.

Nagle usłyszałem, że ktoś przechodzi za moimi plecami. Odwróciłem się szybko, lecz nikogo nie zobaczyłem.

Galeria kończyła się przestronnym salonem z wysokim, pokrytym freskami sufitem i jasnym parkietem na podłodze. Stały w nim rokokowe krzesła i kanapy. Zasłony w oknach zdobiły motywy kwiatów, liści i ptaków. W rogu znajdował się piękny stary fortepian z popiersiem Verdiego.

Spojrzałem w górę. Wysoko nade mną pod sklepionym sufitem wisiał ogromny, wieloramienny pozłacany żyrandol, bogato zdobiony. Wyglądał jak wielki złoty pająk.

Postawiłem torbę na podłodze. W mieszkaniu panowała głucha cisza. Pachniało tu starym drewnem i suszonymi kwiatami, czułem też słabą woń dymu papierosowego i mokrego tynku.

Gdy zastanawiałem się, co mam począć, usłyszałem ciche chrapanie. Niewiele brakowało, a krzyknąłbym ze strachu.

Ostrożnie przemierzyłem salon i okazało się, że w jednym z foteli o wysokim oparciu śpi jakiś mężczyzna. Choć wyglądał na czterdzieści parę lat, był prawie zupełnie łysy. Miał okrągłą opaloną twarz i spiczasty nos. Ubrany był w kosztowny jasnoszary garnitur, a na nogach miał granatowe pantofle z aksamitu. W prawej dłoni trzymał okulary w stalowej oprawie.

Odkaszlnąłem, ale się nie obudził, jedynie poruszył lekko. Znów kaszlnąłem, tym razem głośniejsze.

Mężczyzna otworzył oczy i wbił we mnie nieprzytomne spojrzenie.

- *Chi sono voi?* — warknął. — *Che cose state facendo qui?*

- Przepraszam, że pana budzę. Nazywam się Gideon Lake. Zaprosiła mnie tu Kate Solway.

Mężczyzna założył okulary i przyjrzał mi się uważnie.

- A tak, Gideon Lake. Spodziewaliśmy się pana. Przepraszam, że spałem, ale miałem ciężką noc w szpitalu.

Wstał i wyciągnął rękę. Jego ruchy były bardzo oszczędne i precyzyjne.

- Jestem Enrico Cesaretti. Witamy w Wenecji. Jest pan tu po raz pierwszy?

- Owszem. Zawsze chciałem przyjechać do Wenecji, ale jakoś nigdy mi się to nie udawało. Niezwykłe miasto.

- Wolałbym, żeby było tu nieco mniej turystów, ale cóż, musimy z czegoś żyć.

- Czy wie pan, kiedy przyjedzie Kate?

- Już przyjechała. Wyszła z moją żoną na zakupy.

- Od dawna pan ją zna?

Enrico wskazał moją torbę.

- Jest pan pewnie zmęczony. Zaprowadzę pana do pokoju, a kiedy pan się rozpakuje i trochę odpocznie, może wypijemy filiżankę kawy?

- Z wielką chęcią, dziękuję.

Poprowadził mnie do drzwi w głębi salonu, a potem wzdłuż korytarza. Ta część mieszkania była o wiele mniej oficjalna. Na podłodze leżała zwykła wykładzina, na ścianach wisiały grafiki.

- Tutaj jest łazienka, a ten pokój będzie pan dzielił z Kate. Otworzył drzwi i wprowadził mnie do wielkiej sypialni.

Królowało w niej ogromne łóżko i rzeźbiona sosnowa szafa, w której swobodnie mogłaby zamieszkać pięcioosobowa rodzina. Za oknami zasłoniętymi drobno tkaną firaną dojrzałem wąski, wychodzący nad kanał balkon. Stały na nim dwa krzesła i stolik z kutego żelaza.

- To bardzo uprzejme z pana strony, że pan mnie zaprosił, Enrico. Mogę mówić panu po imieniu?

- Oczywiście — odparł z uśmiechem. — Uważam, iż jedynie moi pracownicy i pacjenci powinni zwracać się do mnie „professore”. Ale to ty okazałeś nam uprzejmość. W dzisiejszych czasach niewielu ludzi skłonnych jest bezinteresownie poświęcić swój czas innym.

Nie miałem pojęcia, co miał na myśli, więc tylko wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się.

- Odśwież się, a potem wypijemy kawę. Musisz koniecznie opowiedzieć mi o swojej muzyce — oznajmił Enrico.

- Kate z pewnością mówiła wam o niej.

- O tobie też. Uważa, iż jesteś molto speciale, bardzo wyjątkowy.
- To samo sędzę o niej.
- Tak... — Enrico zdjął okulary i popatrzył na mnie. — Niełatwo jest naprawiać złe uczynki innych ludzi.
- Chyba nie bardzo cię rozumiem.
- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać.

Zostawił mnie samego, abym mógł się spokojnie rozpakować.

Nagle poczułem się zupełnie wyczerpany. Najchętniej położyłbym się w tym ogromnym łóżku, naciągnął kołdrę na głowę i spał do wieczora.

Gdy już poukładałem swoje swetry i dzinsy w przepastnej szafie, wyjąłem z torby kosmetyczkę i wszedłem do łazienki w całości wyłożonej nieskazitelnie białymi płytkami. Znajdowała się w niej monstualnych rozmiarów umywalka zaopatrzona w staromodne krany, równie staromodna kabina prysznicowa oraz wielka wanna stojąca na nóżkach w kształcie lwich łap, ukryta za białą plastikową zasłonką.

Przemyłem twarz zimną wodą i sięgnąłem po ręcznik. Wycierając się, spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Co ty właściwie tu robisz, kolego? — zapytałem sam siebie. Gonisz za beznadziejnym marzeniem, że ty i Kate będziecie razem? Szukasz odpowiedzi, nie znając pytania? Jesteś masochistą czy po prostu idiotą?

Jednak w głębi duszy czułem, że przyjechałem tu z jakiegoś ważnego powodu, choć go nie znałem. Tym razem nie mogłem się poddać. Kate prawie poddała się w Nowym Jorku, ale najwyraźniej zmieniła zdanie. W przeciwnym wypadku nie dałaby mi kluczy do domu Cesarettich i nie wyłożyła siedmiu tysięcy dolarów na bilet.

Stojąc i rozmyślając, usłyszałem, że z kranu nad wanną kapie woda. Krople pluskały głośno, jakby wanna była pełna. Skończyłem wycierać twarz, podszedłem tam i odsunąłem zasłonkę. Wanna była wypełniona aż po brzegi.

Na jej dnie leżał jakiś różowawy kształt. Była to naga kobieta. Ciemne włosy zupełnie zasłaniały jej twarz. Przerażony, chwyciłem zasłonkę, zrywając ją z kilku kółek.

Złapałem za łańcuszek i wyszarpnąłem korek, po czym zanurzyłem ręce w wodzie. Była lodowata, a ciało tak śliskie, że nie mogłem go dobrze chwycić. Wyciągnąłem głowę kobiety nad wodę i odgarnąłem włosy z jej twarzy.

Była bardzo młoda. Miała sine usta i nie oddychała. Wpatrywała się w moją twarz szeroko otwartymi brązowymi oczami, jakby chciała mnie przekonać, że nie można jej już uratować. Spróbowałem wyciągnąć ją z wody, lecz była ciężka i bezwładna, a ścianki wanny tak wysokie, że nie miałem dobrego punktu podparcia.

- Enrico! — zawołałem. — Enrico, pomóż mi! W wannie utopiła się jakaś dziewczyna!

Odplyw wessał resztki wody z łakomym bulgotem. Udało mi się ułożyć topielicę na boku. Z jej ust i nosa wylała się woda, jednak nadal nie oddychała, a na szyi nie wyczułem tętna.

- Enrico! Pomóż mi! Enrico!

Ale gospodarz nie reagował. Ściany pałacyku były grube, więc pewnie mnie nie słyszał. Wskoczyłem na korytarz i znów krzyknąłem:

- Enrico!

Zjawił się natychmiast, wycierając ręce w kuchenną ścierkę.

- Co się stało, Gideonie?

- W wannie leży jakaś dziewczyna. Chyba nie żyje.

- Co takiego?

Pośpieszył za mną korytarzem i wszedł do łazienki.

- Zasłonka była zaciągnięta, więc nie zobaczyłem jej od razu...

Spojrzałem do wanny. Była pusta i w dodatku zupełnie sucha. Enrico spojrzał na mnie gniewnie i zapytał:

- Ció é uno scherzo, si? To jakiś żart?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Pomyślałem jedynie: „Nie, tylko nie to, nie kolejne zwidy i ludzie, których nie ma”.

- To nie żaden kawał — oświadczyłem. — Odciągnąłem zasłonkę i znalazłem tę dziewczynę w wannie.

Spojrzał na zerwaną zasłonkę z nieskrywanym niezadowoleniem.

- Słuchaj, Enrico, wiem, że mi nie wierzysz, ale popatrz na moje rękawy. Są mokre.

Nawet nie spojrzał na nie.

- Sądzę, że jesteś bardzo zmęczony — stwierdził. — Musisz jednak wiedzieć, że to, co powiedziałaś, było niesmaczne.

- Przepraszam — odparłem. — Ale jestem przekonany, że ją widziałem. To nie był żaden dowcip, przysięgam.

- No cóż... — mruknął. — Jeśli chcesz się napić kawy, to jest już gotowa.

ROZDZIAŁ 22

Gdy miałem siedemnaście lat, oznajmiłem kiedyś podczas obiadu, że kiszona kapusta jest najbardziej obrzydliwym warzywem na świecie — a zrobiłem to, zanim podano do stołu duszoną wołowinę z kiszoną kapustą. Jednak moje zakłopotanie z powodu tamtej gafy było niczym w porównaniu z tym, co czułem przez następną godzinę w obecności Enrica Cesaretti.

Mój gospodarz był przesadnie grzeczny. Opowiedział mi ze szczegółami o swojej pracy w klinice okulistycznej przy Szpitalu imienia świętego Jana i Pawła. Mimo to nie pozostawił mi nawet cienia wątpliwości, że mój „kawał” w łazience bardzo go zirytował. W ogóle nie pytał o moje życie ani o mój związek z Kate. Dopalił papierosa do połowy i zgasił go na swoim spodku.

Tuż po trzeciej usłyszałem z ulgą, że otwierają się drzwi do mieszkania, i po chwili dobiegł mnie głos Kate:

- Hej! Jest tam kto?

Popatrzyłem na Enrica.

- To, co zaszło w łazience... Cóż, nie miałem zamiaru przysparzać ci zmartwień — powiedziałem.

Enrico milczał przez chwilę, po czym odparł:

- No dobrze, przyjacielu, przyjmuję twoje przeprosiny. Nie zamierzam martwić Kate i jestem ci bardzo wdzięczny, że do nas przyjechałeś, ale proszę, żebyś nie powtarzał mojej żonie tego, o czym mówiłeś w łazience.

- Oczywiście.

Spojrzał na mnie badawczo.

- Nie wiedziałem, że Kate tyle ci o nas opowiedziała. Nasza rodzina nie obnosi się ze swoimi sprawami.

- Nic mi o was nie mówiła. Nie rozmawiałem z nią prawie od miesiąca.

W tym momencie do salonu weszła Kate, niosąc kilka toreb z zakupami. Miała na sobie ten sam płaszcz co w Londynie, a na głowie brązowy beret. Tuż za nią szła niska ciemnowłosa kobieta w czerwonym kraciastym poncho.

- Salvino, to Gideon Lake — przedstawił mnie Enrico. - Gideonie, oto moja żona Salvina.

Salvina miała nos z lekkim garbkiem, wielkie brązowe oczy i pełne czerwone usta. Zdjęła poncho, odsłaniając obcisłą sukienkę z czarnej wełny, spiętą lakierowanym czerwonym paskiem ze skóry. Miała obfite piersi, wąską talię i bujne biodra.

- Bardzo mi miło — oświadczyła. — Witaj w Wenecji, Gideonie. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że przyjechałeś.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałem — odparłem i ucałowałem ją w oba policzki.

Pachniała jakimiś ciężkimi, piżmowymi perfumami, być może od Trussardiego. W końcu spojrzałem na Kate i powiedziałem:

- Witaj, nieznajoma.

Postawiła torby z zakupami na sofie.

- Witaj, muzyku.

Podszedłem do niej i ująłem jej dłoń.

- Niewiele brakowało, żebym nie przyleciał.

- Wiedziałam, że tu będziesz.

- Aż tak dobrze mnie znasz?

- Jednego jestem pewna: nie poddajesz się łatwo.

Przyznaję, że ucieszył mnie jej widok. W ciągu tych kilku tygodni zdążyłem zapomnieć, jak bardzo jest szczupła i elegancka, jak lśnią jej włosy i jak wciąż przymyka powieki —jakby była śpiąca.

- Ciekawe miejsce — stwierdziłem. — I wcale nie chodzi mi o wnętrza.

Kate zmarszczyła brwi.

- Czy coś już się stało?

- Można tak powiedzieć. Porozmawiamy o tym później. Enrico omal nie wyrzucił mnie z domu na zbity pysk.

- Gideonie, nikt nie każe ci tu zostawać. Nie zamierzałam ściągać cię tu na siłę.

Pocałowałem ją w policzek, a potem bardzo delikatnie w usta.

- Zobaczmy, co będzie dalej, dobrze?



Salvina przygotowywała kolację, a Enrico poszedł do gabinetu napisać parę listów, więc udaliśmy się na spacer po Campo San Polo. Powoli zmierzchało i plac nie był już zatłoczony, choć nadal snuły się po nim grupki japońskich turystów ze swoimi przewodnikami.

Usiedliśmy na ławce pod nagim drzewem. Niebo wciąż było niezwykle niebieskie, ale temperatura spadła tak bardzo, że drżałem z zimna. Przydreptały do nas ze dwa tuziny gołębi, by sprawdzić, czy je nakarmimy. Gdy w końcu pojęły, że nic z tego, oddaliły się poirytowane.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie? — zapytałem Kate.

Położyła swoją dłoń na mojej.

- Zaszliśmy za daleko, aby się poddać. Poza tym ta sprawa jest zbyt ważna.

- Tuż po moim przyjeździe tutaj znów coś widziałem. Dziewczynę, która utonęła w wannie. Dotknąłem jej nawet. Chciałem wyciągnąć ją

z wody, lecz zniknęła, gdy zawołałem Enrica. Zmoczyłem rękawy, ale wanna była sucha jak pieprz.

- Nie zamierzam cię zwodzić, Gideonie. Zobacysz więcej. Nie poproszę cię już, żebyś znowu gdzieś ze mną wyjechał. Pozostało niewiele czasu, mniej niż miesiąc. Potem powinieneś zrozumieć, co się dzieje.

- Bardzo bym chciał.

Kate pocałowała mnie. Miała zimny nos.

- Cieszę się, że przyleciałeś. Bardzo za tobą tęskniłam. Bóg jeden wie, co bez ciebie pocznę.

- Dlaczego tak mówisz? Nigdzie się nie wybieram. Pozwól mi tylko wymyślić jakiś sposób zamordowania Victora, a będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Nie powinieneś sobie żartować z takich rzeczy.

- Pewnie masz rację. Tu chyba nikt nie ma poczucia humoru, a już na pewno nie ma go Enrico.



Wieczorem Salvina podała nam na kolację weneckie specjały: *baccala montecato*, czyli solonego dorsza z czosnkiem na tostach, oraz *fegato alla veneziana*, wątróbkę cielęcą z tymiankiem i cebulą.

Jedliśmy w kuchni, wyłożonej czerwono-zielonymi płytkami i dorównującej wielkością salonowi. Enrico otworzył dwie butelki czerwonego weneckiego wina. Rozlał je do ozdobnych kieliszków i zaproponował toast.

- Piję za Kate, która poświęciła się, aby przynieść nam spokój. Gdy ogarnęła nas rozpacz, przybyła do nas i obdarzyła nadzieją. Dziękuję jej za to z całego serca.

- Za Kate — zawtórowałem mu, a Kate bezgłośnie powiedziała „dziękuję”.

Kiedy po kolacji wróciliśmy do salonu, Enrico podał nam słodkie weneckie wino deserowe. Zagrałem na fortepianie kilka utworów — w tym także naprędce wymyśloną odę do Wenecji:

- „Wenecja to miasto, którego zapomnieć nie sposób, bo na jej ulicach moknie tyle osób!”.

Gdy wygrywałem na fortepianie składankę moich najbardziej znanych tematów z seriali i spojrzałem w bok, w stronę okna, przerwałem gwałtownie. Poczulem mrowienie w palcach, jakbym właśnie dotknął nimi elektrycznego ogrodzenia pastwiska.

W rogu salonu, tuż obok zasłony, stała naga dziewczyna. Wyglądała na jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, choć nie byłem tego pewien, bo jej twarz całkowicie przesłaniały ciemnobrązowe włosy. Miała zupełnie białą skórę i przypominała marmurowy posąg w korytarzu na dole. Była cała mokra.

Spojrzałem na Enrico i Salvinę. Gospodarz siedział w fotelu i palił papierosa, a jego żona coś haftowała. Przecież musieli ją widzieć, pomyślałem. Mimo to zachowywali niezmacony spokój.

Kate popatrzyła na mnie z niepokojem, więc szybko skinąłem głową w stronę rogu salonu.

- Nie przerywaj — powiedziała. — Bardzo mi się podoba twoje granie. Coś się stało?

Znów wskazałem głową w stronę nagiej dziewczyny.

- Tam, w rogu...

Marszcząc brwi, obrzuciła zasłony wzrokiem i pokręciła głową.

- Nie rozumiem...

Zagrałem kilka fałszywych nut, po czym z ociąganiem powróciłem do tematu serialu telewizyjnego. Nie mogłem oderwać oczu od stojącej w rogu salonu dziewczyny. Uświadomiłem sobie, że tylko ja ją widzę.

- Co to za melodia? — zapytała Salvina. — Jest bardzo smutna. *Molto malinconico*.

- Słucham? Ach, tak... to temat, który napisałem do serialu Doktor Błada Twarz.

- Doktor Błada Twarz?

- Tak. To film o białym lekarzu, który chciał ocalić Indian przed chorobami przywleczonymi przez białych osadników: odrą, cholera, syfilisem i innymi paskudnymi przypadłościami.

- Nigdy go nie widziałam — przyznała Kate.

- Nie ma czego żałować. To bigoteryjny, politycznie poprawny chłam. Przerwali jego emisję po pięciu odcinkach.

Naga dziewczyna stała w rogu bez ruchu jeszcze przez jakieś dwie minuty, po czym zaczęła powoli podnosić dłonie do twarzy. Grałem coraz wolniej, myśląc klawisze. W końcu Enrico wyprostował się i zapytał:

- Gideonie, wszystko w porządku?

- Tak, Enrico. Wszystko jest w jak najlepszym porządku — odparłem.

Nie chciałem go znów denerwować po tym, co stało się w łazience.

Kate musiała wyczuć, że coś jest nie tak, bo wstała i stanęła tuż za mną.

- Czy Enrico i Salvina mają dzieci? — zapytałem ją półgłosem.

Kate nachyliła się do mojego ucha i szepnęła:

- Syna i dwie córki: Massima, Amaleę i Raffaellę.

- Ile mają lat?

- Massimo siedem, a dziewczyny są już nastolatkami. Czemu pytasz?

- Bo widzę dziewczynę w rogu salonu. Jest naga i ocieka wodą.

- Jak wygląda?

- Nie wiem, ma twarz zasłoniętą włosami.

Gdy to powiedziałem, dziewczyna chwyciła kosmyki włosów i rozsunęła je niczym połowy czarnej kurtyny. Przestałem grać i powiedziałem:

- Cholera, Kate! Powiedz, że ją widzisz. Przecież musisz ją widzieć!

Dziewczyna patrzyła na mnie, lecz na miejscu oczu miała dwie czarne dziury. Poczułem, że przeszywa mnie dreszcz.

Przez chwilę stała nieruchomo, trzymając włosy w dłoniach, po czym otworzyła usta i wrzasnęła piskliwie. Porażony jej krzykiem, spadłem ze stołka, przewracając go.

- Gideonie, co się dzieje? — zapytała Kate.

Zakryłem uszy dłońmi, lecz zjawa wrzeszczała coraz głośniejsze i coraz bardziej przenikliwe. Mój kieliszek pękł, a wino rozlało się po fortepianie. Dziewczyna zamilkła.

Enrico wstał z fotela, podszedł do fortepianu i podniósł ułamaną nóżkę kieliszka. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał naprawić go samą tylko siłą spojrzenia.

- To kieliszki z Murano — wycedził ze złością.

- Przepraszam, Enrico, ale przecież nawet go nie tknąłem.

- Te szkła pochodzą z osiemnastego wieku. Nie można ich dzisiaj kupić. Należały jeszcze do moich dziadków.

- Enrico, przysięgam na Boga, nie dotknąłem go.

Salvina również się podniosła.

- Te kieliszki są bardzo kruche — powiedziała pojednawczym tonem. — Być może nie powinniśmy ich używać. Uważaj, caro, skaleczysz się. Przyniosę szufelkę i posprzątam.

Kate zapytała cicho:

- Czy ona jeszcze tu jest?

- Tak — odparłem. — To jej sprawka... kiedy wrzasnęła, kieliszek pękł.

- Co teraz robi?

- Nic, nie rusza się. Odgarnęła włosy z twarzy, więc widzę ją wyraźnie. Wygląda jak dziewczyna, którą widziałem w wannie, ale w ogóle nie ma oczu.

- *Che cosa?* — zapytał Enrico. — *Che cosa avete detto?*

- Nic, nic — odparła szybko Kate. — Gideon powiedział, że kieliszek był bardzo piękny i bardzo żałuje, że się stłukł.

- Cóż, ja też przepraszam, nie chciałem być taki nieprzyjemny.

Naga dziewczyna wciąż milczała i stała nieruchomo jeszcze przez dobrą minutę, po czym zaczęła odwracać się do mnie plecami. Była przeraźliwie chuda, jej łopatki sterczały jak kurze skrzydełka i wyraźnie widziałem wszystkie kręgi. Jednak prawdziwa zgroza ogarnęła mnie dopiero na widok jej skóry. Chciałem powiedzieć Kate, co ujrzałem, ale Enrico stał zbyt blisko mnie.

Wzdłuż nóg, rąk i barków dziewczyny biegły dwa rzędy niewielkich otworów. Były opuchnięte, lecz nie krwawiły. Niektóre z nich łączyły się ze sobą, bo skóra między nimi była rozerwana.

Z początku nie miałem pojęcia, co właściwie widzę. Po chwili przypomniało mi się, jak odwiedziłem kiedyś mojego tatę w szpitalu, gdzie leżał po operacji woreczka żółciowego. Pielęgniarka zmieniała przy mnie opatrunki, więc ujrzałem na brzuchu taty nacięcie o długości jakichś piętnastu centymetrów. Po jego obu stronach biegły otwory po szwach. Wyglądały tak samo jak te, które widziałem teraz na ciele dziewczyny.

Najwyraźniej ktoś z jakiegoś powodu przyszył jej coś do pleców. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co to mogło być.

- Chyba już pora się położyć — stwierdził Enrico. — Jutro pewnie będziesz chciał zwiedzić miasto, więc powinieneś wcześniej wyjść z domu. Późnym rankiem jest już pełno turystów, a wtedy trzeba stać w kolejce nawet po to, by przejść przez most.

Kiwnąłem tylko głową. Nie mogłem odwrócić wzroku od dziewczyny. Enrico położył mi dłoń na ramieniu i powiedział:

- Wiem, że zrobisz dla nas wszystko, co w twojej mocy. To tylko kwestia czasu i zrozumienia. A co do kieliszka...

Odwróciłem się ku niemu. Jego twarz wyrażała bezbrzeżny żal, jakby poniósł niepowetowaną stratę.

- Zrobię, co w mojej mocy — obiecałem.

- W Wenecji mamy takie przysłowie: *Oggi in figura, domani in sepultura*. To oznacza, że dziś jesteśmy razem, rozmawiamy ze sobą, jemy, śmiejemy się, dzielimy butelką wina, lecz jutro będziemy w grobie.

- Dzięki, bardzo potrzebowałem słowa otuchy — mruknąłem.

Kate roześmiała się i chwyciła mnie za rękę:

- Chodź, wypijemy jeszcze po kieliszeczku przed snem. I zagraj coś ostatni raz, może Drzewo drogowskaz?

Spojrzałem w stronę okna. Naga dziewczyna zniknęła.

- No dobrze — odparłem, choć przypomniało mi się, co Axel powiedział w Sztokholmie: „Nie ma takiego drzewa. Gdy człowiek się zgubi, nigdy nie znajdzie drogi z powrotem”.



Kiedy poszliśmy do łóżka, Kate podała mi czarną aksamitną chustę.

- Po co to? — zapytałem zdziwiony.

- Będziemy się kochali, prawda?

- Miałem taką nadzieję.

- Więc zaknebluj mnie. Nie chcemy przecież stłuc kolejnych szkieł, a te kieliszki na wodę też są z Murano. Każdy kosztuje pewnie ze sto pięćdziesiąt dolarów.

- Mam cię zakneblować?

Uśmiechnęła się.

- To będzie bardzo podniecające, nie sądzisz? Możesz też zawiązać mi oczy, jeśli chcesz.

- Nie ma mowy. Uwielbiam w nie patrzeć.

- Na pewno nie tak, jak ja w twoje.

Uniosłem się i oparłem na łokciu.

- Ta dziewczyna, którą widziałem...

- Nie mogę ci niczego powiedzieć, Gideonie, przykro mi.

- Ale po co ktoś przyszył jej coś do skóry? Jak myślisz, co to mogło być?

- Spróbuj nie myśleć o tym. Nie dziś. Pokochaj się ze mną. Bardzo za tobą tęskniłam.

- To była córka Enrica i Salviny?

Kate zaczęła delikatnie muskać moją twarz palcami, powieki również, więc musiałem zamknąć oczy.

- Kochanie, nie widziałam jej. Tylko ty ją zobaczyłeś.

Położyłem głowę na poduszce.

- No dobra. Obiecałem o nic nie pytać, ale powiedz mi, dlaczego Enrico i Salvina tak bardzo cieszą się z naszej wizyty?

- Myślą, że możemy pomóc im znaleźć sprawiedliwość.

- Sprawiedliwość?

- Większość ludzi nigdy jej nie doznaje, a sprawiedliwość jest najważniejsza, ważniejsza nawet od zemsty. Jeśli się ją znajdzie, można spać spokojnie.

- Nie chodzi mi o spanie...

Wziąłem chustę, zwinąłem ją w rulon i wsunąłem między zęby Kate, po czym zawiązałem mocno z tyłu głowy. Poczułem się przy tym co najmniej perwersyjnie. Nigdy nie bawiłem się w kajdanki i te sprawy, ale widok zakneblowanej Kate bardzo mnie podniecił.

Tej nocy nie mogła krzyczeć, lecz cała drżała i jęczała. Pamiętam jej niski, głuchy jęk do dziś.



Około wpół do trzeciej nad ranem obudził mnie kobiecy szloch.

Przez chwilę leżałem na plecach, próbując określić, skąd dobiega. Sypialnia Cesarettich znajdowała się dobre piętnaście metrów od naszej, a drzwi były tak grube, że nie dało się przez nie niczego usłyszeć.

Usiadłem na łóżku. Szloch był coraz głośniejszy i coraz bardziej rozpaczliwy. Zdawało mi się, że płacząca kobieta coś woła. Wstałem i podszedłem do okna. Gdy odsunąłem firanki, moim oczom ukazał się wąski kanał na tyłach domu oraz brukowany placyk z wyschniętą fontanną.

Nie świecił księżyc, lecz nad drzwiami pałacyku paliła się pojedyncza żarówka, zalewając większą część placyku słabym światłem. Przy kamiennej balustradzie nad kanałem, tuż przy schodach do wody, stała jakaś kobieta. Głowę miała ukrytą pod czarnym, luźno tkanym szalem, lecz sądząc z figury, była to Salvina. W splecionych dłoniach ścisnęła różaniec.

Nie znałem włoskiego, czułem jednak jej rozpacz.

Otworzyłem okna i wyszedłem na balkon. Noc była wilgotna, mglista i przenikliwie zimna, a ja miałem na sobie tylko podkoszulek i bokserki. Stałem przy balustradzie z kutego żelaza, zastanawiając się, czy nie powinienem zapytać, co się stało. Ale zanim zdążyłem

cokolwiek zrobić, w cieniu na dole dostrzegłem jakiś ruch i usłyszałem głucho stuknięcie. Wychyliłem się przez balustradę i zauważyłem, że do schodów przycumowana jest motorówka. Siedzieli w niej dwaj mężczyźni w ciemnych płaszczach i czapkach.

- Proszę, nie! — zawołała Salvina po angielsku. — Tylko nie moja Amalea, błagam!

- Salvino? — odezwałem się. — Salvino, co się dzieje?

Nie słyszała mnie, mężczyźni w motorówce też, bo żaden nie spojrział w moją stronę. Jeden z nich wysiadł i wyciągnął rękę do Salviny.

- Płyniesz z nami? Chcesz zobaczyć jej dziewiczy rejs? Może rozbijemy butelkę szampana na jej głowie, aby zapewnić sobie szczęśliwą podróż?

- Mój mąż zrobi wszystko, co chcecie, przysięgam!

- Jestem tego pewien, proszę pani — odparł mężczyzna i powiedział coś jeszcze, ale nie wiedziałem co, bo odwrócił się do mnie plecami. Potem dodał: — Po prostu musimy się zabezpieczyć. Musimy mieć absolutną gwarancję...

Pomógł Salwinie zejść po schodach i wsiąść do motorówki, kołyszącej się i podskakującej na falach w wąskim kanale. Słyszałem, jak woda z bulgotem uderza o jego ściany.

- Świetnie pani sobie radzi — powiedział drugi mężczyzna i byłem pewien, że rozpoznałem jego głos. Obaj byli Amerykanami.

- Och, Amaleo! — zaszlochała Salvina. — *Come hanno potuto fare questa cosa terribile a voi?* Nie jesteście ludźmi, ale demonami!

- To się jeszcze okaże — odparł mężczyzna, którego głos wydawał mi się znajomy. — Wszystko zależy od tego, jak chętnie dobry *dottore* da nam to, o co go prosimy.

Po tych słowach zapuścił silnik motorówki, a jego kompan połuźnił okręcone wokół kołków w schodach cumy. Kiedy motorówka powoli zaczęła się oddalać, przez chwilę oświetlił ją blask

żarówki nad drzwiami i wtedy zobaczyłem, z jakiego powodu Salvina tak rozpaczała.

Na tylnym siedzeniu motorówki położono wąski materac, a na nim, zupełnie naga, leżała na wznak ta sama dziewczyna, którą widziałem wieczorem w salonie. Miała knebel w ustach, lecz nie widziałem, by była skrepowana. Mimo to wiała się i szarpała, jakby chciała się uwolnić.

Motorówka oddaliła się w stronę Wielkiego Kanału. Dziewczyna wciąż się szarpała. Nagle przypomniałem sobie o otworach po szwach w jej skórze. Już wiedziałem, dlaczego nie mogła się uwolnić. Ktoś przyszył jej plecy, ręce i nogi do materaca. Nie mogła się uwolnić, nie rozrywając sobie skóry.

Stałem na balkonie i ze zgrozą patrzyłem, jak ciemność między budynkami połyka motorówkę. Po chwili łódź skręciła w lewo, w Wielki Kanał, i zniknęła mi z oczu.

Wycofałem się do sypialni i zamknąłem drzwi. Nie byłem pewien, czy porwanie miało miejsce właśnie w tej chwili, czy może było to coś, co już się wydarzyło. A może ujrzałem wydarzenia z przyszłości? Może Kate sprowadziła mnie tu właśnie po to, bym im zapobiegł?

Potrząsnąłem ją za ramię i zawołałem cicho:

- Kate, Kate!

Ale ona spała jak zabita. Włączyłem lampkę nocną po mojej strone łóżka i zobaczyłem, że przy jej zegarku leży pudełko dormomylu. Moja matka zawsze brała dormomyl, ponieważ ojciec głośno chrapał i nie mogła zasnąć, więc wiedziałem, że to tabletki nasenne.

Poszedłem do łazienki i założyłem granatowy szlafrok, który zostawiła mi Salvina. Potem otworzyłem drzwi naszej sypialni i wyszedłem na korytarz.

Panowała tam cisza, jeśli nie liczyć miarowego cykania wielkich, staroświeckich kaloryferów. Ruszyłem korytarzem w stronę sypialni gospodarzy. Po Sztokholmie i Londynie wiedziałem, że nie

powiniennem ich budzić pukaniem. Chwyciłem ozdobną klamkę i jak najciszej otworzyłem drzwi.

Łóżko Enrica i Salviny było jeszcze wspanialsze niż nasze. Zwieszał się nad nim przyczepiony do sufitu baldachim. Jego poły odciągnięto i przywiązano aksamitnymi sznurami z frędzlami. Enrico leżał twarzą do mnie i spał mocno, ale jego leżące na nocnym stoliku okulary wyglądały, jakby mnie obserwowały. Nie widziałem Salviny, więc zrobiłem parę ostrożnych kroków w stronę łóżka, by upewnić się, że w nim leży.

Zakopała się głęboko w pościeli, ale bez wątplenia była w łóżku, a nie w motorówce na Wielkim Kanale. Jej ciemne, kędzierzawe włosy leżały rozrzucone na poduszce.

Enrico poruszył się przez sen.

- ...*saffron darer... saffron darer...* — wymamrotał, po czym krzyknął: — *Voi bastardi!*

Wykrzyczał to bardzo głośno, lecz nie obudziło to ani jego, ani Salviny.

Wyszedłem z sypialni i zamknąłem drzwi. Zatrzasnęły się z cichutkim szczęknięciem, więc na chwilę wstrzymałem oddech, spodziewając się, że Enrico to usłyszy. Gdyby nad moim domem rozpętała się burza, spałbym jak suseł, ale jeśli ktoś nadepnąłby na skrzypiącą deskę w mojej sypialni, natychmiast bym się obudził.

Postanowiłem zajrzeć do sąsiedniej sypialni. Kiedyś pewnie należała do jednego z trójki dzieci Cesarettich. Otworzyłem cicho drzwi i zajrzałem do środka.

Był to pokój chłopca. Ujrzałem łóżko i drewnianą skrzynię. Obydwa meble wykonano z rzeźbionego dębu. Wieko skrzyni było uchylone, a na podłodze leżały zabawki: plastikowa piłka, blaszany czołg i metalowe żołnierzyki. Był też wśród nich metalowy samochód wyścigowy bugatti i wenecka lalka w ciemnej pelerynie i ptasiej masce zamiast twarzy.

Na ścianie po lewej wisiała grafika w ramce. Przedstawiała wijącą się procesję groteskowych postaci w średniowiecznych

strojach, tańczących na miejskim placu. Ukryte za pozbawionymi wyrazu maskami postacie wymachiwały kijami, świńskimi pęcherzami i mieczami. Kate opowiedziała mi trochę o Wenecji, więc wiedziałem, że to bohaterowie tradycyjnego włoskiego przedstawienia ulicznego, opowiadającego o bogaczach, zbójcach, pięknych nierządnicach i oszustach bez skrupułów.

Już miałem wycofać się z pokoju, gdy nagle zobaczyłem, że coś porusza się po drugiej stronie łóżka. Nie wiedziałem, co to takiego. Po chwili z ciemności za łóżkiem wyłoniła się jakaś postać. Była niska jak karzeł, mogła mieć metr dwadzieścia wzrostu, a jej głowa przypominała niezgrabną kulę. Natychmiast przypomniał mi się straszny karzeł w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym z horroru Nie oglądaj się teraz!

Przez mniej więcej minutę postać kołysała się na boki w ciszy, po czym nagle zakwiliła.

Okrzyłem skrzynię, starając się nie nadepnąć na zabawki. Kiedy wszedłem za łóżko, zobaczyłem, że jest to chłopczyk w grubym szarym swetrze, granatowych szortach i sandałkach. Na głowie miał szorstki worek z juty, przewiązany sznurkiem wokół szyi.

Z niejakim zaskoczeniem stwierdziłem, że wcale się nie boję. Zaczynałem się domyślać, że wszystkie te dziwne wydarzenia nie miałyby miejsca, gdybym nie przyjechał tu, by je zobaczyć.

Po chwili wahania usiadłem na łóżku. Chłopczyk musiał mnie usłyszeć lub wyczuć, bo cofnął się ostrożnie o krok.

- Jak masz na imię? — zapytałem. — Kto ci to zrobił?

Chłopczyk znów zakwilił niczym zbite szczenię.

- Chyba nie twój ojciec, prawda?

Wiedziałem, że niektórzy ludzie czasem w dość niezwykły sposób dyscyplinują swoje dzieci. Nie chciałem nikomu nadepnąć na odcisk, ale obwiązanie dziecku głowy workiem wydawało mi się dość okrutną i niezwykłą karą.

- *Non li capisco* — odparł chłopiec cienkim, zdyszczanym i jakby zakatarzonym głosem.

- Nie rozumiesz? Dobrze, będę mówił wolniej. Kto ci to zrobił? Kto nałożył ci worek na głowę? Czy to twój ojciec? Twój *padre*?

Chłopczyk pokręcił głową i powiedział coś tak cicho i szybko, że w ogóle nie rozpoznałem słów.

- Poczekaj, zdejmemy ci ten głupi worek z głowy i może wtedy cię zrozumie — oświadczyłem.

- *Non tolga la mia mascherina!* — krzyknął chłopczyk wysokim, rozhisteryzowanym głosem.

- Co?

- *Non tolga pręgo la mia mascherina!*

- Nie chcesz, żebym go zdejmował? Uwierz mi, mały, jeżeli go nie zdejmę, możesz się udusić.

Chciał odskoczyć ode mnie, ale złapałem go za chudy nadgarstek i drugą ręką zacząłem rozwiązywać sznurek wokół jego szyi.

- Nie, proszę! — krzyknął znowu.

- Chcę ci tylko pomóc — odparłem. — Nic ci się nie stanie.-Gdy rozplątałem pierwszy supeł, jęknął i zaczął się cały trząść.

- Proszę, nie, niech pan go nie ściąga, proszę...

Przestałem rozplątywać sznurek i zapytałem:

- Dlaczego mam tego nie robić? Czy coś jest nie tak z twoją twarzą? Nie chcesz, żebym ją zobaczył? — zapytałem, bo nagle przypomniał mi się człowiek słoń, który ukrywał swoją zniekształconą twarz za bawełnianą maską z jednym otworem na oko.

Udało mi się rozplątać ostatni węzeł. Pozostało mi tylko wyciągnąć sznurek z otworów w worku, ale chłopczyk chwycił mocno za jego krawędź i nie puszczał.

- Błagam pana — wyszeptał.

Nie posłuchałem go jednak. Jak mógłbym zostawić dziecko z workiem na głowie?

Chłopczyk nadal nie puszczał krawędzi, więc chwyciłem worek na wysokości jego uszu.

- *Uno, due, tre!* — powiedziałem, po czym pociągnąłem worek do góry.

Ku mojemu przerażeniu worek oderwał się wraz z głową chłopca. Przewróciłem się do tyłu, na łóżko, ściskając worek w dłoniach i boleśnie uderzając barkiem o wezglowie.

Bezgłowe ciało chłopczyka przez ułamek sekundy stało prosto, nadal trzymając w górze zaciśnięte pięści, po czym runęło na bok, na bezładną stertę plastikowych figurek żołnierzyków i zwierząt. Jego ręka zakołysała się w górze, jakby machał kolegom.

Worek z głową chłopczyka był bardzo ciężki. Odłożyłem go na poduszkę. Nie miałem odwagi zajrzeć do środka. Nigdzie nie było krwi. Powinno być jej bardzo dużo, lecz nie ujrzałem ani kropelki.

Nie panikuj, powiedziałem sobie. To wszystko wcale nie dzieje się naprawdę, to tylko kolejne zwidy. Mimo to serce biło mi szaleńczo, a w uszach szumiała krew.

Może powinienem jednak otworzyć worek, pomyślałem. Może to tylko jakaś sztuczka albo złudzenie optyczne, może ta głowa jest zrobiona z papier *mâche*? Ale może chłopiec był prawdziwy? Przecież błagał mnie rozpaczliwie, żebym nie zdejmował mu worka z głowy. Nie zniósłbym oskarżycielskiego spojrzenia jego martwych oczu.

Wstałem, przestąpiłem ciało chłopczyka i jego zabawki, po czym cicho opuściłem pokój i zamknąłem za sobą drzwi. Nasłuchiwałem przez chwilę, lecz w mieszkaniu panowała cisza.

Kiedy wróciłem do sypialni, podszedłem do łóżka, włączyłem lampkę nocną, po czym mocno potrząsałem Kate.

- Obudź się! Na litość boską, znowu to samo!

Poruszyła się, wymamrotała coś i otworzyła oczy. Spojrzała na mnie, mrugając powiekami, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

- Co... co się dzieje?

- Znów mam te wizje...

Usiadła i chwyciła mnie za rękę.

- Co widziałeś?

- Spytaj lepiej, co zrobiłem.

Opowiedziałem jej, co się stało. Wysłuchiwała mnie, lecz nie była zaskoczona.

- To musiał być Massimo — stwierdziła.

- Urwałem mu głowę, do cholery!

- Wcale nie. Chcesz się przekonać?

Wstała i poprowadziła mnie do pokoju chłopczyka. Skrzynia na zabawki była zamknięta, na podłodze nie leżały zabawki. Na środku łóżka spał mały ciemnowłosy chłopiec o zarumienionych policzkach. Miał otwarte usta i ciężko oddychał, jakby miał katar.

- To Massimo — powiedziała Kate. — Poznasz go przy śniadaniu. Słodki szkrab.

- Przy śniadaniu? A dlaczego nie widziałem go wieczorem? Kate pocałowała mnie w policzek.

- Ponieważ ludzie przychodzą i odchodzą. Drzwi się otwierają i zamykają, a ludzie przez nie przechodzą.

- Coś podobnego powiedziała mi Pearl, ta moja sąsiadka z góry. Nie wiem, co miała na myśli.

- Dopiero zaczynasz to rozumieć. Rano poznasz Massima i dziewczyny, Raffaellę i Amaleę.

Zostawiliśmy chłopca w jego sypialni i wróciliśmy do łóżka. _ -
Błagał mnie, abym nie zdejmował mu kaptura, więc wyobraź sobie,
jak się poczułem, gdy urwałem mu głowę — powiedziałem.

- Nic mu nie zrobiłeś ani nie zrobisz. Nie skrzywdzisz nikogo z tej
rodziny. Kto inny owszem, ale nie ty.

ROZDZIAŁ 23

Rano, gdy tylko otworzyliśmy drzwi naszej sypialni, usłyszeliśmy, że rodzina Cesarettich rozmawia i śmieje się w kuchni. Spojrzałem na Kate, ale ona powiedziała tylko:

- Chodź. To urocze dzieciaki, na pewno je polubisz.

Weszliśmy do kuchni. Przy stole siedziała trójka dzieci i zajadała się cukinią w cieście. Salvina stała przy kuchence i smażyła kolejne porcje. Kuchnię wypełniał zapach cukinii, rozgrzanego masła, świeżo parzonej kawy i pieczonego chleba.

Na nasz widok Enrico poderwał się z krzesła, przytrzymując krawat przy piersi i dopijając resztkę swojej kawy.

- *Buon giorno, Kate! Buon giorno, Gideonie!* Mam nadzieję, że spaliście spokojnie. Przepraszam, że tak się śpieszę, ale mam dziś sześć przypadków katarakty do zoperowania. — Zwrócił się do dzieci: — Amaleo, Raffaello, Massimo, oto Gideon, przyjaciel Kate. Przywitajcie się z nim.

- Dzień dobry — powiedziała Amalea. — Serdecznie witamy w naszym domu.

- Bardzo mi miło — odparłem.

Rozmawiając z nią, czułem się dość dziwnie. Widziałem ją przecież nagą w salonie, a potem przyszytą do materaca na motorówce. Tak samo dziwne wydawało mi się przywitanie machnięciem ręki z Massimem, któremu w nocy urwałem głowę. Siedział na końcu stołu z ustami pełnymi *frittata*.

Amalea była bardzo ładna — szczupła, ciemna, o oczach jak migdały. Ciemne włosy lśniąco opadały jej na ramiona. Przypominała bardziej Egipcjankę niż Włoszkę. Miała na sobie obcisły czarny sweter i džinsy od Essenzy.

- Tato, czy wracając do domu, mógłbyś mi kupić biscotti Ducale? — zapytała.

- Ależ ty jesteś nienażarta! — prychnęła Raffaella. — Ciągłe jesz i w ogóle nie tyjesz. To niesprawiedliwe!

Nie była tak szczupła jak Amalea, ale urodą dorównywała siostrze. Miała postrzępione jasne włosy, niebieskie oczy, różowe policzki i duży biust, który odziedziczyła po matce. Była ubrana w granatową sukienkę z dzianiny.

Ponieważ Massimo siedział przy stole (i nie miał worka na głowie), zauważyłem, że ma włosy obcięte na pazia, wielkie oczy i bardzo poważną minę.

Usiedliśmy z Kate naprzeciw dzieci. Salvina rozłożyła przed nami widelce i noże.

- Lubisz *zucchini frittata*? — zapytała mnie. — Może masz ochotę na kawę lub sok z granatów?

- Z chęcią napiłbym się kawy — odparłem.

- Jak tam w twojej szkole plastycznej, Amaleo? — zapytała Kate.

- Ach, cudownie! — odparła z uśmiechem. — Teraz uczymy się koronek, takich samych, jakie robi Anita Belleschi Grifoni. Są piękne. W zeszłym miesiącu zdałam egzamin drugiego stopnia i otrzymałam pochwałę za tiul.

- Amalea wspaniale radzi sobie z wszelkimi robótkami ręcznymi — wtrąciła Salvina. — Uczy się klasycznych technik, ale jej projekty są bardzo współczesne, molto moderno.

Przypomniały mi się otwory po szwach na ramionach i nogach Amalei. Może to, że ktoś przyszył ją do materaca, było jedynie makabrycznym zbiegiem okoliczności. Ale równie dobrze sprawca mógł wiedzieć, że Amalea zręcznie posługuje się igłą i nitką i właśnie dlatego pozwolił sobie na taki chory żart.

- A czego ty się uczysz, Raffaello? — zapytałem drugą z dziewczyn.

- Chodzę do szkoły medycznej — odparła. — Chcę zostać pielęgniarką i opiekować się małymi dziećmi.

- A ty, Massimo? Kim chcesz zostać, gdy dorośniesz?

- Piłkarzem! — odparł bez wahania chłopczyk.
- Dobrze grasz?
- Grałby lepiej, gdyby nie wkopywał swoich piłek do kanałów — stwierdziła Raffaella. — Zgubił ich tyle, że w końcu tata przestał mu je kupować. W jednym tygodniu stracił aż pięć!
- Ale za to zrobiłem sobie nową — oświadczył Massimo. — Sam.
- Pomysłowy z ciebie chłopak — pochwaliłem go. — Z czego ją zrobiłeś?

Salvina postawiła przede mną talerz pełen *frittata*.

- Proszę, to dla naszego utalentowanego muzyka — oświadczyła.
- Salvino, nakarmiłbym tym całą nowojorską orkiestrę symfoniczną!
- Musisz się wzmocnić, Gideonie.
- Zrobiłem nową piłkę z worka — powiedział Massimo. — Do środka włożyłem swój *maglione*.
- Wykorzystał do tego płócienny worek, w którym trzymaliśmy mydło — wyjaśniła Amalea. — Wypchał go swoim starym swetrem.
- To była bardzo dobra piłka — oznajmił Massimo.
- Pewnie, tyle że ją też wkopałeś do kanału!

Coraz mniej podobał mi się kierunek, w którym zmierzała rozmowa. Wyglądało na to, że ktoś, kto wiedział, co Amalea i Massimo lubią najbardziej, zamierzał ich torturować właśnie w ten sposób — a może nawet zabić. Co najbardziej przypominała mi głowa Massima, gdy zobaczyłem go w nocy w jego pokoju? Piłkę z worka.

- Co będziecie dziś robili? — zapytała nas Salvina, siadając wreszcie przy stole.
- Zabiorę Gideona na spacer — odparła Kate. — Pójdziemy do Świętego Sebastiana, potem na plac Świętego Marka, a później zjemy lunch w barze U Harry'ego.
- Lunch po takim śniadaniu? Chyba żartujesz?

- Musisz spróbować *carpaccio* i koktajlu Bellini. Nie można odwiedzić Wenecji i nie spróbować tych specjałów U Harry'ego.
- Będzie ci smakowało — zapewniła mnie Salvina. — Portfel ci schudnie, ale będzie ci smakowało.



Poranek okazał się mokry i mglisty. Ruszyliśmy ulicami Wenecji z postawionymi kołnierzami i szalikami wokół szyi. Miasto wyglądało jak jakiś zapomniany archipelag zamieszkanym przez cudze wspomnienia.

Kate poprowadziła mnie wąskimi uliczkami, które biegły od południowo-zachodniego narożnika placu Świętego Pawła do placu Świętego Tomasza. Poszliśmy tam, by obejrzeć kościół, nad którego drzwiami znajduje się płaskorzeźba przedstawiająca świętego Tomasza, patrona szewców.

- Czy uda mi się je uratować? — zapytałem Kate, gdy szliśmy wzdłuż kanału Rio di Santa Margherita.

- Masz na myśli dzieci?

Woda była bardzo ciemna. Odbicia budynków falowały na błyszczącej powierzchni kanału. Pasażerowie przemykających nim gondoli wyglądali, jakby w ten zimny poranek wcale nie mieli ochoty siedzieć w wąskich łódkach i płynąć wodnym labiryntem.

- Tak, uratujesz je — powiedziała po chwili Kate. — Ale nie w taki sposób, jak myślisz.

Opowiedziałem jej o swoich przemyśleniach przy śniadaniu, o szwach Amalei i piłce Massima.

- Chyba masz rację — przyznała, kiedy skończyłem.

- Skoro tak, to mamy do czynienia z jakimś chorym, sadystycznym skurwielem, prawda?

Nic na to nie odpowiedziała. Doszliśmy do niewielkiej świątyni o szarej fasadzie — był to kościół Świętego Sebastiana. Z zewnątrz wyglądał jak zwykły włoski kościółek, ale jego wnętrze zdobiły wspaniałe freski i złocenia wykonane przez Paola Werończyka, szesnastowiecznego włoskiego malarza. W kościele panowały chłód i cisza, było jeszcze zbyt wcześnie na tłumy turystów. Nasze kroki niosły się echem po lśniącej kamiennej posadzce. Kate poprowadziła mnie ku południowej ścianie, by pokazać wielkie malowidło, przedstawiające półnagiego mężczyznę, który upadł na ziemię pod atakiem rozjuszonego tłumu.

- Tak właśnie zginął święty Sebastian — wyjaśniła.
- Myślałem, że naszpikowano go strzałami jak jeża.
- To akurat przeżył. Jakiś rolnik znalazł go i wyleczył. Jednak później Rzymianie znów go schwytali i osadzili. Został zatłuczony na śmierć.
- Tym razem miał pecha, co?

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, Kate ujęła mnie za rękę i przysunęła się do mnie, choć nie spojrzała mi w oczy.

- Gideonie, chcę, żebyś wiedział, że cię kocham.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo co miałbym powiedzieć? „Ja też cię kocham, słonko”? Z jakiegoś powodu uznałem, że zabrzmiałoby to banalnie, zwłaszcza w ten nierzeczywisty, mglisty dzień, gdy co chwila mijały nas czarne gondole, wyglądające jak łodzie pogrzebowe.

- Nie sądziłam, że cię tak mocno pokocham — dodała Kate. — Myślałam, że po prostu dasz mi wolność.
- A ja myślałem, że nigdy nie uwolnisz się od Victora.
- Nadal tego nie rozumiesz, kochanie, ale wiem, że mnie nie zawiedziesz, nawet wtedy, gdy uznasz, że tracisz zmysły. Obiecuję, że wkrótce wszystko zrozumiesz.

Spacerowaliśmy dalej, trzymając się za ręce niczym kochankowie w filmach z lat sześćdziesiątych. Przeszliśmy na drugą stronę Wielkiego Kanału po wysokim stalowym Ponte

delPAccademia. Pod nami przemykały wodne taksówki. Potem ruszyliśmy labiryntem uliczek, mijając po drodze sklepy najlepszych firm jubilerskich i odzieżowych: Chanel, Bulgari, Dolce & Gabbana.

- Chcę ci coś kupić — oświadczyłem. — Może pierścionek?

- Nie. Na to już za późno — odparła Kate.

- Za późno czy za wcześnie?

- Bez różnicy.

Przedzieraliśmy się przez coraz gęstsze tłumy turystów, aż w końcu doszliśmy do placu Świętego Marka, tego, który najczęściej pojawia się na zdjęciach z Wenecji. Roił się od szarych gołębi i turystów. Przed Campanile, najwyższą wieżą w Wenecji, tłoczyła się już długa kolejka.

Znajduje się tu bazylika Świętego Marka oraz Pałac Dożów. Na brzegu pobliskiego kanału stoją dwie granitowe kolumny, jedna zwieńczona posągiem lwa świętego Marka, a druga Posągiem świętego Teodora i jakiejś tajemniczej bestii. Byłoby tu romantycznie i bardzo pięknie, gdyby nie hordy przyjezdnych, którzy przepychali się, potrącali i pozwali do zdjęć.

- Nie przechodź między tymi kolumnami. To podobno przynosi pecha, ponieważ kiedyś wykonywano tam egzekucje — ostrzegła mnie Kate.

Rozejrzałem się po placu i powiedziałem:

- Nogi mi odpadają. Może pójdziemy do tego baru U Harry'ego i spróbujemy słynnego koktajlu Bellini? Jest jedenasta, więc chyba nie za wcześnie na picie?

Kate uśmiechnęła się.

- Wiem, o czym myślisz. Tak właśnie jest w Wenecji: czujesz się, jakby ktoś podeptał ci sen. A właściwie jakby podeptało go tysiąc osób w adidasach.

Ruszyliśmy z powrotem przez plac. Dotarliśmy do kolumnady w północno-zachodnim narożniku i wtedy w tłumie przed nami

zauważyłem dwóch mężczyzn i idącego między nimi chłopca. Jeden z mężczyzn był ubrany w czarną czapkę i czarne palto, drugi miał kanciastą głowę i stalowoszare włosy. Chłopiec miał na sobie granatową budrysówkę z kapturem, który zakrywał mu twarz.

- Kate, kogo przypominają ci tamci dwaj faceci?

Na chwilę straciłem ich z oczu, lecz gdy wyszliśmy z placu na deptak, znów ich dostrzegłem. Przepchnęli się przez grupkę duńskich turystów i skręcili w lewo. Ruszyłem za nimi, a Kate za mną, próbując mnie powstrzymać.

- Gideonie, lepiej tego nie rób — powiedziała.

- Jestem pewien, że to ci sami goście, których widziałem w Londynie.

- Nawet jeśli tak, co mógłbyś zrobić?

- Nie wiem, ale przecież sama powiedziałaś, że są częścią tej tajemnicy.

Mężczyźni zmierzali na zachód, mijając zatłoczone kawiarnie, sklepy z wyrobami ze szkła i Nigeryjczyków handlujących podrabianymi markowymi torebkami. Szli bardzo szybko, mimo że był z nimi mały chłopiec, przemykając przez tłum jak cienie.

Kiedy znaleźli się na moście, chłopiec potknął się i omal nie wylądował na ziemi, lecz mężczyźni złapali go pod ramiona i podnieśli tak szybko, że nawet jej nie dotknął.

Rzuciłem się do biegu, roztrącając ludzi.

- Gideonie, nie jesteś w Londynie! Uważaj! — krzyknęła Kate, która została z tyłu.

Spojrzałem za siebie i uniosłem rękę, po czym puściłem się w pogoń, przepychając się przez tłum, jakbym był w szkolnej drużynie futbolowej i pędził z piłką po boisku.

- *Pazzo!* — krzyknęła jakaś starsza kobieta, gdy w biegu przewróciłem rząd krzeseł stojących przed jej kawiarnią.

Byłem już tylko kilkanaście metrów od mężczyzn i chłopca. Postanowiłem ich dogonić i stawić im czoło, choćby miało się to skończyć kompromitacją.

Mężczyźni i chłopiec skręcili nagle w prawo, w jeszcze węższy zaułek, i zniknęli mi z oczu za rogiem. Kiedy tam dobiegłem, z naprzeciwka wyszło kilku niemieckich turystów, obwieszonych plecakami i aparatami. Przez parę cennych sekund lawirowałem po całym zaułku, próbując ich wyminąć.

Niemców bardzo to rozbawiło. Jeden z nich pokłonił mi się w pas i krzyknął:

- *Viel Dank Jur den Waltz, mein Herr!*

Mężczyźni i chłopiec zniknęli, zanim pokonałem wąski zaułek. Nie wiedziałem, w którą stronę mam skręcić. Na ścianie dojrzałem dwie tabliczki, wskazujące dwa przeciwne kierunki, jednak na obu był taki sam napis: „S. Marco Rialto”. Może był to jakiś wenecki dowcip.

Wybrałem uliczkę po lewej, bo odpowiadało to mniej więcej kierunkowi, w jakim zmierzali obaj mężczyźni i chłopiec. Po obu stronach odchodziły w bok dojazdy do domów, zastawione rowerami i doniczkami z kwiatami, lecz nic dojrzałem w nich ani chłopca, ani mężczyzn. Cholera, pomyślałem, zgubiłem ich. Gdy dotarłem do kolejnego zaułka i zajrzałem do niego, coś walnęło mnie w grzbiet nosa tak mocno, że zatoczyłem się i wpadłem na okno sklepu z pamiątkami. Gdyby nie żelazne kraty antywłamaniowe, prawdopodobnie przeleciałbym przez szybę i upadł na wystawę pełną kolorowych szklanych naszyjników i masek karnawałowych.

To był mężczyzna w czarnej czapce — uderzył mnie grubą drewnianą laską. Zasłoniłem się lewą ręką, lecz walnął mnie w kłykcie, a potem jeszcze raz w bok głowy. Z piekącym uchem osunąłem się po ścianie i ukucnąłem.

Za mężczyzną w czarnej czapce dojrzałem tego drugiego, z siwymi włosami. Przed sobą trzymał chłopca. Pod kapturem dojrzałem bladą, wychudzoną i przerażoną twarz z purpurowymi sińcami pod oczami. To nie był Massimo. W ogóle go nie znałem.

Rozpoznałem za to człowieka w czarnej czapce, mimo że miał postawiony kołnierz i ciemne okulary na nosie.

- Jack! — zawołałem. — Jezu Chryste, to ja, Gideon! Dlaczego mnie uderzyłeś? Co zrobiłeś temu chłopczykowi?

Jack zdjął okulary i szturchnął mnie czubkiem laski. Miał kilkudniowy czarny zarost i wory pod oczami. Wyglądał jeszcze bardziej demonicznie niż w Nowym Jorku.

- Dlaczego ci przypierdoliłem? A jak myślisz? Bo mnie śledziłeś, dupku jeden!

- Chciałem tylko z tobą pogadać, stary! Zauważyłem cię na ulicy i chciałem zapytać, co tu robisz. Spotkałem cię w Nowym Jorku, a teraz ni stąd, ni zowąd widzę cię w Wenecji...

Nie wspomniałem o tym, że widziałem go także dwukrotnie w Londynie.

Znów szturchnął mnie laską. Jakieś dwie turystki w średnim wieku przystanęły obok i popatrzyły na nas, lecz Jack obnażył zęby i warknął:

- Poszły won, wścibskie jędze! *Vada via!*

Kobiety natychmiast zniknęły.

Podniosłem się z ziemi. Moja lewa dłoń zaczynała już puchnąć, a z nosem wcale nie było lepiej.

- Szajbus z ciebie! — wychrypiałem.

Zbliżył się do mnie z uniesioną laską. Jego oddech zalatywał czosnkiem i miał przekrwione oczy.

- Posłuchaj no... Nie widziałeś mnie dzisiaj, a jeśli kiedyś znów mnie spotkasz, to też mnie nie widziałeś. Rozumiesz?

- A co będzie, jak zawołam policję?

Jack zamrugął.

- Chyba żartujesz.

- Daj spokój, Jack. Nie wiem, co ty i twój kumpel robicie w Wenecji z tym chłopcem, ale nie wygląda to koszernie.

- Koszernie? — powtórzył Jack, patrząc na mnie ze zdziwieniem, ale po chwili kąciki jego ust powędrowały do góry. — A, rozumiem. Dwaj faceci, którzy wloką ze sobą dziewięcioletniego chłopca, wyglądają niekoszernie... Nie przejmuj się tym. To syn Grimanych. Wagarował i zadawał się z podejrzanym towarzystwem, więc jego rodzice kazali nam sprowadzić go do domu. Można powiedzieć, że wykonujemy ważną pracę społeczną.

- Nie bardzo chce mi się w to wierzyć.

- Jak mam cię przekonać?

- Podaj choć jeden powód, byle dobry.

- W porządku... Jeśli dalej będziesz mnie, kurwa, śledził, upierdołę ci paluchy.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Jack patrzył na mnie wyzywająco, jakby chciał, żebym mu się postawił — wtedy miałby pretekst, by mi znów przyłożyć. W końcu uniosłem dłonie i powiedziałem:

- Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi. Pójdę sobie i już nie będę cię śledził. Po prostu rób swoje.

Jack dał znak siwemu mężczyźnie, który wyprowadził chłopca z zaułka. Malec spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem, lecz Jack otoczył go ramieniem i ruszył tak szybko, że dzieciak ledwo za nim nadązał. Gdy doszli do kolejnego skrzyżowania, chłopiec obejrzał się na mnie. Nie wiedziałem, co mam począć.

Kiedy Kate mnie dogoniła, wciąż stałem przed sklepem z pamiątkami.

- Boże, nic ci nie jest? Krew ci leci z nosa.

Dotknąłem górnej wargi i spojrzałem na palce. Lepiły się od krzepnącej krwi.

- To przez Jacka, kolesia twojego męża — odparłem. —

Przyłożył mi prosto w nochal laską.

Wyjęła z torebki kilka chusteczek i zaczęła wycierać mi twarz.

- Ostrzegałam cię przecież. Mówiłam ci, jaki jest Victor. Jego kumple są tacy sami... a niektórzy jeszcze gorsi.

- Gównu mnie to obchodzi. Idę z tym na policję.

Pokręciła głową.

- Nie ruszaj się... o tak. Nie, nie zgłaszaj tego.

- Kate, padłem ofiarą napadu i pobicia! Bóg jeden wie, co zamierzają zrobić temu chłopcu!

- A zapytałeś o to Jacka?

- Pewnie, że tak! Zaczął ściemniać, że mały wagarował i jego rodzice wynajęli ich, by go ściągnęli do domu. Wierzysz w to? Może chłopak faktycznie urwał się z kilku lekcji, ale kto najmowałby takiego bandytę, żeby odnalazł ich dziecko? O nie, dzwonię na policję.

Kate otarła mi krew z nosa. Skrzywiłem się z bólu.

- Nie jest aż tak źle — oznajmiła. — To tylko zadrapanie. Chodźmy do Harry'ego, napijemy się czegoś i pomyślimy, co dalej.



Bar U Harry'ego był niedużym, ponurym i bardzo eleganckim lokalem, w dodatku bardzo droгим. Drewniane wnętrza, marmurowy kontuar i kelnerzy w białych marynarkach, atmosfera lat trzydziestych. Przychodzili tu Orson Welles, Truman Capote i Aga Khan, a Ernest Hemingway był stałym bywalcem.

Usiadłem z Kate przy małym okrągłym stoliku pod oknem. Kelner przyjął nasze zamówienie. Kate wzięła koktajl Bellini, czyli szampan z przecierem brzoskwinowym, firmowy specjał lokalu. Ja natomiast bardzo potrzebowałem podwójnej brandy.

- Nie wiem, jak jest „komisariat” po włosku, ale gdy wypiję, poszukam go, a wtedy Jack Friendly będzie miał przerabane. — Wciąż uciskałem grzbiet nosa, który zrobił się pięć razy większy i zaczął mnie boleśnie rwać. Uniosłem swoją szklaneczkę. Trzęsły mi się ręce.

- Gideonie, to nie jest dobry pomysł — powiedziała Kate.

Siedziała plecami do okna z barwnego szkła, więc nie widziałem zbyt dobrze wyrazu jej twarzy.

- Tak? A niby dlaczego? Kate, przecież on miał ze sobą dziewięcioletniego chłopca, ten dzieciak był naprawdę przerażony! Nie mów mi, że nic z tym nie zrobimy!

Ujęła moją dłoń.

- Masz zimne ręce — zauważyła. — I nadal się trzęsiesz.

Spojrzałem na nią.

- Wiesz, co Jack chce zrobić temu dziecku, prawda?

- Tak — przyznała.

- Zrobi mu krzywdę?

- Mam nadzieję, że nie. To zależy.

- I nadal uważasz, że nie powinniśmy zawiadomić policji? Dla mnie to wyglądało na porwanie.

- Wiem, ale jeżeli zawiadomimy policję, stanie się coś o wiele gorszego, i to o wiele szybciej...

- To znaczy?

Pochyliła się i pogłaskała mnie po policzku.

- Kochanie, jesteś już bardzo blisko. Już prawie wszystko rozumiesz. Powinieneś teraz wrócić do Nowego Jorku i poszukać odpowiedzi.

- U kogo niby? Jezu! Ciągle cię o nie proszę, ale ty albo nic mi nie mówisz, albo żadna z twoich odpowiedzi nie ma sensu.

- Posłuchaj głosu serca — oświadczyła Kate. — Powiedziałabym ci więcej, gdybym mogła, wiesz o tym. Twoje serce otworzy ci oczy, Gideonie, obiecuję. Wtedy dowiesz się wszystkiego, co chcesz wiedzieć.

Zamówiłem drugą brandy, a Kate kończyła swój koktajl. Szok wywołany napaścią Jacka stopniowo słabł. Mój gniew również. Obiecałem sobie przecież, że będę ufał Kate, choćby nie wiem jak bardzo tajemniczo się zachowywała; w przeciwnym razie nie przyleciałbym do Wenecji. Ale nie było to łatwe. Prosiła mnie, bym robił rzeczy sprzeczne ze wszystkim, co uważałem za słuszne i sprawiedliwe.

Kelner przyniósł rachunek. Trzy drinki i napiwek kosztowały nas prawie sto dolarów. Pomyślałem, że Ernest Hemingway musiał otrzymywać cholernie duże tantiemy.



Kiedy szliśmy Calle dei Fabbri w stronę Wielkiego Kanału, zaczęło mżyć i na ulicach zaroilo się od parasoli. Gdy dotarliśmy do mostu Rialto, rozpadało się na dobre. Musieliśmy przepychać się przez grupy turystów, którzy ukryli się przed deszczem pod zadaszonym przęsłem.

W połowie drogi zatrzymała nas grupa japońskich skautek. Ciepło po brandy zupełnie ze mnie wyparowało. Łupało mi w głowie i trząłem się jak wyciągnięty z rowu kundel.

Przeciskając się między skautkami, spojrzałem na Wielki Kanał, którego szare wody burzyły się od deszczu. Pod nami przepłynęła gondola. Na leżącej na rufie poduszce w kształcie serca kulila się czarnoskóra para w żółtych przeciwdeszczowych płaszczach. Wyglądali bardzo smutno i nieszczęśliwie. Wenecja nie jest miastem dla zagubionych i smutnych ludzi. Jeśli ktoś chce zakosztować tu romantyzmu, musi przywieźć go ze sobą.

- Chodź, jakoś się przepchniemy — ponagliła mnie Kate. Chwyła moją dłoń i już chciała pociągnąć mnie za sobą, lecz w tym momencie zauważyłem, że w wodzie coś pływa. Znajdowało się kilkanaście centymetrów pod jej powierzchnią, więc było bardzo niewyraźne. Płynęło za gondolą jak na holu, ale z pewnością musiało być popychane przez prąd.

- Poczekaj — powiedziałem i podszedłem do balustrady. Widziałem kształt w wodzie zaledwie przez kilka sekund, ale nawet tyle mi wystarczyło. Była to naga dziewczyna, leżąca na plecach na mokrym materacu. Amalea.

- Co się stało? — zapytała Kate.

Wskazałem palcem na wodę, jednak w tej samej chwili przez chmury przebił się anemiczny blask słońca, odbił się od kilwateru za gondolą i Amalea zniknęła.

- Widziałem Amaleę. Musieli wrzucić ją do kanału. Materac powoli nasiąkał wodą i w końcu zaczęła tonąć.

Staliśmy przy balustradzie przez kilka minut, próbując dojrzeć cokolwiek pod powierzchnią wody, lecz słońce świeciło coraz mocniej i Wielki Kanał pokryły świetlne błyski. Daliśmy sobie spokój.

- Widziałem ją — powtórzyłem. — Tak samo jak wczoraj w nocy.

- Wiem, że ją widziałeś — odparła Kate i przytuliła się do mojego ramienia.

- No dobrze, ale co mam teraz zrobić? Czy Amalea ma popłynąć aż do morza?

- Może już popłynęła?

- A jeśli nie?

- Wracajmy do Cesarettich — powiedziała Kate. — Przyda ci się parę godzin odpoczynku.

- Nadal uważam, że powinienem zgłosić Jacka Friendly'ego na *polizia*, a o Amalei poinformować straż przybrzeżną... nie wiem, jak to jest po włosku.

- *Guardia Costiera*. Nie znajdą jej.

W milczeniu wróciliśmy na Campo San Polo. Słońce grzało coraz mocniej i chodniki zaczęły parować, a ulice wypełniły się świetlistą mgłą.

W Palazzetto Di Nerezza zastaliśmy Salvinę, Amaleę, Raffaellę oraz Massima. Salvina przyrządzała sos do spaghetti w wielkim rondlu, Amalea i Raffaella odrabiały lekcje przy antycznym biurku w rogu salonu, a Massimo układał w korytarzu tory kolejki.

- Och! *Il vostro naso!* — wykrzyknęła Salvina, gdy wszedłem do kuchni. — Twój biedny nos! Co się stało?

- Miałem drobny wypadek — odparłem.

- Wygląda jak *un pomodoro grande!* Jak wielki pomidor! Musisz uważać, bo jeszcze wrzucę go do sosu bolońskiego!

Wszedłem z Kate do sypialni. Zdjęliśmy buty i wyciągnęliśmy się na łóżku. Kate przyglądała mi się z odległości kilkunastu centymetrów, więc nie bardzo mogłem skupić na niej wzrok.

- Wiesz, Salvina ma rację... — mruknęła po chwili.

- To znaczy?

- Twój nos rzeczywiście wygląda jak *un pomodoro grande*.

Pochyliła się, by mnie pocałować, i trafiła nosem w mój nos.

- Auuu - krzyknąłem.

- Przepraszam, następnym razem cię uprzedzę,

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu, po czym powiedziałem:

- Jutro rano wracam do domu. Czy tym razem polecisz ze mną?

Pokręciła głową.

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego nie chcesz ze mną wrócić?

- Zobaczysz, kochanie.

Pogłaskałem ją po głowie, nawinałem sobie jej włosy na palec i zaśpiewałem piosenkę, którą przed chwilą wymyśliłem:

- „Poznałem Kate, śliczną dziewczynę, za wcześnie lub za późno odrobinę, lecz całowaliśmy się w każdym mieście...”.

- Piękna melodia — stwierdziła.

- Ułożyłem ją do Puriny, karmy dla szczeniąt.

Walnęła mnie poduszką, więc oddałem jej swoją. Ze śmiechem przetoczyliśmy się po łóżku i na kilka minut zapomnieliśmy o Victorze oraz o wszystkich dziwnych wydarzeniach w Sztokholmie, Londynie i Wenecji.

Potem Kate usiadła na mnie okrakiem, otworzyła szufladę nocnego stolika i wyjęła z niej swoją czarną chustę.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy rano się obudziłem, czułem się, jakbym miał narkotykowego kaca. Miałem opuchnięte oczy, a w ustach czułem słodkawo-metaliczny posmak. Sięgnąłem w bok, lecz Kate nie było w łóżku. Wziąłem z szafki nocnej zegarek i próbowałem skupić wzrok na jego wskazówkach. Było dopiero sześć po siódmej. Kate z pewnością nie mogła wyjechać tak wcześnie rano.

Wstałem z łóżka, podszedłem do okna i odciągnąłem zasłony. Na zewnątrz dopiero świtało. Powietrze wypełniała gęsta szarozielona mgła, w której dostrzegałem jedynie falującą pod balkonem wodę oraz światła nad Wielkim Kanałem. W pokoju było chłodno, jakby wyłączono ogrzewanie.

Owinałem się szlafrokiem, otworzyłem drzwi sypialni i ruszyłem do kuchni. Nikogo tam nie zastałem, więc postanowiłem poszukać soku pomidorowego w lodówce. Okazało się, że jej drzwi są uchylone i zaklinowane kawałkiem złożonego kartonu. Była wyłączona i zupełnie pusta.

Jasna cholera, pomyślałem. Powtórka ze Sztokholmu. Zajrzałem po kolei do wszystkich szafek. Oprócz kilku pustych weków niczego nie znalazłem. W szufladach nie było sztućców, nie znalazłem też rondli ani misek. W całym mieszkaniu było przenikliwie zimno.

Wróciłem do sypialni i wszedłem do przylegającej do niej łazienki. Kosmetyczka i szczoteczka Kate zniknęły, a gdy przeszukałem szafę, okazało się, że zabrała też swoje ubrania. Na łóżku znalazłem jedynie czarny jedwabny szalik, poskręcany w miejscu, w którym zacisnęła na nim zęby, żeby nie krzyczeć.

Podszedłem do drzwi do sypialni Cesarettich i zapukałem.

- Enrico, jesteś tam? To ja, Gideon.

Odpowiedziała mi cisza. Odczekałem chwilę i otworzyłem drzwi. Sypialnia była pusta: na łóżku został tylko goły materac.

Poszedłem do pokoi dziewczyn, ale ujrzałem to samo — pustkę i brak pościeli. Zniknęły też skrzynia z zabawkami Massima i jego kolejka, zdjęto nawet grafikę z mimami.

Usiłowałem dodzwonić się do Kate na komórkę, ale nie odebrała. Pozostało mi jedynie ubrać się i spakować. Bardzo chciało mi się mocnej kawy. W domu kawy nie było, ale pewnie o tej godzinie część kawiarni już otwarto.

Poniosłem walizkę korytarzem, wygwizdując melodię do Puriny.

- „Poznałem Kate, śliczną dziewczynę, za wcześnie lub za późno odrobinę...”.

Gdy otworzyłem drzwi do salonu, znieruchomiałem i zamilkłem. Chyba wyrwało mi się wtedy „O Jezu”, ale równie dobrze mogłem to tylko pomyśleć.

Z wielkiego żyrandola dwa metry nade mną zwisali Enrico i Salvina. Byli wciąż w nocnej bieliźnie: Enrico w rudobrazowej jedwabnej piżamie, Salvina w kremowej jedwabnej koszuli. Oczy wyszły im z orbit, a z ust Salviny wystawał język.

Obracali się powoli w przeciwnych kierunkach. Żyrandol przypominał ogromnego pająka, a Enrico i Salvina — omotane jego siecią ofiary.

Patrzyłem na nich przez dobrą minutę i zastanawiałem co dalej robić. Wezwać policję, jak chciałem to zrobić wtedy, gdy pobił mnie Jack Friendly? A co, jeśli *polizia* przyjedzie, a Enrico i Salvina znikną? A co, jeśli nie wiszą tam naprawdę? Albo jeśli policja mnie aresztuje, uznawszy, że to ja ich powiesiłem?

Pomyślałem jednak, że nie mogę ich tak po prostu zostawić i opuścić Wenecji, nikomu nic nie mówiąc. Byłoby to niehumanitarne, poza tym w mieszkaniu znajdowało się pełno odcisków moich palców. Policja z pewnością zaczęłaby mnie szukać.

Musiałem jednak ochłonąć z szoku, jakiego doznałem na widok wiszących na żyrandolu gospodarzy, i upewnić się, że tym razem nie chodzi o jakieś zaburzenie czasoprzestrzeni. W końcu nie wiedziałem

przecież, gdzie podzieli się Amalea, Raffaella i Massimo, ani kiedy Kate zdążyła się spakować i opuścić dom.

Zostawiłem walizkę w korytarzu i wyszedłem na Campo San Polo. Plac był opustoszały, dopiero otwierano kawiarenki i trattorie. We mgle spacerowało kilka widmowych postaci z psami. Znalazłem niewielką kawiarnię o nazwie Al Assassini i wszedłem do środka. Było tam ciepło i jasno, pachniało świeżą kawą i gorącym pieczywem.

Usiadłem w rogu przy oknie i zamówiłem espresso.

- Może chce pan coś zjeść? — zapytał kelner. Miał tylko jedno oko i czarne włosy przygładzone żelem. — Ciastko albo kanapkę?

- Nie, *grazie*.

- Wie pan, *signore*, jaki dziś dzień?

- Czwartek?

- To dzień świętego Baltazara, dzień kłamstw.

- Naprawdę?

Miałem ochotę na duże espresso, a nie na opowiadanie o weneckich świętach, nie przy moim nastroju.

- Tego dnia należy przyznać się do wszystkich kłamstw z całego roku, bo inaczej spotka nas coś bardzo złego.

- To bardzo ciekawe... Chociaż nie, właśnie skłamałem. To wcale nie jest ciekawe.

Kelner uniósł palec i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Przejrzałem pana, *signore*, widzę wszystko jak na dłoni”. Potem poszedł po moją kawę.

Ponownie spróbowałem dodzwonić się do Kate, lecz nadal nie odbierała. Wybrałem numer Margot i wtedy zauważyłem białego kota, który siedział pod jednym ze stolików po drugiej stronie sali i patrzył na mnie.

„Biała pamięć cię obserwuje, więc nie otwieraj drzwi”.

Wbiłem spojrzenie w kota. Po chwili wstał i odszedł. Może to była Małkin? Wyglądał jak ona, choć nie wiadomo, w jaki sposób mogłaby się znaleźć pod stolikiem weneckiej kawiarni. Być może była pamięcią, wspomnieniem, a nie żywym zwierzęciem. Nieustannie mi przypominała, że miałem coś zrobić dla Kate, choć nadal nie wiedziałem, co to miało być. Dopilem espresso i zapłaciłem.

- Dać panu dobrą radę, *signore*? — zapytał kelner.

- Jaka?

- Niech pan pamięta, że pańskie oczy mogą kłamać, tak samo jak język.

- Spróbuję to zapamiętać. Czyj to kot?

- Jaki kot, *signore*?

- Ten, którego widziałem pod stolikiem, o tam.

Kelner pokręcił głową.

- Tu nie ma kotów, *signore*. Rozumie pan, przepisy sanitarne.

Spojrzałem w głąb kawiarenki, lecz nie zauważyłem żadnego białego kota.

- Cóż, może moje oczy kłamią.

Kelner znów się uśmiechnął i odwrócił ode mnie, lecz dojrzałem jego twarz w jednym z luster na ścianie przypominając Golluma.

Powolnym krokiem wróciłem do Palazzetto Di Nerezza. Wciąż jeszcze nie wiedziałem, co mam dalej robić. Miałem ochotę zadzwonić na policję, choć gliniarze mogli nie uwierzyć, iż nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Enrica i Salviny. Chciałem, by cała ta sprawa nabrała jakiegoś realizmu, by ciała zobaczył ktoś jeszcze — ktoś, kto nie wierzy w znaki i cuda. Do tej pory byłem absolutnie pewien, że nie oszalałem i wszystko, co widziałem i przeżyłem, można wyjaśnić w jakiś racjonalny sposób. Teraz jednak zacząłem wątpić w swój zdrowy rozsądek. Może Westerlundowie, Philipsowie i Cesaretti w ogóle nie istnieli, a ja traściłem zmysły?

Gdy do pałacyku zostało mi już tylko kilkanaście metrów, ujrzałem idącego w moją stronę białego kota. W pysku trzymał wielkiego szczura kanałowego z zamkniętymi ślepiami. Zatrzymał się na wprost mnie i czekał, aż podejść bliżej.

- Cześć, kolego — powitałem go i przykucnąłem w pewnej odległości od niego. Nie byłem pewien, czy szczur naprawdę nie żyje. — Co tam masz, śniadanko?

Biały kot patrzył na mnie przez chwilę, po czym upuścił swoją zdobycz na chodnik. Truchło z donośnym plaśnięciem upadło na grzbiet. Kot miauknął, po czym popchnął szczura w moją stronę.

- Aha, rozumiem. To ma być prezent! Dziękuję bardzo, zawsze chciałem mieć zdechłego szczura. Ale co mam z nim zrobić?

Kot znów trącił szczura, po czym usiadł, jakby czekał, aż go podniosę.

- Słuchaj, naprawdę jestem ci wdzięczny. Nie co dzień dostaję zdechłego szczura. Tyle że za chwilę wyjeżdżam i z pewnością nie pozwolą mi wejść do samolotu z takim potworem.

Kot ponownie szturchnął trupka, po czym chwycił go w zęby i odmaszerował. Ogon i łapki szczura podrygiwały w rytm kocich kroków. Po chwili kot zniknął w wąskiej uliczce przy Palazzetto Di Nerezza, odprowadzany pełnymi obrzydzenia spojrzeniami grupki japońskich turystów.

Otworzyłem frontowe drzwi i wszedłem do pałacyku. W środku nadal było zimno i cicho. Ruszyłem korytarzem do salonu. Przez żółte okna dojrzałem na Campo San Polo zwiedzających, przemykających niczym duchy.

Kiedy wszedłem do salonu, natychmiast spojrzałem na żyrandol. Ciała Cesarettich zniknęły, jakby ich tam nigdy nie było.

Szybko przeszukałem całe mieszkanie: sypialnie, łazienki, gabinet, bielizniarkę. Zajrzałem nawet do skrzyń stojących przy łóżkach, lecz nie znalazłem Cesarettich ani żywych, ani martwych.

W końcu wróciłem do salonu. Uchyliłem wieko klawiatury fortepianu i zagrałem temat z Doktora Bladej Twarzy. Nie zrobiłem tego w nadziei, że w pokoju pojawi się Amalea, nieważne już, w jakiej postaci. Miało to być coś w rodzaju requiem dla rodziny Cesarettich, gdziekolwiek byli i cokolwiek się z nimi stało.

Jeszcze grałem, gdy usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi do mieszkania, a potem zmierza do salonu. Po chwili ujrzałem trzydziestoletnią kobietę w eleganckim czarno-białym kostiumie w pepitkę, z neseserem w ręku.

- *Signore Morandi?* — zapytała. — *Era il portello aperto?* Uniosłem dłonie.

- Przykro mi, ale to nie ja.

- Umówiłam się tutaj z *signore* Morandim — dodała kobieta i szybko rozejrzała się po salonie, jakby Morandi siedział za jedną z kanap, bawiąc się z nią w chowanego. — Kim pan jest i co pan tu robi?

- Jestem gościem państwa Cesarettich, zaprosili mnie do siebie.

Kobieta podeszła do mnie. Miała pociągnięte pomarańczową szminką usta i rozsiewała wokół intensywny zapach perfum.

- Cesarettich? — powtórzyła ze zdziwieniem.

Wyjąłem z kieszeni klucz i pokazałem go jej.

- Tak — potwierdziłem. — Dali mi nawet klucz do mieszkania.

- To niemożliwe — odparła. — Państwo Cesaretti nie mieszkają tu od ponad dwóch lat. Doktor Cesaretti podjął pracę w Afryce, chyba w Dar-es-Salaam.

- Być może, ale wrócił. Musiał wrócić, bo wczoraj wieczorem jadłem tu kolację razem z nim i jego żoną.

Kobieta popatrzyła na mnie, po czym oświadczyła:

- *Signore*, będzie pan musiał stąd wyjść.

- W porządku, i tak już miałem wyjeżdżać, ale proszę mi wierzyć, państwo Cesaretti byli tutaj. Jedliśmy wątróbkę cielęcą, *baccala montecato*, i graliśmy na fortepianie.
- Proszę wyjść — powtórzyła kobieta. — Mój klient zaraz tu będzie.
- Pani klient?
- Chce wynająć to mieszkanie. Proszę...

Zrozumiałem, że wzięła mnie za wariata. Uznała, że jestem świrem, który w jakiś sposób włamał się do pałacyku, chodził po mieszkaniu, grał na fortepianie i udawał, że Cesaretti wciąż tu mieszkają.

Teraz już byłem pewien, że wcale ich tu nie było. Powoli zaczynałem wszystko rozumieć: to, co stało się z Westerlundami w Sztokholmie, Philipsami w Londynie, i to, co działo się tutaj.

- Do kogo należą te mieszkania? — zapytałem kobietę.
- Ich właściciele są moimi klientami, ale nie mogę o tym z panem rozmawiać. Musi pan wyjść.
- Obiecuję, że natychmiast opuszczę ten dom, jeżeli odpowie mi pani na to jedno pytanie.

Kobieta z ociąganiem otworzyła torebkę i podała mi wizytówkę.

- Niech pan porozmawia z moim szefem, Ettore Gavazzim.



Biura Agencji Gavazzi znajdowały się na trzecim piętrze eleganckiej jasnozielonej kamienicy przy Rio di San Polo. Prawdopodobnie pochodziła z piętnastego wieku, lecz jej wnętrza były surowe i bardzo nowoczesne — białe ściany, posągi z brązu i biurka ze szklanymi blatami.

Wysoka recepcjonistka zaprowadziła mnie do gabinetu pana Gavazziego. Idąc przede mną, kołysała biodrami opiętymi wściekle czerwonym kostiumem.

Ettore Gavazzi okazał się niskim śniadym mężczyzną o czarnych, kręconych włosach, spod których, niczym wypolerowana miedziana kopuła, prześwitywała skóra czaszki. Miał na sobie niebieską koszulę w prążki, czerwone szelki i bardzo drogie brązowe buty.

- Pan Lake? Dzwoniła do mnie moja asystentka, signorina Cappadona. Powiedziała, że zastała pana w Palazzetto Di Nerezza.

- Owszem, ale nie włamałem się tam. Byłem gościem państwa Cesarettich i dostałem klucze do ich mieszkania.

- Cesarettich... tak, moja asystentka o tym też mi opowiedziała. Tyle że państwo Cesaretti nie mieszkają w Palazzetto Di Nerezza już od ponad dwóch lat. *Dottore* Cesaretti przekazał akt własności pewnemu holdingowi, po czym wyemigrował do Afryki. ..

- Czy może mi pan powiedzieć, do kogo należy ten holding? — zapytałem.

Gavazzi popatrzył na mnie swoimi wylupiastymi oczami, Przypominał mi żabę z kreskówki.

- Kim pan jest, *signore*? Czego pan właściwie chce?

- Jestem przyjacielem państwa Cesarettich. Chcę się dowiedzieć, co się z nimi właściwie stało.

- Nie jest pan z KPWiG?

- Z Komisji Papierów Wartościowych i Giełd? Skądże, jestem muzykiem. Nie zamierzam sprawiać panu kłopotów.

Ettore Gavazzi milczał przez chwilę, wydymając policzki, co jeszcze bardziej upodobniło go do żaby. W gabinecie nie było much, ale miałem wrażenie, że gdyby się jakaś znalazła, natychmiast złapałby ją językiem.

- Powiedział pan mojej asystentce, iż wczoraj jadł pan kolację z państwem Cesaretti?

- Chyba źle mnie zrozumiała. Powiedziałem, że wczoraj była rocznica ślubu państwa Cesarettich i że wtedy zawsze jadaliśmy kolację razem.

Kiedy to mówiłem, przypomniał mi się kelner z Al Assassini i jego słowa: „Dziś jest dzień świętego Baltazara, dzień kłamstw”.

- Skoro jest pan dobrym przyjacielem państwa Cesarettich, dlaczego nie powiadomili pana, że sprzedali mieszkanie i wyjechali do Afryki?

- Nie mam pojęcia. Przez jakiś czas nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Czasami przyjaciele oddalają się od siebie, prawda? Enrico był zbyt pochłonięty swoimi operacjami, a ja muzyką. Wie pan, jak to jest.

Ettore Gavazzi znów przez chwilę milczał, wydymając policzki. W końcu otworzył szufladę biurka, wyciągnął czystą kartkę papieru, błękitne emaliowane pióro i coś na niej napisał.

- To obecni właściciele Palazzetto Di Nerezza — wyjaśnił. — Jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś o Cesarettich, proszę zwrócić się do nich.

Powachlował kartką, żeby atrament wysechł, po czym podał mi ją unikając mojego wzroku.

- Nic mówi mi pan czegoś, prawda? — powiedziałem. Gavazzi nadal na mnie nie patrzył.

- Nie mogę udzielić panu więcej informacji. Jednak przeniesienie aktu własności nie odbyło się w normalny sposób.

- Nie? To znaczy?

- Prawników państwa Cesarettich zdziwił i zaniepokoił fakt, że doktor chciał sprzedać dom, w dodatku tak szybko. Po co był mu ten pośpiech? Pałacyk od stuleci należał do jego rodziny i wcale nie musieli go sprzedawać. Moja agencja mogłaby go wynajmować podczas ich nieobecności, a wtedy po powrocie z Afryki mogliby się ponownie do niego wprowadzić. Prawnicy nalegali, by *dottore* Cesaretti rozważył tę możliwość.

- Ale...?

- Ale on kategorycznie odmówił — odparł Gavazzi. — Koniecznie chciał się pozbyć tego domu. Przeniesienie aktu własności odbyło się bardzo szybko jak na weneckie standardy. *Preliminari*, czyli czynności wstępne, badania historyczne i tak dalej, zwykle zajmują notariuszowi sześć tygodni, zwłaszcza w przypadku takich zabytków, lecz prawnik *dottore* Cesarettiego poinformował mnie, że cała procedura, od pierwszej *proposta* do ostatecznej *rogito notarile*, nie trwała nawet miesiąca.

- Rozumiem — mruknąłem i spojrzałem na kartkę, którą od niego dostałem. Napisał na niej: „Penumbra International Property, Nowy Jork”.

- Jeżeli dowie się pan czegoś więcej o swoich przyjaciółkach, czy mógłby pan skontaktować się ze mną? — zapytał. — Od samego początku miałem wrażenie, że coś jest nie tak, bo sprzedali tę posiadłość tak szybko...

Podziękowałem i uścisnąłem mu dłoń. Nad miasto napłynęły z północnego zachodu ciężkie, ołowiane chmury i o okna uderzyły pierwsze krople deszczu.

Gdy siedziałem już w taksówce wodnej, zmierzając przez zatokę w stronę lotniska imienia Marco Polo, rozpadało się na dobre. Musiałem siedzieć w kabinie i walizka wbijała mi się boleśnie w kolana.



W biurze Alitalia zamieniłem swój bilet, by przesiąść się w Zurychu na lot do Sztokholmu liniami Swiss International o 14.40. Potem poszedłem do nowiutkiej winiarni na lotnisku, zamówiłem duży kieliszek Pinot Grigio i usiadłem na wysokim stołku.

Zadzwoiłem do Margot.

- Lalo... wiesz, która jest godzina? — zapytała z irytacją.
- Jasne, szósta rano, a ty jak zwykle jesteś już na nogach.
- Położyłam się o trzeciej, ty sadystyczny draniu. Byłam ze znajomymi z liceum na imprezie w Megafly. Znalazło się wśród nich paru przystojnych facetów... a przynajmniej wydawali mi się tacy po paru tequilach. Czego chcesz?
- Ta cała sprawa z Kate zaczyna się wyjaśniać. Lecę do Sztokholmu, a potem do Londynu. Powinienem wrócić w niedzielę, ale najpierw zrób coś dla mnie.
- Co takiego mam zrobić? — spytała podejrzliwym tonem.
- Sprawdź agencję nieruchomości o nazwie Penumbra International Property. Mają siedzibę w Nowym Jorku. Zapisiałś? Penumbra. Nie kontaktuj się z nimi bezpośrednio. Nie mogą wiedzieć, że ich sprawdzasz.
- Dlaczego?
- Margot, proszę, zrób to dla mnie.
- Przecież wiesz, że zrobię. Kocham cię, Lalo.
- Wiem, ja ciebie też.

Oczywiście kochałem ją, lecz nie tak jak Kate. To nie była niebezpieczna, trzymająca w napięciu miłość. Po rozmowie z Margot zawsze weselej patrzyłem na świat. Niewielu było takich ludzi jak ona.



Nadszedł czas na odprawę, więc dokończyłem wino i poszedłem do toalety. Kiedy stałem przed lustrem, zastanawiając się, co powinienem zrobić, by z nowoczesnego włoskiego kranu poleciała woda, otworzyły się drzwi i do toalety wkroczył Jack Friendly.

Miał na sobie czarny płaszcz i ciemne okulary, lecz kiedy znalazł się za mną, zdjął je i wsadził do wewnętrznej kieszeni.

- No, no — wycedził. — Cóż za spotkanie.

Miał drapieżny wyraz twarzy.

- Co chcesz zrobić, Jack? — zapytałem, starając się panować nad głosem. — Znow mnie palniesz w nos?

- Nie. Chciałem udzielić ci rady, Gideonie, nic więcej.

- Czyżby? — W tym momencie nieoczekiwanie udało mi się uruchomić kran. Zimna woda oblała mi krocze.

Jack posłał mi krzywy uśmiešek.

- Często ulegasz różnym wypadkom, nieprawdaż, Gideonie? Dlatego na twoim miejscu nie wtykałbym nosa w nieswoje sprawy.

- Coś takiego! A jakie to sprawy?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Znam ludzi, którzy znają innych ludzi, a ci mówią mi o wszystkim. Wiesz czemu? Ponieważ gdy mówią, dostają coś, co lubią, a jeśli nie mówią, dostają coś, czego nie lubią. Byłeś dziś rano u Ettore Gavazziego, prawda?

- A tobie co do tego?

- To, że pytałeś o pewną nieruchomość. Ta nieruchomość i jej właściciele nie powinni cię obchodzić.

- Może chciałem ją wynająć?

- Jest już zajęta.

Odwróciłem się do niego.

- A może chciałem się dowiedzieć, dlaczego Cesaretti ją tak szybko sprzedali? No wiesz, z czystej ciekawości.

Jack chwycił mnie za gardło i jednocześnie złapał za krocze, mocno je ściskając. Zaskamlałem jak szczeniak, któremu ktoś przyciął ogon drzwiczkami samochodu, lecz Jack wciąż ściskał, aż oczy zasły mi łzami.

- Masz nie interesować się tą nieruchomością, kurwa. Nawet z ciekawości. *Capisci?*

Ledwo mogłem oddychać.

- Dobrze, dobrze, mam się nią nie interesować!

- Ani teraz, ani w ogóle, jasne?

- Jak słońce. Puść mnie wreszcie, Chryste Panie, to boli! — wyrzuciłem.

Jeszcze raz brutalnie ścisnął moje jądra, po czym puścił je, lecz nadal trzymał mnie za gardło. Z kieszeni płaszcza wyciągnął nóż do tapet. Podsunął mi go do twarzy i kciukiem wysunął ostrze. Było wąskie, trójkątne i miało ostro ścięty czubek.

Powoli przysunął mi je do prawego oka tak blisko, że znalazło się centymetr od gałki. Mimowolnie zatrzepotałem powiekami.

- Beethoven był głuchy, ale mimo to pisał muzykę, nie? Ciekawe, czy trudno byłoby ci ją pisać, gdybyś był ślepy.

Dyszałem ciężko z braku powietrza i czułem, że miękną mi kolana.

- Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, Gideonie? — zapytał Jack. Ostrze nie odsunęło się ani o milimetr. Byłem pewien, że wbije mi je prosto w oko. — Będziesz grzecznym twórcą jingli i przestaniesz węszyć po ciemnych kątach, bo czasami czają się w nich naprawdę przykre niespodzianki.

Nawet nic śmiałem kiwnąć głową, bo pewnie nadziałbym się na nóż. Jack przytrzymał mnie jeszcze przez kilka sekund. Czułem, że zalatuje od niego czosnkiem. Nagle drzwi toalety otworzyły się i weszło dwóch Japończyków. Natychmiast puścił moje gardło.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem — mruknął, poklepał mnie po plecach jak najlepszego kumpla, po czym założył okulary i wyszedł.

Zostałem tam jeszcze przez chwilę, przytrzymując się umywalki. Patrzyłem na swoje odbicie w lustrze. Byłem blady i zmęczony, a mój nos przybrał żółto-purpurową barwę. Tym razem Jack, dzięki Bogu,

jeszcze mnie nie oślepił, lecz nie miałem wątpliwości, że potrafi to zrobić.

Wyszedłem z toalety. Swiss International ogłaszał koniec odprawy pasażerskiej na lot LX 1663 do Zurychu. Musiałem podjąć decyzję: mogłem znów wymienić bilety i wrócić do Nowego Jorku, zapomnieć o Cesarettich, Philipsach i Westerlundach oraz o tym, co Kate chciała mi pokazać. Mogłem również polecieć do Sztokholmu i sprawdzić, czego można się dowiedzieć o domu przy Skeppsbron 44, ryzykując ponowne spotkanie z Jackiem Friendlym. Musiał mnie śledzić, bo inaczej jakim cudem znalazłby mnie w toalecie na lotnisku?

Zakryłem dłońmi oczy, próbując zebrać myśli. Kiedy je odjąłem, ujrzałem białego persę. Przycupnął tuż przy moim stolku w winiarni. Siedział tam przez chwilę i patrzył na mnie, po czym pobiegł w stronę bramek odprawy i zniknął.

- Boże, dopomóż mi — westchnąłem i ruszyłem w ślad za kotem.

ROZDZIAŁ 25

Poprzysiągłem sobie solennie, że już nigdy więcej nie pojedą do Sztokholmu. Mimo to stałem przed domem Westerlundów przy ulicy Skeppsbron. Było wpół do ósmej wieczorem i wokół mnie wirował gęsty śnieg. Jego płatki oblepiły mi włosy, brwi i ramiona.

Zatrzymałem się w Sheratonie, ale postanowiłem pieszo pójść na Skeppsbron, bo od hotelu miałem tam raptem dziesięć minut drogi wzdłuż ulicy Komhamnstorget. Po czterech godzinach lotu i piątej spędzonej w zbyt nagrzanym taksówce potrzebowałem świeżego powietrza, choćby nawet bardzo zimnego.

Zatrzymałem klucze do domu Westerlundów, które dała mi Kate, lecz zostały w Nowym Jorku. Jednak nie byłoby grzecznie wchodzić do ich mieszkania bez zaproszenia.

Zadzwoiłem do drzwi i czekałem. Śnieg padał coraz mocniej. Miałem przemoczone buty i skarpetki, palce u nóg mi zdrętwiały i żałowałem, że nie przyjechałem tu taksówką.

Zadzwoiłem ponownie, lecz nikt nie otworzył. Może powinienem był przyjść później albo następnego dnia rano? Już rozglądałem się za taksówką, by wrócić do hotelu, gdy usłyszałem szcęk kluczy i zasuw, po czym drzwi frontowe się otworzyły.

Ze środka wyjrzała ładna blondynka w średnim wieku, w okularach bez oprawek.

- Ach! — zawołała. — Herr Andersson?

Czułem, jak z wnętrza domu wylewa się ciepło. Strzepnąłem śnieg z włosów.

- Nie, proszę pani. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Czy pani mówi po angielsku?

- Tak, oczywiście. Przepraszam, spodziewałam się znajomego mojego męża.

- Nazywam się Gideon Lake, jestem przyjacielem Axela i Tildy Westerlundów.

- Westerlundów? Och... Obawiam się, że już tu nie mieszkają. Kiedyś to mieszkanie należało do nich, ale jakieś trzy lata temu wyjechali ze Sztokholmu. Nie wiem gdzie. Nie jest pan pierwszym znajomym, który ich szuka.

- Nie zostawili adresu do korespondencji ani żadnego innego kontaktu?

Pokręciła głową.

- Nadal dostajemy listy do nich, choć już nie tyle co kiedyś. Nie wiemy, gdzie je przekazywać, więc po prostu zwracamy je.

- Przepraszam. Wiem, że to dość wścibskie pytanie, ale... czy państwo mają to mieszkanie na własność, czy wynajmują?

- Wynajmuje je dla nas Królewski Instytut Techniczny. Mój mąż jest profesorem.

- Rozumiem. Nie wie pani przypadkiem, kto jest właścicielem? Być może on będzie wiedział, gdzie wyjechali Westerlundowie.

- Niech pan wejdzie do środka — zaproponowała. — Mój mąż zaraz wróci. Jestem pewna, że wie, kim są obecni właściciele mieszkania. W zeszłym roku wysiadło nam ogrzewanie, więc pośrednik musiał skontaktować się z nimi, by zapłacili za zainstalowanie nowego bojlera. Proszę, niech pan wejdzie.

- Na pewno? — zapytałem.

Kobieta szerzej uchyliła drzwi i uśmiechnęła się.

- Gdyby pan był gwałcicielem, nie stałby pan na ulicy z czapa śniegu na głowie.

Wszedłem na korytarz. Naprawiono szklaną latarnię, którą rozbiła Tilda, lecz stare, pokryte plamami lustro wciąż wisiało na swoim miejscu.

Kobieta podała mi dłoń. Była drobna i bardzo ciepła.

- Nazywam się Anna-Carin Olofsson, a mój mąż to profesor Berthil Olofsson. Prowadzi badania nad globalnym ociepleniem.

Strząsnąłem topniejący śnieg z ramion.

- Globalnym ociepleniem? Ha, przydałoby się teraz!

- Zapraszam na górę, napaliłam w kominku.

Gdy stanąłem obok pani Olofsson, okazało się, że jest bardzo niska: ledwo sięgała mi do ramion. Miała doskonałą figurę jak na swój wiek, a na jej twarzy widać było jeszcze ślady opalenizny. Pewnie latem przez cały czas pływała, a zimą jeździła na nartach — i prawdopodobnie zjadała dwie miski musli na śniadanie. Poczuliśmy się przy niej bardzo zaniedbani.

Mieszkanie niemal się nie zmieniło od mojej wizyty. W korytarzu nadal stał posążek bogini Frei, a w salonie były te same połączane kanapy i pianino Malmsjo, na którym zagrałem Drzewo drogowskie dla Elsy i Felicii.

Anna-Carin Olofsson wzięła ode mnie płaszcz i powiesiła go.

- Proszę usiąść przy kominku — powiedziała. – Czy chciałby pan kawy?

- Chętnie. Poproszę bez mleka.

Poszedłem za nią do kuchni.

- Bardzo nam się tu podoba — oznajmiła, wsypując kawę do ekspresu. — Przedtem mieszkaliśmy w Uppsali, ale tamto mieszkanie zupełnie nie miało charakteru. Za to tutaj... cóż, mój mąż twierdzi, że słyszy głosy ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali.

- Naprawdę? A co mówią?

Pani Olofsson lekceważąco machnęła ręką.

- To tylko jego wyobraźnia. Jest bardzo przesądny jak na naukowca. Gdy rozsypie sól, zawsze rzuca za siebie szczyptę, by ustrzec się przed pechem.

- A czy pani słyszała jakieś głosy?

- Ja? Nie, głosów nie słyszałam, ale jednego wieczoru, gdy Berthil wyjechał na jakąś konferencję, zdawało mi się, że słyszę płacz kobiety. Obeszłam wszystkie pokoje, jednak nikogo w nich nie było. Chyba dochodził z zaułka na tyłach albo z jakiegoś innego mieszkania.

Zamilkła na chwilę i wyjęła z szafki dwie filiżanki.

- To był bardzo smutny płacz. Ta kobieta musiała być zrozpaczona.

Napełniła dwie filiżanki kawą i poszliśmy z nimi do salonu. Gdy usiedliśmy, otworzyły się drzwi i do mieszkania ktoś wszedł, otupując buty na wycieraczce.

- Berthilu! — zawołała Anna-Carin. — Tu jesteśmy, mój drogi!

W salonie pojawił się przysadzisty mężczyzna z szarą brodą, w brązowym płaszczu i długim białobrązowym szaliku. Zaczynał już łysieć, miał zarumienione od mrozu policzki i błyszczące okulary na nosie. Wyglądał jak naukowiec z komiksu dla dzieci.

- Kochanie, ten dżentelmen jest przyjacielem państwa Westerlundów — wyjaśniła gospodyni. — Przyjechał, by ich odnaleźć.

- Gideon Lake - przedstawiłem się. - Przepraszam za najście, ale pańska żona jest niezwykle gościnna.

Profesor Olofsson zdjął wełnianą rękawiczkę i uściśnął mi dłoń.

- *God afton* — powiedział. — Jeżeli przyjechał pan tu po to, by znaleźć Westerlundów, to obawiam się, że pańska podróż poszła na marne. Mam nadzieję, że nie leciał pan zbyt długo...

— Cóż, podróżuję już od jakiegoś czasu, ale teraz jestem o wiele bliżej wyjaśnienia, co stało się z Westerlundami, niż kiedykolwiek wcześniej.

Profesor zdjął płaszcz i Anna-Carin wyszła na korytarz, by go powiesić.

- Chyba nikt nie wie, dokąd Westerlundowie wyjechali — oznajmił. — Kiedy się tu wprowadziliśmy, przychodziły do nich listy i dzwoniли różni ludzie, w tym również ich krewni, i pytali nas, czy wiemy,

dokąd się przenieśli. — Usiadł i rozsznurował buty. — Siostra doktora Westerlunda poszła nawet na policję i zgłosiła ich zaginięcie, ale nic to nie dało.

Do salonu wróciła Anna-Carin z kubkiem kawy z pianką i wiórkami czekoladowymi i postawiła go na stole.

Olofsson wysiorbał parę łyków. Kilka wiórków spadło mu na brodę.

- Jak pan sądzi, panie Lake, dokąd oni mogli się przenieść? - zapytał.

- Cóż... zdziwiłbym się, gdyby ktokolwiek ich jeszcze zobaczył. Zaczynam powoli rozumieć, co i dlaczego się z nimi stało.

- Uważa pan, że nie żyją?

- Sądzę, że to bardzo możliwe.

- Wszyscy, cała rodzina?

Przytaknąłem.

- Nie mam jeszcze żadnych dowodów, lecz jest to bardzo prawdopodobne. I nie sądzę, by zginęli w jakimś wypadku

- Ale przecież doktor Westerlund był tylko lekarzem... Po co ktoś miałby go zabijać?

- Chyba wiem, co było motywem zabójstwa, i chyba wiem też, kim był sprawca, jednak jak już powiedziałem, nie mam żadnych dowodów. To znaczy... żadnych logicznych dowodów. Ale je znajduję.

- Cóż, życzę powodzenia. Jeśli ktoś naprawdę zamordował Westerlundów, powinna spotkać go zasłużona kara.

Odstawiłem filiżankę.

- Pańska żona powiedziała mi, że wie pan, kto jest obecnym właścicielem tego mieszkania.

- Czy to w czymś pomoże?

- Nie jestem pewien, ale osoba, która kupiła je od Westerlundów, może wiedzieć, dokąd się udali.

Profesor Olofsson wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

- Wynajem mieszkania załatwiał mój instytut, więc nie poznałem osobiście właściciela. Ale kiedy popsuło się ogrzewanie, porozumiałem się z pośrednikiem i byłem w jego biurze. Widziałem wtedy umowę, leżała na jego biurku. Penumbra. Taka nazwa wpada w ucho.

- Słyszałem o nich. Mają siedzibę w Nowym Jorku.

- Cóż, w takim razie nietrudno będzie panu skontaktować się z nimi. — Profesor Olofsson znów wydmuchał nos. - Zamordowani... To byłoby straszne. Do czego ten świat zmierza?

Przez krótką chwilę siedzieliśmy pogrążeni w ciszy, zakłócanej jedynie trzaskiem polan w kominku i brzękiem filiżanek, Potem powiedziałem:

- Profesorze, podobno słyszy pan głosy.

Gospodarz spojrział na Annę-Carin i pogroził jej palcem. - Moja żona nie powinna opowiadać panu podobnych rzeczy! Nie chcę, aby ludzie zaczęli gadać, że coś jest u mnie nie w porządku z głową.

- Ale słyszał je pan?

- Cóż, nie sądzę, żeby to były prawdziwe głosy, raczej przeciągi spod drzwi. Wie pan, czasem człowiekowi wydaje się, że wiatr coś mówi, zwłaszcza w nocy.

- Czy zrozumiał pan, co te głosy mówiły?

Profesor spojrział na mnie surowym wzrokiem.

- To był tylko wiatr, panie Lake. Jestem tego prawie pewien. Ale podoba mi się myśl, że w takim starym mieszkaniu duchy dawnych mieszkańców wciąż dotrzymują nam towarzystwa.

- A czy słyszał pan, by mówiły *drunkna*?

- Tonąć? Kto panu to powiedział?

- Czyli słyszał pan?

Gospodarz pokręcił głową.

- Nie, skądże. Słyszałem tylko jakieś szelesty.
- A może słyszał pan jakieś niezwykle dźwięki, na przykład tupot dzieci biegających po korytarzu w środku nocy?
- Czasem z kanalizacji dochodzą jakieś łupnięcia, ale to przecież zwykła fizyka, rozprężanie i kontrakcja, a nie dzieci.
- I nigdy nie widział pan tu nikogo? Nie czuł pan czyjś dotyku?
- Panie Lake, mówi pan jak medium. Nie wierzę, żeby ten dom był nawiedzony. Czasami słyszę jakieś szelesty, które przypominają szepty, i tyle.

Spojrzał na zegarek, dając mi w ten sposób znać, że nie chce rozmawiać dalej na ten temat. Anna-Carin wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do mnie przepraszająco.

- No dobrze — powiedziałem w końcu. — Chyba zająłem państwu dość czasu. Bardzo dziękuję za gościnę i za kawę, pani Olofsson. Czy mogę przed wyjściem skorzystać z łazienki?
- Naturalnie — odparła Anna-Carin. — Zaprowadzę pana.

Oczywiście wiedziałem, gdzie jest łazienka, ale pozwoliłem poprowadzić. Gospodyni zatrzymała się przed jej drzwiami i oświadczyła:

- Berthil nie chce, by pan myślał, że wierzy w takie rzeczy, Opowiedział mi kiedyś, że czasem wyłapuje jakieś zrozumiałe fragmenty. Jeden z tych głosów zapytał: *Vilja de drunkna oss?* Czy oni nas utopia?
- Dziękuję — odparłem. — Nawet nie wie pani, jak bardzo mi pomogła.

Profesor Olofsson zawołał:

- Anna! Anna! Kanna Jag har migot mer kaffe?
- Już idę, kochanie! — odkrzyknęła Anna-Carin i zostawiła mnie w korytarzu.

Kiedy uchylałem drzwi do łazienki, wydawało mi się, że ktoś śpiewa w jednym z pokoi. Znieruchomiałem z ręką na klamce i przez chwilę nasłuchiwałem. Dźwięk był bardzo wysoki i bardzo słaby, lecz bez wątpienia był to śpiew.

Poszedłem korytarzem aż do dawnej sypialni Elsy i Felicii.

Przyłożyłem ucho do drzwi — nadal słyszałem śpiew na dwa dziewczęce głosy. Śpiewały po angielsku, więc wszystko rozumiałem.

- "I mimo iż las jest gęsty, gdy tylko zgubisz się, zawsze znajdziesz drzewo drogowskaz, które pomoże ci odnaleźć się".

Otworzyłem drzwi i natychmiast poczułem na przedramionach gęsią skórę. Ujrzałem Elsę i Felicię. Siedziały naprzeciw siebie w nogach łóżka i trzymały się za ręce. Były przezroczyste jak hologramy. Wyraźnie widziałem przez nie szafkę i toaletkę po drugiej stronie łóżka.

- Elsa? - odezwałem się. - Felicia?

Wszedłem do środka. Dziewczynki odwróciły głowy w moją stronę i uśmiechnęły się, choć ich oczy były tak ciemne i zamglone, że nie miałem pewności, czy mnie widzą.

- Elso, Felicio, to ja, Gideon. Napisałem dla was tę piosenkę.

Milczały, nadal się uśmiechając. Kiedy podszedłem bliżej i zauważyłem, że obie mają na sobie zupełnie mokre koszule nocne, oblepiające ich ciała.

- Znajdę ludzi, którzy wam to zrobili, i dopilnuję, by spotkała ich kara — oświadczyłem.

Elsa wyciągnęła do mnie dłoń. Spróbowałem ją chwycić, ale nie poczułem nic oprócz lekkiego chłodu, jakby dziewczynka tylko chuchnęła na moją rękę.

- Wiedziałyśmy, że nas ocalisz — powiedziała.

- Tak - dodała Felicia. — Byłyśmy pewne, że nigdy o nas nie zapomnisz.

Po chwili obie zaczęły znikać i po kilku sekundach zostałem w sypialni sam, dysząc ciężko, jakbym przebiegł całą Skeppsbron, schody w kamienicy i korytarz.

Ostrożnie dotknąłem kremowej narzuty na łóżku. Była zupełnie sucha. Nie wiem, gdzie Elsa i Felicia tak przemokły, ale po wodzie nie pozostało ani śladu. I

Wyszedłem z sypialni i cicho zamknąłem drzwi za sobą, po czym wróciłem do łazienki.

Było w niej ciemno, więc sięgnąłem do sznurka wyłącznika i pociągnąłem go. Gdy światło się zapaliło, omal nie krzyknąłem.

Przede mną stała Tilda w zakrwawionej sukni. Miała potargane włosy, oczy wychodziły jej na wierzch, a usta były szeroko otwarte w niemym krzyku.

Zrobiła chwiejny krok w moją stronę, omal się nie przewracając, potem kolejny. Miała pociętą całą twarz —czoło, policzki, nos i usta. Na jej ramionach ziały kolejne rany, z których cienkimi strumykami ściekała krew.

- *Behaga döda jag* — wymamrotała. Z jej nosa trysnęły bańki krwi-
Zabij mnie, proszę...

Mogłem chwycić Tildę w ramiona i spróbować udzielić jej pierwszej pomocy, mogłem też zawołać Annę-Carin. Wiedziałem jednak, że żona profesora jej nie zobaczy, bo była równie bezcielesna jak Elsa i Felicia. Tak naprawdę żadnej z nich tutaj nie było — już nie. Były jedynie wibracjami, które tylko ja wyczuwałem.

Wyłączyłem światło i zatrzasnąłem za sobą drzwi łazienki. Przez chwilę stałem w korytarzu i dyszałem ciężko. Zastanawiałem się, czy nie zajrzeć znów do łazienki, ale rozmyśliłem się. Na sztywnych nogach wróciłem do salonu i usiłowałem odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech Anny-Carin.

- Wszystko w porządku, panie Lake? — zapytała. — Wygląda pan na nieco wytrąconego z równowagi...

- To pewnie ze zmęczenia. W ciągu jednego dnia pokonałem trasę Wenecja – Zurych - Sztokholm. Chyba wzywa mnie moje łóżko w Sheratonie.

Profesor Olofsson mocno uściskał mi dłoń.

- Życzę panu powodzenia. Mam nadzieję, że znajdzie pan odpowiedzi na swoje pytania i że koniec pańskiej misji nie będzie zbyt smutny.

- Ja również mam taką nadzieję, profesorze. Ale raczej nie liczę na szczęśliwe zakończenie.



Margot zadzwoniła do mnie dokładnie o 2.35 nad ranem.

- To za to, że mnie tak wcześnie obudziłeś — oświadczyła.

Przekręciłem się na bok i włączyłem lampkę nocną.

- Przykro mi kochanie, ale muszę cię rozczarować. Jeszcze nie śpię.

- O, co się stało? Czyżby dopadła cię bezsenność?

- Gdybyś widziała to, co ja, nie spałabyś przez j tygodnie.

- Nie mów. Znów jakieś dziwne rzeczy?

- Żebyś wiedziała, tyle że znacznie gorsze. Opowiem ci o nich, kiedy wrócę do Nowego Jorku.

- Ale nic ci nie jest?

- Pewnie, że nie. Dowiedziałaś się czegoś o Penumbra?

- Niewiele. Mają swoją stronę w sieci, jednak nie ma tam niczego oprócz kilku zdjęć luksusowych mieszkań i notki: „Prestiżowe apartamenty na całym świecie, wytworne lokale na wynajem w historycznych miastach Europy i Skandynawii, domy dla wpływowych ludzi o niebanalnym guście”. A poniżej: „Rzym, Londyn, Sztokholm, Wenecja, Praga”.

- Podali jakiś kontakt?
- Jest adres e-mailowy i przypisek: „spółka należąca do Sunpath Holdings”, nic więcej. Zadzwoiłam do Gavina, mojego znajomego, który pracuje w Manhattan Realty Group. Zna wszystkich na rynku nieruchomości, ale nigdy nie słyszał o Penumbra ani Sunpath.
- Próbowałeś znaleźć Sunpath w Google?
- Tak. Wskoczyła mi tylko jakaś szkoła w Minnesocie i osiedle w Arizonie. Agenci od nieruchomości określają słowem „sunpath” położenie domu względem słońca. To właściwie wszystko.
- No dobra, Margot. Dzięki.
- Zatrzymujesz się w Londynie?
- Jutro o jedenastej lecę tam samolotem. To znaczy za osiem i pół godziny.
- Będziesz miał czas, żeby kupić mi angielskiego sopła? Wiesz, to jest takie różowe coś z cukru, z wielkim napisem LONDYN.
- Straszne dziecko z ciebie, Margot.

Rozłączyłem się. Sunpath Holdings. Zapisałem tę nazwę w hotelowym notatniku leżącym na nocnej szafce.



Mój mózg musiał pracować przez sen, bo nagle obudziłem się za kwadrans siódma, gdy jeszcze było ciemno, i pomyślałem: Sunpath.

„Sun” to słońce, czyli „sol”, jak w cyklu solarnym albo solaryzacji. „Path” to ścieżka lub droga, czyli „way”.

Solway. Penumbra należała do Victora Solwaya. Zdradziła go własna arogancja.



Gdy dotarłem pod Wetherby Gardens 37, słońce świeciło już bardzo mocno. Dopiero w pełnym blasku widać było, jak bardzo ponury, szary i zniszczony jest Londyn. Chyba to Samuel Johnson powiedział, że ten, kto jest zmęczony Londynem, jest zmęczony życiem, ale dziś sam Londyn wydaje się zmęczony istnieniem. Jest miastem wyczerpanych marzeń.

Zapłaciłem za taksówkę. Chyba udało mi się dać przyzwoity napiwek, ale pewnie był trochę za duży, bo kiedy taksówkarz odjeżdżał, zawołał:

- Dzięki, kolego, wielkie dzięki!

Kiedy wchodziłem na frontowe schody, natychmiast zauważyłem brak zasłon w oknach salonu Philipsów. Przyłożyłem dłoń do oczu, by zajrzeć do środka. W pokoju nie było również mebli i obrazów. Widziałem tylko nagie deski podłogi i uchylone drzwi na korytarz.

Zadzwoiłem do drzwi, choć nie wiem po co, bo Philipsów nie było. Mogłem tylko wezwać taksówkę i kazać się zawieźć na lotnisko, by polecieć do Nowego Jorku.

W połowie schodów zatrzymałem się i odwróciłem, by po raz ostatni spojrzeć na dom, i wtedy zobaczyłem białą perską kotkę. Siedziała na wewnętrznym parapecie i patrzyła na mnie. Mogła to być Małkin. Albo i nie.

Odwróciłem się i stanąłem z nią oko w oko.

- Czym ty jesteś? — zapytałem, bezgłośnie poruszając ustami. Wiedziałem, że nie usłyszy mnie przez szybę, a nawet jeśli by mnie słyszała, to przecież i tak by mi nie odpowiedziała. — Co tu robisz? Co chcesz mi powiedzieć?

Kotka przez chwilę wbijała we mnie wzrok, a potem zeskoczyła z parapetu i pobiegła w głąb mieszkania, w stronę kuchni.

Rozejrzałem się dokoła. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem paru przechodniów, ale nie zwracali na mnie uwagi. W końcu dlaczego ktoś miałby zawracać sobie głowę jakimś facetem w przeciwdeszczowym płaszczu? Zszedłem ze schodów i ruszyłem na tyły domu. Natknąłem się na białą drewnianą furtkę. Nie była zamknięta, więc mogłem wejść do wąskiego zaułka, w którym stały kubły na śmieci.

Na jego końcu, po prawej, była kolejna furtka, również otwarta. Wszedłem po trzech niskich schodkach na taras Philipsów. Mogłem stamtąd zajrzeć do kuchni i sypialni gospodarzy. Kuchnia była pusta, a na podwójnym łóżku w sypialni leżał nagi materac. Biała kotka siedziała w kuchennym oknie, jakby na mnie czekając.

Podszedłem bliżej i nachyliłem się ku niej. Dotknęła nosem szyby i oblizwała się.

- Co chcesz mi powiedzieć, kiciu? — zapytałem. — No, Małkin, pokaż mi, o co ci chodzi.

Kotka spojrzała w górę. Podążyłem za jej spojrzeniem i w szybie zobaczyłem odbicie chłopca, który stał za moimi plecami. Odwróciłem się i straciłem równowagę. Musiałem chwycić się framugi okna, żeby się nie przewrócić.

Wyprostowałem się. Chłopiec miał dwanaście, może trzynaście lat i krótkie ciemne włosy. Był ubrany w szary sweter z herbem szkoły i szare workowate spodnie. Ktoś mocno obił mu twarz, bo miał popękane usta i spuchnięte policzki.

Ale najbardziej przerażyły mnie jego oczy. Były szeroko otwarte, jakby wpatrywał się we mnie, lecz ich tęczówki i źrenice były białe, a białka podeszły krwią. Na powiekach dostrzegłem skorupę jakiejś przezroczystej substancji. Część z niej spłynęła po policzkach malca.

- Tatusiu, to ty? — zapytał chłopiec, wyciągając przed siebie rękę.

- Mam na imię Gideon — odparłem. — Słuchaj, mogę sprowadzić pomoc.

- Tatusiu, to ty? — powtórzył chłopiec. — Strasznie bolą ranie oczy. Powiedz im, żeby przestali, proszę, powiedz im, by nie robili mi już krzywdy.

Delikatnie ująłem jego dłonie. Usiłowałem je wyrwać, ale nie puściłem.

- Posłuchaj... mam na imię Gideon. Nie zrobię ci krzywdy. Powiedz mi, jak się nazywasz.

- Moje oczy... — jęknął, kręcąc głową. — Zranili mnie w oczy. Pieką mnie i nic nie widzę.

- Powiedz mi, jak się nazywasz — powtórzyłem. — Naprawdę mogę ci pomóc, ale muszę wiedzieć, jak się nazywasz.

Przestał kręcić głową i spojrzał na mnie.

- Giles Nicholas Philips — odparł — Wetherby Gardens trzydzieści siedem, Londyn, SW pięć. Proszę, daj im to, czego chcą, proszę, tatusiu! Nie pozwól im znowu mnie skrzywdzić, proszę!

Wiedziałem, że nikt i nic już nie może mu pomóc. Gdybym wezwał karetkę, sanitariusze nie znaleźliby go tutaj.

Uścisnąłem jego dłonie, po czym chwyciłem go za ramię — na znak, że rozumiem, przez co przechodzi, choć tak naprawy wcale tego nie rozumiałem. Musiał przeżywać prawdziwe piekło.

Kiedy zostawiłem go na tarasie, wciąż nawoływał ojca. Zszedłem do furtki i zamknąłem ją za sobą. Nie da się zbyt długo znosić czyjegoś cierpienia.

Cholerny filozof się znalazł. Zostawiłem go, bo po prostu nie mogłem już tego wytrzymać.

Gdy przecinałem brukowany dziedziniec przed domem otworzyły się drzwi frontowe i pojawił się w nich młody człowiek w ciemnym garniturze i czarnych wyglansowanych butach, z neseserem w ręku.

- Czy mogę w czymś pomóc? — zapytał.

- Chyba już nie — odparłem.

Mężczyzna zbiegł po schodach. Miał gładką, młodą twarz z licealnej fotografii, na której nie odbiły się jeszcze ślady życiowych rozczarowań.

- Szukał pan kogoś? Być może potrafiłbym panu pomóc.

- No cóż... Zastanawiałem się, czy to mieszkanie jest do wynajęcia. Już od jakiegoś czasu szukam domu w Londynie i akurat przechodziłem obok...

- Owszem, jest wolne — odparł młody mężczyzna i wyjął z teczki wizytówkę: „Keller & Watson, Wynajem Nieruchomości, 161 Brompton Road, Knightsbridge”. — Mam przy sobie klucze, więc może pan rzucić na nie okiem.

Spojrzałem na dom. Z okiennego parapetu patrzyła na mnie Małkin.

- Dziękuję, ale nie. Chciałbym umówić się na obejrzenie tego mieszkania razem z żoną. Przyleci z Nowego Jorku dopiero w przyszłym tygodniu. Nie ośmieliłbym się podjąć żadnej ważnej decyzji bez jej rady, rozumie pan.

Młody człowiek uśmiechnął się.

-Naturalnie, panie...

-Schifrin. Lalo Schifrin.

-Dobrze, panie Schifrin, jak pan sobie życzy. Powiem tylko, że wynajem kosztuje trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt funtów tygodniowo. Plus podatek, rzecz jasna.

Przeliczanie funtów na dolary nie szło mi najlepiej, ale wiedziałem, że funt to jakieś dwa razy więcej. Mieszkanie Philipsów kosztowałoby mnie prawie dwadzieścia pięć i pół tysiąca dolarów miesięcznie.

- To bardzo rozsądna cena — odparłem. — A tak przy okazji, do kogo należy to mieszkanie?

- Do firmy z Nowego Jorku. Chyba ją pan zna, to Penumbra.

- Ach, Penumbra! Oczywiście, słyszałem o nich, są bardzo ekskluzywni. Jej szefem jest... no, jak on się tam zowie... — urwałem, spodziewając się, że młody człowiek podpowie mi nazwisko właściciela firmy, lecz nie uczynił tego. - No wie pan, ten facet... Zawsze zapominam jego nazwiska. Galway, Solway?

Młody mężczyzna pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie wiem. Z Penumbłą rozmawia zwykle pan Watson.

- Cóż, to nic ważnego. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. Zadzwoń do was, gdy tylko żona przyleci do Londynu.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i młody człowiek odszedł. Stałem przez chwilę przed domem, ale biały kot już zniknął, a ja nie zamierzałem wracać na patio, by sprawdzić, czy Giles Philips nadal tam jest.

Wezwałem taksówkę. Jadąc do hotelu, patrzyłem na Londyn, przesuający się obok mnie w blasku słońca. Dni jego świetności już dawno minęły. Czuję się zmęczony i winny jeszcze bardziej niż przedtem. Nie pomogłem Tildzie ani Gilesowi Philipsowi. Ale wiedziałem już, o co Kate mnie prosiła, i przysiągłem sobie solennie, że jej nie zawiodę.

ROZDZIAŁ 26

Gdy wróciłem do domu, Nowy Jork tkwił w mroźnym uścisku zimy, nadciągającej od strony Kanady. Nie padał śnieg, jednak północno-zachodni wiatr sprawiał, że ciekło z nosa, ilekroć wyszło się na zewnątrz. Wszystkie fontanny pozamarzały, tworząc gruzłowate bryły, przypominające trolle.

Włączyłem ogrzewanie, nastawiłem je na maksimum i nalałem sobie sporą porcję krupniku, miodowej wódki, którą dostałem dwa lata temu na święta od mojego polskiego znajomego, Piotra Kusia. Piotr grał na perkusji jak szatan, choć żeby osiągnąć ten stan, potrzebował dwóch jointów i trzech setek wyborowej.

Jakąś godzinę po moim powrocie ktoś zapukał do drzwi. Była to Kate, w czapie i płaszczu ze srebrnego lisa. Na rękach trzymała Małkin.

- Witaj, nieznajoma — powitałem ją. — Wejdz.

Weszła do środka. Miała na nogach czarne botki na bardzo wysokim obcasie. Zamknąłem za nią drzwi, po czym objąłem ją i pocałowałem. Miała bardzo zimne wargi i rzęsy.

Rozpiąłem jej płaszcz, po czym znowu przytuliłem ją i pocałowałem.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem — powiedziałem. — Jak tort za wisienką.

Zdjęła czapę z lisa i potrząsnęła włosami.

- Mogłeś wrócić.

- Nie. Musiałem się dowiedzieć, co się stało z Cesarettimi, Westerlundami i Philipsami. Przecież nie mogłaś mi tego powiedzieć, mogłaś mi to tylko pokazać... chociaż zupełnie nie wiem dlaczego. Może z takich samych powodów, z których moja znajoma nie może przedstawić dowodów w sądzie przeciwko swojemu mężowi? Zresztą to teraz nieważne. Mieszkania tych trzech rodzin należą do Penumbra

International Property, która jest własnością Sunpath Holdings, a Sunpath Holdings należy do Victora. Mam rację? Wszelkie okropności, które spotkały te rodziny, tortury, morderstwa... Może ich sprawcą był Jack Friendly, ale to Victor je zaplanował.

- I co teraz zrobisz? — zapytała Kate, unosząc wyzywająco brodę.

- Najpierw zdejmę ci płaszcz, sukienkę, stanik i majtki, a potem zaniosę cię do sypialni i będę się z tobą kochał.

- A co z botkami?

- Botki zostają.

- A co z Małkin?

- Będzie musiała patrzeć w inną stronę.



Kochała się ze mną w botkach, tak jak chciałem. Ich czerń kontrastowała z jej bladą skórą. Była chudsza niż przedtem, żebra i kości biodrowe niemal przebijały skórę, a wgłębienia nad obojczykami zapadły się jeszcze bardziej.

Ujeżdżała mnie w rozmarzeniu, zaciskając obute nogi na moich biodrach. Wygięła się do tyłu, więc widziałem, jak mój członek, niczym w magicznej sztuczce, znika w niej i znów się pojawia. Pochyliła się i pocałowała mnie. Oboje dyszeliliśmy ciężko. W końcu poczułem, że dochodzę. Kate również zadrżała i krzyknęła, szczytując.

Jej krzyk był tak wysoki, że właściwie go nie słyszałem, ale lustro w szafie pękło na ukos z głośnym trzaskiem. Dygotała przez chwilę, po czym upadła na łóżko.

- Udało ci się — wyszeptała, tuląc się do mnie i obsypując pocałunkami moje policzki, szczękę, czoło i powieki.

- Co mi się udało?

- Wreszcie zrozumiałeś, co ci pokazywałam.
- Tak, ale nadal nie mam żadnych dowodów. Znam nazwę firmy, Sunpath, jednak to niczego nie dowodzi. Muszę mieć coś namacalnego: dokumenty, listy, nagrania rozmów.
- Znajdziesz je. Victor zakłada swoje firmy w bardzo sprytny sposób, ale jest zbyt pewny siebie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś może domyślić się, co robi, a już z pewnością nie przypuszczał, że ktoś będzie chciał go dopaść.

Pocałowałem ją w czoło. Jej skóra była bardzo zimna i gładka — miałem wrażenie, że całuję marmurowy posąg.

- Czy Penumbra ma biuro w Nowym Jorku? — zapytałem.
- Tak. Madison Avenue numer dwieście, ale pewnie to tylko skrytka pocztowa.
- Musimy dowieść, że istnieje związek między Victorem i Penumbłą. Jak również powiązać z nią Jacka Friendly'ego i udowodnić, że pracował dla firmy, gdy torturował i zabijał tych ludzi, oraz że zrobił to na polecenie Victora. A to nie będzie proste.

- Uda ci się.

- Mogę spróbować, ale pamiętaj, ja tylko piszę muzykę. Nie jestem Kojakiem.

Znów mnie pocałowała, po czym przesunęła dłoń w dół mojego podbrzusza i mocno chwyciła mnie za krocze, choć nie tak brutalnie jak Jack w toalecie na lotnisku.

- Co cię przekonało, że Victor jest winny? — zapytała.
- Hm... naprowadziła mnie na to nazwa „sunpath”, ale najlepszy trop podrzucił mi sam Victor. Kiedy po raz pierwszy wpadłem do niego na kielicha, nawijał tylko o tym, jak ważne jest dla niego bogactwo, majątek, mieszkania za miliony i meble kosztujące setki tysięcy dolarów.
- No tak... — mruknęła Kate.

Najwyraźniej słyszała już wiele razy życiowe credo Victora Solwaya.

- Całą brudną robotę odwalał Jack Friendly — mówiłem dalej. — Ale weneckie pałacyki i antyczne meble gównu go obchodzą. Woli drogie samochody, łatwe kobiety i obstawianie na wyścigach na torze Aqueduct.

- Victor pragnie szacunku, bez względu na cenę — dodała Kate. — Nawet za cenę życia niewinnych ludzi.

Pogłaskałem ją po włosach.

- Poza tym jesteś jeszcze ty. To właśnie ty najbardziej przekonałaś mnie do poszukiwań.

- Ja?

- Tak. Nienawidzisz Victora, choć twierdzisz, że nie możesz od niego odejść. Nie wiem, co on na ciebie ma, ale nic ci nie będzie mógł zrobić, jeśli na dwadzieścia pięć lat wsadzą go do Sing-Sing. Jeżeli uda mi się udowodnić, że to on zlecił te wszystkie zabójstwa, będziesz wolna. Mam rację?

Kate nic mi na to nie odpowiedziała, zamknęła tylko oczy.

- Zastanawia mnie jednak, dlaczego od razu nie poszłaś na policję. Rozwiązałyby tę zagadkę znacznie szybciej niż ja.

Otworzyła oczy.

- Nie mogłam. Nie wysłuchaliby mnie, nie uwierzyliby. A ty jesteś bardzo wyczulony, widziałeś na własne oczy, co się stało. Widziałeś Axela, Tildę, Elbę i Felicię. Widziałeś Philipsów i Cesarettich. Policja nie zobaczyłaby ich, prawda?

- Pewnie nie. Ale musimy im powiedzieć, co Victor i Jack Friendly planowali, a potem będziemy musieli to udowodnić. Nikt nie wie, co się stało z tymi rodzinami. Podejrzewam, że Jack Friendly postarał się, by nikt nie znalazł ich szczątków.

Pocałowała mnie.

- Gideonie, najważniejsze, że ty to wiesz. Najważniejsze, że ty w to wszystko wierzysz. Poza tym nie mamy już zbyt wiele czasu. Zostały tylko trzy dni.

- Jak to? Dlaczego tylko trzy dni?

- Nie mogę ci teraz tego powiedzieć. Dopiero wtedy, gdy to wszystko się skończy.

Usiadłem na łóżku.

- Kate, nie opuściłem cię ani na chwilę. Zaufałem ci, wspierałem cię i nigdy nie żądałem wyjaśnień, nawet gdy widziałem tonące dzieci, płonące kobiety i ludzi powieszonych na żyrandolu. Teraz jednak chciałbym, żebyś mi odpowiedziała, dlaczego mamy tylko trzy dni?

Znowu mnie pocałowała.

- Nie możesz z tym poczekać? To już niedługo, potem będziesz wiedział wszystko.

- Kate...

- Gideonie, po prostu nie mogę ci tego powiedzieć.

Co mogłem zrobić? Urządzić jej awanturę? Przecież kochałem ją i miałem coraz silniejsze wrażenie, że jeśli wszystko się uda i wsadzimy Victora i Jacka Friendly'ego do pudła, będziemy mogli być ze sobą.

- No dobrze — odparłem w końcu. — Sam nie wiem czemu, ale zgadzam się. Zapytam o to znowu za trzy dni.

Usiadłem na niej, przygważdżając ją do łóżka, i pocałowałem, lecz w tym momencie siedząca w salonie Małkin zamiauczała.

- Jest głodna — stwierdziła Kate.

- Nie może trochę poczekać?

- Będzie miauczała, dopóki nie dostanie jeść. Poza tym bardzo chce mi się pić.



Po dziewiątej wieczorem usłyszeliśmy, że do domu wraca Victor. Mówił coś głośno, pewnie rozmawiał przez komórkę. Zamknął drzwi mieszkania, ale nadal słyszeliśmy jego głos.

- Lepiej już pójde — powiedziała Kate, zapinając suknię.
- Dlaczego? Przecież nie musisz. To morderca i sadysta. Może nie zabił tych wszystkich ludzi własnymi rękami, ale na jedno wychodzi.
- Gideonie, nie boję się ani Victora, ani Jacka Friendly'ego. Po prostu wzbudziliśmy już dość podejrzeń. Poza tym musisz odpocząć.

Odprowadziłem ją do drzwi.

- Jutro zacznę szukać dowodów — oświadczyłem. — Im szybciej uda nam się wsadzić Victora i Jacka do pierdła, tym lepiej.

Kate podniosła Małkin i przytuliła ją, po czym cmoknęła mnie w ucho i wyszeptała:

- Uważaj na siebie, dobrze?
- Kiedy się znowu zobaczymy? — zapytałem.

Spojrzała na mnie swoimi szarymi jak deszcz oczami i uśmiechnęła się tajemniczo, a potem zniknęła piętro niżej, ja zaś zostałem sam na podeście.

- Kate? — zawołałem, lecz nie odpowiedziała. Nasłuchiwałem, czekając, aż otworzy drzwi do swojego mieszkania, lecz w tej samej chwili Victor włączył stereo na pełen regulator, a potem ryknęła piosenka Tony'ego Bennetta *You'd Be So Nice To Come To*.

No dalej, pofolguj sobie, pomyślałem. Jeszcze doczekasz się kącika trzy na dwa i pół metra na północy stanu, sadystyczny morderco. A wtedy Kate będzie wracała nie do ciebie, lecz do mnie.



Musiałem odsłuchać ponad trzydzieści wiadomości na poczcie głosowej — większość z nich była od mojej agentki, Hazel McCall. Chciała wiedzieć, czy skończyłem już ścieżkę muzyczną do kolejnego odcinka *Billy Wagner Show*: „Gideonie, gdzie jesteś, do cholery? Freddie Sansom dostaje pierdolca”.

Oddzwoniłem do niej i zapewniłem ją, że już kończę. Kiedy uporałem się z innymi wiadomościami, zacząłem bawić się w detektywa. W ciągu kolejnych czterech i pół godziny obdzwoniłem biura nieruchomości i prawników na całym Manhattanie, próbując znaleźć kogoś, kto robił interesy z Penumbra International Property.

Na pierwszy trop wpadłem u Mimi Liebowitz, pośredniczki wynajmu drogich mieszkań z Murray Hill. Jej sekretarka powiedziała mi, że w poprzednim wydaniu miesięcznika „Prestige Homes” widziała reklamę nieruchomości Penumbry. Obiecałem jej lunch, więc przesłała mi ją faksem. Jedno z mieszkań przedstawionych w reklamie znajdowało się w Genewie, a następne w Rzymie. Był tam również wenecki Palazzetto Di Nerezza.

Zadzwoiłem do redakcji „Prestige Homes”. Ich kierownik do spraw reklamy okazał się bardzo uczynny. Poinformował mnie, że reklamę zamówiła agencja pośrednicząca w reklamach, Nussbaum Media. Ci z kolei powiedzieli mi jedynie, że zlecenie otrzymali od niejakiej Edie Johnson. Za reklamę zapłaciła z konta osobistego.

Na koniec zadzwoniłem pod numer zamieszczony w reklamie Penumbry. Niemal natychmiast usłyszałem w słuchawce głos młodej kobiety:

- Penumbra International Property, w czym mogę pomóc?
- Znalazłem państwa reklamę w „Prestige Homes”, a ponieważ zamierzam przeprowadzić się do Wenecji, chciałbym się dowiedzieć, czy Palazzetto Di Nerezza nadal jest do wynajęcia.
- Czy mogę spytać pana o nazwisko?

- Coleman, Franklin Coleman — skłamałem, podając nazwisko panińskie mojej matki. — Słyszała pani o Domu Aukcyjnym Sztuk Pięknych Colemana? Takie mieszkanie jak Palazzetto Di Nerezza bardzo by mi odpowiadało.

- Proszę chwilę poczekać, sprawdzę obecny stan tej nieru-chomości.

Czekałem przez kilka sekund, słuchając jakiegoś utworu smyczkowego. W końcu kobieta odezwała się ponownie:

- Bardzo mi przykro, panie Coleman, Palazzetto Di Nerezza został wynajęty jakiś tydzień temu, jednak za kilka dni będziemy mieli w ofercie równie wspaniałą nieruchomość: Palazzetto Grimani. Wyślę panu opis tej posiadłości, gdy tylko otrzymamy go od naszych agentów w Wenecji.

- Przyznaję, że jestem bardzo rozczarowany — oświadczyłem. — Obejrzałem zdjęcia i powiedziałem żonie: „Właśnie o takim mieszkaniu marzyłem. Ma klasę i świadczy o zamożności właścicieli”. Może mógłbym jakoś przekonać najemców, żeby poszukali sobie czegoś innego? Może udałoby się pani zainteresować ich tym Palazzetto Grimani?

- Przykro mi, panie Coleman, ale to niemożliwe.

- Czy mogę porozmawiać z pani szefem?

- Naprawdę mi przykro, panie Coleman, to w niczym nie pomoże. Nowi najemcy już tam mieszkają.

- Mimo wszystko chcę porozmawiać z pani szefem. To pan Victor Solway, zgadza się?

- Słucham?

- Victor Solway. Chcę rozmawiać z panem Victorem Solwayem.

Miałem wrażenie, że kobieta wstrzymała oddech. Po chwili zapytała:

- Czy może pan chwilę poczekać?

Znów musiałem słuchać nagranej melodyjki. Po paru minutach kobieta wróciła.

- Halo, proszę pana? Obawiam się, że żadna osoba o takim nazwisku nie jest związana z Penumbra International Property. Dyrektorem firmy jest pan Lowenstein, ale w tej chwili nie ma go w biurze.

- Niech pani da spokój. Victor Solway musi być związany z Penumbra International Property, bo jest jej właścicielem.

- Proszę pana, nikt o takim nazwisku nie jest związany z Penumbra International Property. Jeżeli mógłby mi pan podać swój numer, poproszę pana Lowensteina, aby oddzwonił do pana.

- Nie chcę, by pan Lowenstein do mnie oddzwaniał. Chcę rozmawiać z głową, a nie z ręką. Proszę połączyć mnie z Victorem Solwayem. Niech pani mu powie, że wiem wszystko o jego międzynarodowym handlu nieruchomościami oraz o tym, jak prowadzi interesy. I niech pani mu jeszcze przekaze, że jeśli ze mną nie porozmawia, gorzko tego pożałuje.

Kobieta natychmiast rozłączyła się bez słowa. Potwierdziło to moje podejrzenia, że Victor Solway jest właścicielem Penumbry. Nie przerwałaby rozmowy, gdyby nigdy o nim nie słyszała. Mógłbym się założyć, że Victor stał nad nią i przejechał Jej palcem po gardle.



Dochodziła północ. Siedziałem nad syntezatorem i kończyłem muzykę do kolejnego odcinka *Billy Wagner Show*. Chciałem dodać jeszcze szybką fanfarę, towarzyszącą wbiegającemu na scenę artyście musicalowemu.

Gdy zegar zaczął wybijać dwunastą, z dołu dobiegł mnie przeraźliwy rumor, jakby ktoś przewrócił regał z książkami, i zaraz potem usłyszałem łomoty i histeryczne wrzaski.

Deski podłogi wytłumiały dźwięki, jednak rozpoznałem głos Victora. Musiał stać dokładnie pode mną, bo wyraźnie słyszałem, jak ryczy:

- ...ty dziwko! Ty zasrana dziwko! Myślałaś, że nigdy się nie dowiem? Masz mnie za jakiegoś pieprzonego debila czy co?!

Potem usłyszałem kobiecy głos. Nie wiedziałem, czy należał do Kate, ale kobieta płakała.

Victor znów krzyczał, a po chwili usłyszałem kolejny łomot i odgłosy uderzeń. Kobieta wrzasnęła.

Nasłuchiwałem przez chwilę. Poprzednim razem dałem zrobić z siebie idiotę, ale teraz miałem pewność, że łomoty na pewno dochodzą z dołu i że słyszę głos Victora. Dość tego, pomyślałem. Nie obchodzi mnie, że Kate nie chce, abym zmierzył się z Victorem. Jestem jej kochankiem i obronię ją.

Miałem na sobie tylko podkoszulek i bokserki, więc włożyłem stare dżinsy i musztardowy sweter, który dostałem od mamy na ostatnie urodziny. Otworzyłem drzwi i boso zbiegłem na parter, przeskakując po trzy stopnie. Wciąż słyszałem krzyki i wrzaski. Usłyszałem też, że pęka jakieś szkło.

Załomotałem pięścią w drzwi.

- Victor! To ja, Gideon! Co się dzieje? Victor!

W odpowiedzi usłyszałem jeszcze więcej krzyków i łomotów. Victor wykrzykiwał:

- Wiesz, co by ci zrobili, gdybyśmy mieszkali w muzułmańskim kraju? Ukamienowaliby cię, bo tak tam robią! Ukamienowaliby cię, cholera!

Załomotałem jeszcze głośniejszymi, tym razem obiema pięściami.

- Victor! To ja, Gideon! Otwórz drzwi, do jasnej cholery! Zapadła cisza. Czekałem, zastanawiając się, czy powinienem znów zapukać. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Victor w wymiętej żółtej koszuli i purpurowych spodniach. Miał zmierzwione włosy, a wzrok mu pływał, jakby był pijany.

- Gideon — odezwał się. — A to niespodzianka. Czyżbym za bardzo hałasował?

- Można tak powiedzieć — syknąłem z wściekłością. — Chcę widzieć się z Kate.

Zamrugnął oczami, wyraźnie zaskoczony.

- Co chcesz?

- Chcę widzieć się z Kate. Chcę sprawdzić, czy nie zrobiłaś jej krzywdy.

Zatoczył się i złapał za framugę drzwi.

- Że co, kurwa?

- Przecież już ci powiedziałem. Chcę widzieć się z Kate. Jeżeli coś jej zrobiłaś, dzwonię na policję.

- Wiem o tobie wszystko — oświadczył, znowu się zatoczył i pogroził mi palcem. — Rozgryzłem cię, kurwa.

- Nie wiem, co wiesz o mnie, ale ja wiem o tobie o wiele więcej. A teraz chciałbym zobaczyć się z Kate.

- Chcesz zobaczyć się z Kate? Naprawdę chcesz? No to nie możesz.

- Założymy się? Jeżeli zaraz jej tu nie zawołasz, przysięgam, że wejdę siłą.

Pokręcił głową i wyszczerzył się w głupkowskim, pijackim uśmiechu.

- Gideonie, jej tu nie ma. Dlatego nie możesz się z nią zobaczyć.

- Słyszałem ją.

- Nie, nie słyszałaś, bo nie ma tu jej. Monica, chodź tu j powiedz temu bucowi, że Kate tu nie ma. Monica!

W drzwiach pojawiła się ruda. Miała na sobie obcisłą sukienkę z czerwonego ałtasu. Jej jedno ramiączko było oderwane.

- Powiedz mu — powtórzył Victor. — Czy jest tu Kate?

- Nie — odparła Monica i złapała się najbliższego krzesła, by nie upaść.

- Więc gdzie jest? — zapytałem. — Jeśli odeszła od ciebie, wcale jej się nie dziwię.

Pokręcił głową i zachichotał, jakby coś bardzo go rozbawiło.

- Chcesz widzieć się z Kate... A to dopiero.

- No dobra. Skoro jej nie ma, to kiedy wróci?

- Kiedy wróci?

- Właśnie.

Victor nic na to nie odpowiedział, tylko po prostu zamknął mi drzwi przed nosem. Przez jakiś czas stałem w korytarzu, zastanawiając się, czy nie powinienem znów do niego zapukać, ale jeżeli mówił prawdę, nie miałem po co. Mógłbym go tylko jeszcze bardziej rozzłościć. Wiedziałem, co Victor i Jack Friendly potrafią zrobić ludziom, którzy ich irytowali. A także tym, którzy nic im nie zawinili.

Wróciłem do siebie. Otwierając drzwi, w cieniu na piętrze dojrzałem staruszkę w jasnoszarym kitlu. Powiedziałem „Witam” i podniosłem dłoń, lecz chyba mnie nie widział, bo ruszył schodami do mieszkania Pearl.

Wróciłem do syntezatora. Zagrałem kilka razy fanfarę, jednak nie wychodziła mi zbyt dobrze, więc postanowiłem odłożyć ją do rana. Byłem zmęczony ostatnimi tygodniami podróży po Europie. Moje myśli przypominały elementy układanki, którą ktoś upuścił na podłogę: wszystko, w co do tej pory wierzyłem okazało się nieprawdą. Wierzyłem, że czas ma swój porządek, że dni kolejno następują po sobie, a kiedy ludzie umierają, są martwi i nigdy nie wracają.

Położyłem się do łóżka i mocno ubiłem poduszkę, wyobrażając sobie, że to twarz Victora Solwaya. Księżyc znów zaglądał przez okno do mojej sypialni, bezlitośnie przypominając mi o upływie czasu. Kate powiedziała, że zostały tylko trzy dni, więc teraz już tylko dwa — ale do czego? I gdzie ona się podziewała? Skoro nie wróciła do Victora, to gdzie poszła? I z kim? Poczulem, że ogarnia mnie zazdrość. Może ma kogoś jeszcze? Może miała mnóstwo kochanków? Może nabierała nas wszystkich tymi halucynacjami, sztuczkami i

złudzeniami optycznymi? Miałem wrażenie, że każdy, kogo spotykam, nosi maskę jak na weneckim karnawale, a ja wiruję w tanecznym korowodzie, nie znając kroków ani znaczenia tego tańca.



Rankiem było bardzo ciemno i zimno. Victor wyszedł kwadrans po dziewiątej, Monika piętnaście minut po nim. Gdy tylko ujrzałem, że wsiada do taksówki, ostrożnie zszedłem na parter i zapukałem do drzwi. Może Kate była wczoraj w mieszkaniu, ale za bardzo bała się Victora, żeby do mnie wyjść?

Zapukałem ponownie i zawołałem:

- Kate, jesteś tam? Kate?

Odpowiedziała mi cisza.

Już miałem wrócić na górę, gdy na końcu korytarza, przy drzwiach na podwórze, pojawiła się Małkin. Zamiauczała i stanęła na zadnich łapach, drapiąc pazurami w drzwi.

- Chcesz wyjść, kiciu? Ostrzegam, że odmroziś sobie ten swój kosmaty zadek.

Małkin znów zamiauczała, tym razem bardziej niecierpliwie, więc odsunąłem rygle i przekręciłem klucz w zamku.

Na zewnątrz było potwornie zimno. Wiało z północnego zachodu, a niebo miało pomarańczowy odcień — znak, że będzie padał śnieg.

Myślałem, że kotka wybiegnie na podwórze i zrobi swoje, lecz ona zatrzymała się, odwróciła do mnie i ponownie zamiauczała.

- O co chodzi, kiciu? Jezu, idź, zrób, co trzeba, i wracaj. Jest za zimno, żeby się włóczyć.

Jednak Małkin nie ruszyła się z miejsca, tylko wciąż miauczała.

- Czego chcesz? Nie gadasz po angielsku, durny kocie? Dobrze wiem, że potrafisz mówić, jeśli ci się chce.

Małkin odsunęła się nieco i znów znieruchomiała, jakby czekała na mnie.

- A, rozumiem! Mam iść za tobą! Czemu mi od razu tego nie powiedziałaś, do cholery?

Ruszyłem za kotką przez brukowane podwórze. Na gałęziach nagiej jabłoni przycupnęło stadko wróbli, lecz wystrzeliło w powietrze, gdy wyszedłem zza rogu.

Małkin podeszła do okna Victora, tego ze skrzynką na kwiaty, i wskoczyła na parapet. Podrapała w szybę i znowu zamiauczała.

- Co, mam otworzyć ci okno? Pewnie jest zamknięte i zabezpieczone alarmem. Victor pomyśli, że chciałem się włamać do mieszkania i ukraść mu jego podróbki antycznych mebli...

Małkin nie odpuściła i wciąż drapała w okno, jej pazury zgrzytały po szkle. Ciągle miauczała.

Podszedłem bliżej i zajrzałem do środka przez szybę. Okazało się że zamek przy framudze jest niedomknięty. Gdybym poruszał nim trochę, pewnie udałoby mi się otworzyć okno. Spojrzałem na Małkin i powiedziałem:

- Ty wcale nie chcesz, żebym otworzył je dla ciebie, prawda? Mam je otworzyć dla siebie.

Pomyślałem, że może Kate faktycznie jest w środku. Może siedzi związana i zakneblowana, i wysłała do mnie Małkin, żebym ją uwolnił. Ale po co Victor miałby ją wiązać? Poza tym żaden kot, nawet Małkin, nie jest na tyle mądry, by kogoś odnaleźć i gdzieś zaprowadzić.

Mimo to chwyciłem skrzydło okna od spodu i szepnąłem. Mosiężny zatrask zaczął się powoli wysuwać. Po kilkunastu szarpnięciach wyskoczył i mogłem już podnieść okno. Zobaczyłem styk alarmu, ale nie zadziałał. Najwyraźniej Monica zapomniała go włączyć.

Ciekawe, czy Małkin o tym wiedziała, a jeżeli tak, to skąd? Rozejrzałem się po podwórku, potem zlustrowałem okoliczne okna, by się upewnić, czy nikt mnie nie obserwuje. Wlazłem na skrzynkę do kwiatów i wczołgałem się na parapet. Straciłem równowagę i runąłem do środka, wykręcając sobie kostkę, ale szybko pozbierałem się z dywanu. Małkin wskoczyła za mną.

Zamknąłem okno na zatrask. W mieszkaniu było bardzo ciepło i cicho, słychać było tylko słaby pomruk ruchu ulicznego z zewnątrz i tykanie reprodukcji antycznego zegara szafkowego.

- No dobra, Małkin, gdzie jest twoja pani? Pokaż mi, gdzie ona jest — powiedziałem.

Przeszukałem wszystkie pokoje, zajrzałem do każdej szafy i za każdą zasłonę. Zajrzałem również pod łóżko Victora i gości, zahaczyłem nawet o łazienkę i sprawdziłem kabinę prysznicową.

Kate nie było w domu.

Podszedłem do pseudoantycznego biurka Victora i przeszukałem je. W dolnej szufladzie po prawej znalazłem pudełko z papeterią, opatrzoną nagłówkiem: „Penumbra International property, 200 Madison Avenue”. Niestety, nie było na niej nazwiska Victora, więc nie mogłbym udowodnić, że jest właścicielem Penumbry. Sam miałem ryzę papieru firmowego z hotelu Sunset Marquis w Hollywood, co wcale nie oznaczało, że jestem jego właścicielem.

Poddałem się. Nie wiedziałem, dlaczego Małkin chciała, żebym włamał się do mieszkania Victora. Nie znalazłem w nim żadnych dowodów na to, że Kate była maltretowana lub bita, ani niczego, co wskazywałoby na jakikolwiek związek Victora z Penumbra.

Po raz ostatni rozejrzałem się po mieszkaniu i znów zauważyłem, że na ścianach wisiały dziesiątki zdjęć Victora. Za to nie było na nich żadnych fotografii Kate. Brakowało też jakichkolwiek kobiecych akcentów: nie było świeżych kwiatów, mis z pachnącym potpourri czy koronkowych obrusików na stolikach. W całym mieszkaniu znalazłem zaledwie kilka bibelotów, paskudnych posążków pitbuli.

Być może Victor mówił prawdę i Kate rzeczywiście tu nie było.

Wróciłem do sypialni gospodarza. Małkin podążała tuż za mną. Znow przejrzałem wszystkie szafy. Znalazłem koszule, spodnie, męskie swetry i piżamy, ale żadnych kobiecych ubrań. Zajrzałem do szuflad w gabinecie — były tam tylko bokserki od Calvina Kleina i skarpety — żadnych kobiecych majtek czy biustonoszy.

Wyglądało na to, że Kate już tu nie mieszka. Monica, dziewczyna Victora, chyba też nie. Kate powiedziała, że nie może od niego odejść, choćby bardzo tego chciała. Trzymał ją przy sobie w jakiś bardzo skuteczny sposób. Ile razy już mi to mówiła? Wiedziałem jednak, że z jakiegoś powodu mnie okłamywała.

Wyszedłem z mieszkania przez drzwi i zatrasnąłem je równie głośno jak Monica. W tej samej chwili usłyszałem kroki na schodach wejściowych, po czym frontowe drzwi nagle się otworzyły. Do środka wszedł Jack Friendly w ciemnych okularach i długim czarnym płaszczu.

Obrzucił mnie spojrzeniem, a potem przeniósł je na drzwi mieszkania Victora i zdjął okulary.

- Jest Victor? — zapytał.

Jego oczy wciąż krążyły między mną i drzwiami.

- Nie, nie ma go. Chyba nie. Właśnie do niego pukałem i nikt nie otworzył.

- Nie masz mi za złe tego, co stało się w Wenecji? — zapytał.

Miał pojednawczą minę, ale jego oczy wciąż były rozbiegane.

Ostrożnie dotknąłem grzbietu nosa.

- Szczerze mówiąc, zareagowałeś wtedy trochę zbyt nerwowo.

- Płacą mi za nerwowe reakcje — odparł. — Taka praca.

- No dobrze, ale wolałbym, żebyś następnym razem zostawił mój nos w spokoju.

Jack znow spojrzał na drzwi.

- Chyba nie byłeś w środku?
- W środku? A w jaki sposób bym tam wszedł?
- Nie wiem, ale przysięgłbym, że drzwi Victora trzasnęły, gdy wchodziłem do domu.

Pokręciłem głową.

- Nie. Zszedłem na dół, by go przeprosić za wczorajszy wieczór. Robił raban i przyszedłem ze skargą. Ale przecież każdy ma prawo poimprezować, no nie?

Nie spuszczać ze mnie oka. Jack wyjął klucz i włożył go do zamka w drzwiach mieszkania Victora.

- Chodź, koteczku — powiedziałem do Małkin - Mam dla ciebie puszkę sardeli.

Jack znieruchomiał.

- Mówiłem do kota — wyjaśniłem i spojrzałem na podłogę. Małkin gdzieś zniknęła. Zauważyłem, że Jackowi zaczyna chodzić szczęka. — Ale chyba musiał gdzieś zwiać...

Jack wszedł do mieszkania i rąbnął za sobą drzwiami.

ROZDZIAŁ 27

Minęło popołudnie i zaczął padać śnieg, z początku słabo, później coraz mocniej. Skończyłem oprawę muzyczną do *Billy Wagner Show* i popracowałem nad kilkoma pomysłami na muzykę do pepsa light. Zrobiło się tak ciemno, że ledwo widziałem klawisze.

Zagrałem coś, co miało być lekką, żywą melodyjką skłaniającą słuchacza do wypicia niskokalorycznej pepsa, lecz moje palce nieoczekiwanie zaczęły wygrywać Drzewo drogowskaz. Grałem, podśpiewując pod nosem, i nagle ogarnął mnie ogromny smutek z powodu Elsy i Felicii oraz innych rodzin, które zniszczyli Jack i Victor. Musiałem znaleźć dowody i doprowadzić do ukarania sprawców, w przeciwnym razie ofiary nigdy nie zaznają spokoju.

- „Nie wiem, jak to się stało, błędzić nie zamierzałem, lecz kiedy szedłem przez las, od drogi wciąż się oddalałem...”

Kate nadal nie dawała znaku życia. Tęskniłem za nią, ale jednocześnie bardzo chciałem się dowiedzieć, dlaczego w mieszkaniu Victora nie było jej ubrań. Jeżeli naprawdę mnie okłamywała, musiałem znać powód. Jeśli miałem zadrzeć z ludźmi pokroju Victora i Jacka, musiałem być pewny, że nikt nie robi ze mnie kozła ofiarnego. Z każdą chwilą cała sprawa robiła się coraz bardziej nieprzyjemna, skomplikowana i niebezpieczna.

Margot zadzwoniła do mnie kwadrans po osiemnastej.

- Czemu nie przyszedłeś? — zapytała z wyrzutem.
- Gdzie nie przyszedłem?
- Do Down the Hatch. Czekam na ciebie od dwudziestu pięciu minut.
- Nie wiedziałem, że mamy się tam spotkać. Kiedy się umawialiśmy?
- Wysłałeś mi esemesa koło czternastej.
- Ja? Chyba nie. Pracowałem przez cały dzień.
- W każdym razie ktoś przysłał mi esemesa i podpisał się „Lalo”.

- To na pewno nie ja, moja droga. Ale możemy się tam spotkać, jeśli chcesz. Chętnie napiłbym się czegoś i zjadł talerz atomowych skrzydełek.

- Dobra, zaczekam na ciebie jeszcze dziesięć minut, ale potem wychodzę. Już pięciu facetów mnie zaczepiło, bo myśleli, że jestem dziwką.

- Byłabyś świetną dziwką.

Założyłem buty i płaszcz, okręciłem szyję szalikiem. Przez okno salonu widziałem, że śnieg rozpadał się na całego. Kiedy wkładałem rękawiczki, rozległo się szybkie pukanie do drzwi. Dzięki Bogu, to pewnie Kate, pomyślałem.

Otworzyłem drzwi, jednak zamiast Kate stał za nimi Victor. Miał zaczesane do tyłu włosy, ubrany był w brązowy garnitur w białe prążki, a na szyi miał brązowy krawat w zygzakowate wzorki. Pachniał Aqua di Selva.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Mogę wejść? — zapytał.

Odniosłem wrażenie, że to nie było pytanie.

- Właśnie wychodziłem, ale proszę bardzo.

Wszedł do salonu w butach z lśniącej brązowej skóry, które głośno skrzypiały. Rozejrzał się i pociągnął nosem.

- Ładnie się urządziłeś — stwierdził. Zbyt minimalistycznie jak na mój gust, ale ładnie. W każdym razie lepiej niż pan Benjamin. No i nie pachnie tu już starymi ludźmi. Nie cierpię tego zapachu. Starzy ludzie śmierdzą jak trupy.

Podniósł figurkę bożka Pana i po chwili odstawił ją na miejsce.

- Czego chcesz? — zapytałem.

Spojrzał na mnie z ukosa i uśmiechnął się drapieżnie.

- Mógłbym zapytać cię o to samo, Gideonie. Dlaczego udawałeś Franklina Colemana i wypytywałeś o Palazzetto Di Nerezza? Czemu śledziłeś Jacka w Wenecji? I czego szukałeś w moim mieszkaniu?

- Ja, ee...

- Co, może zaprzeczysz? Włamałeś się dziś do mojego mieszkania i grzebałeś w moich rzeczach przez dobre dziesięć minut. Mam w domu kamery, włączają się pod wpływem ruchu. Zwykle służą mi do rozrywki, ale czasem nagrają coś o wiele ciekawszego od głupiej barmanki robiącej mi laskę. Na przykład ciebie grzebiącego w moim biurku.

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie potrafiłem wymyślić żadnego wiarygodnego kłamstwa. Victor podszedł do mnie i spojrzał mi prosto w oczy. Trząśnięcie ze złości, choć jego głos był opanowany.

- Gideonie, jeżeli zamierzasz wtykać nos w sprawy innych osób, musisz być od nich sprytniejszy, rozumiesz? Na przykład nie powinieneś dzwonić do Penumbry z własnej komórki, której numer można namierzyć. Jednak przede wszystkim nie powinieneś włamywać się do mnie i ryc w moim pierdzielonym biurku.

- Bardzo przepraszam — wymamrotałem. — Przysięgam, że niczego nie wzięłem.

- Niczego nie wzięłeś? Znakomicie, ale powiem ci, co tym myślę, Gideonie. Prawdopodobnie usłyszałeś o mnie i Jacku Friendlym coś, co nie powinno cię interesować. Nawet nic będę udawał, że wiem, co to było i skąd się o tym dowiedziałeś. Może po prostu masz bardzo dobry słuch i słyszysz to, czego nie powinieneś słyszeć. Ale chciałeś dowiedzieć się czegoś więcej, prawda?

Milczałem. Nie zamierzałem mówić mu o Kate ani o tym, że to właśnie ona namówiła mnie na podróż do Sztokholmu, Londynu i Wenecji, zwłaszcza że chyba już z nim nie mieszkała. Nie miałem zielonego pojęcia, gdzie się podziewa ani jak się z nią skontaktować. Victor wbił mi palec w pierś. Nie cierpię czegoś takiego, ale przecież nie mogłem udawać, że nie przeszukiwałem jego mieszkania, nie

dzwoniłem do firmy ani że nie zetknąłem się z Jackiem Friendlym w Wenecji.

- Jeżeli ci się wydaje, że coś wiesz, to teraz już o tym nie wiesz. Rozumiesz?

- O wszystkim zapomniałem...

- Myślisz, że ci uwierzę? Nie ufam ci ani trochę, kurwa. Ty coś kombinujesz. Nie wiem co, ale masz z tym skończyć.

Uniosłem obie ręce, jakby wbijał mi w pierś lufę pistoletu, a nie palec.

- Już skończyłem. Przysięgam, to koniec i kropka. Uśmiechnął się krzywo.

- Mam ci uwierzyć na słowo? Chyba nie. Dlatego zrobimy po pierwsze, będziesz trzymał się z dala od moich spraw, a po drugie, oddasz mi swoje mieszkanie.

Zmarszczyłem brwi.

- Słucham?

- Dobrze słyszałeś. Przekażesz mi akt własności mieszkania za symboliczną kwotę, na przykład pięćdziesięciu dolarów. Pozwolę ci tu mieszkać tak długo, jak długo będziesz trzymał gębę na kłódkę, ale jeśli tylko usłyszę, że dalej interesujesz się moimi sprawami, wywalę cię stąd.

- Chyba zwariowałeś — oświadczyłem. — Nie oddam ci mieszkania, a już na pewno nie za pięćdziesiąt dolarów! Wiesz, ile ono kosztowało?

- Pewnie, że wiem. Dlatego sędzę, że trafiła mi się świetna okazja.

- Mowy nie ma, Victor. Nie, i już. Zadzwoń na policję.

- Nigdzie nie zadzwonisz, Gideonie.

- Tak? Spróbuj mnie powstrzymać. Co, każesz Jackowi Friendly'emu przywiązać mnie do materaca i wrzucić do East River albo podpalić na własnym podwórku?

Victor zakrył sobie oczy, jakby go rozbolały, a potem przesunął dłoń na usta, jakby nie wiedział, co powiedzieć. W końcu wyjął komórkę i kciukiem wybrał jakiś numer. Połączył się z kimś i słuchał go przez chwilę.

- Daj ją do telefonu — polecił i podał mi komórkę. — Zapytaj, jak ona się czuje — powiedział, uśmiechając się złośliwie.

Boże, pomyślałem, to na pewno Kate. Jednak w słuchawce usłyszałem męski głos:

- Pogadaj z nim i powiedz mu, że jeszcze nie wyrwaliśmy ci paznokci. No już!

- Kate? — odezwałem się.

W słuchawce usłyszałem spanikowany kobiecy głos:

- Lalo, Lalo, to ja! Porwali mnie, gdy byłam w toalecie!

- Margot?!

- Czekałam na ciebie i poszłam do toalety, a tam byli jacyś dwaj faceci i porwali mnie! Lalo, błagam, pomóż mi, nie wiem, dokąd mnie zabierają!

- Gdzie teraz jesteś?

- W samochodzie, zabierają mnie gdzieś, ale nie wiem gdzie! Lalo, błagam, pomóż mi!

Połączenie przerwano.

- Chyba nie myślałeś, że się nie zabezpieczę? — powiedział Victor. — Mówiłem ci, Gideonie, że jeżeli zamierzasz wtykać nos w sprawy innych, musisz być od nich sprytniejszy. A ja jestem bardzo sprytny. Dziwię się, że moja kochana mamuska, niech spoczywa w pokoju, nie nadała mi imienia „Lisek”.

Byłem tak wściekły, że chętnie bym mu przyłożył z całej siły i złamał kręgosłup, żeby nie mógł chodzić. Nie wiem, jakim cudem udało mi się opanować. Chyba jakaś część mojej podświadomości ostrzegła mnie, co mogłoby stać się z Margot, gdybym pobił Victora

albo zadzwonił na policję. Nie wiedziałem, gdzie jest ani kto ją uprowadził. Porywacze mogli ją zabić, zanim by ją odnaleziono. O ile w ogóle by ją odnaleziono.

- No dobrze — odparłem. Wydawało mi się, że to nie ja się odezwałem, lecz ktoś inny. — Co mam zrobić?

Victor położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie musisz niczego robić, Gideonie. Przygotuję papiery, a ty je tylko podpiszesz.

- Niczego nie podpiszę, dopóki nie wypuścicie Margot.

- Będziemy trzymali ją tak długo, jak będzie trzeba. Ale nie idź z tym na policję. Ani dziś, ani jutro. Nigdy. Tę tajemnicę zabierzesz ze sobą do grobu, rozumiemy się?

Spojrzałem na niego. Nigdy nie zetknąłem się z takim złem. Czułem się tak, jakbym wspinał się na bardzo strome wzgórze i nogi nagle odmówiły mi posłuszeństwa.

- Co pomyślałaby sobie teraz o tobie twoja ukochana mamuśka Victorze?— zapytałem z obrzydzeniem.

- Moja ukochana mamuśka była głupią grubą krową odparł Victor. — Nauczyła mnie tylko jednego: chciwości. Bierz, co chcesz i ile chcesz, i nigdy nie miej wyrzutów sumienia.

Odetchnąłem głęboko.

- Jeżeli skrzywdzisz Margot, zabiję cię. Nie obchodzi mnie, co się stanie ze mną później, nie obchodzi mnie, czy skazą mnie na śmierć. Przysięgam na Boga, że cię zabiję.

Roześmiał się szczekliwie i znów chwycił mnie za ramię.

- Nie zabijesz mnie, Gideonie. Trzeba być bardzo samolubnym. żeby umieć zabijać, a ty taki nie jesteś — powiedział, po czym wyszedł z mieszkania.

Mogłem zrobić tylko jedno: zdjąć płaszcz, szalik i rękawiczki, a potem nalać sobie duży kieliszek wina. Victor powiedział, że załatwi

przeniesienie tytułu własności najszybciej jak się da, co i tak miało potrwać kilka dni, i nie zamierzał uwolnić Margot, zanim nie podpiszę umowy.

Podczas tamtego wieczoru kilkakrotnie chwyciłem za komórkę, zamierzając zadzwonić na policję. Wiedziałem, że tak trzeba, ale Margot wciąż nawiedzała moją wyobraźnię: pobita i zakrwawiona, utopiona albo spalona żywcem. Nie mogłem narażać jej życia. Wiedziałem, co Jack Friendly zrobił Westerlundom, Philipsom i Cesarettim, i byłem pewien, że uczyniłby to samo Margot.

Koszmarne wizje, których doświadczyłem w Sztokholmie, Londynie i Wenecji, były wystarczająco przerażające, lecz przynajmniej oderwane od teraźniejszości. Poza tym była wtedy przy mnie Kate, która zapewniała mnie, że wszystko to ma jakieś znaczenie. Tym razem jednak miałem do czynienia z realnym koszmarem i nie mogłem do nikogo zwrócić się o pomoc.

Krótko po dziesiątej ktoś niepewnie zastukał do moich drzwi.

Otworzyłem. Była to Pearl w swoim starym różowym szlafroku. Najwyraźniej przed wizytą u mnie usiłowała upiąć sobie włosy, ale jej fryzura była teraz jeszcze bardziej potargana.

- Mieszkam w tym domu, prawda? — zapytała.

- Tak, Pearl — zapewniłem ją. — Mam cię odprowadzić do twojego mieszkania?

Przyjrzała mi się uważnie.

- Ty jesteś Gideon Lake, pamiętam cię. Zawsze będę pamiętała, bo dobry z ciebie człowiek. Pełen wibracji.

- Tak, Pearl. Poczekaj, wezmę tylko klucze.

Zamknąłem za sobą drzwi, wziąłem Pearl pod ramię i poprowadziłem ją ku schodom, ale po dwóch krokach zatrzymała się i popatrzyła na mnie.

- Czy coś cię trapi? — zapytała. — Widzę, że tak.

- Owszem, Pearl, mam kilka spraw na głowie.

- Nie oszukasz mnie, Gideonie Lake. Coś bardzo cię martwi. Chodźmy na górę, muszę ci coś pokazać. Myślę, że już pora...

- Dobrze, Pearl, jak chcesz.

Weszliśmy po schodach. Pearl zostawiła swoje mieszkanie otwarte. Wszedłem za nią do środka. Pachniało farbą olejną jeszcze mocniej niż ostatnio. Prawdopodobnie był tu niedawno malarz w szarym kitlu i dodał kilka szczegółów do swojego studium.

- Napijesz się czegoś? — zapytała Pearl. — Chyba mam gdzieś whisky. A może rum... Kiedyś przychodził tu taki czarny jegomość i zawsze przynosił mi rum. Podczas kąpieli śpiewał mi piosenkę Paula Robesona, *Old Man River*...

- Nie, dziękuję, nie chcę nic do picia. Co chciałaś mi pokazać?

- Mój obraz rzecz jasna! Jest już prawie skończony.

Okrzyżłem sztalugę, by obejrzeć dzieło. Spodziewałem się jakichś poprawek, ale gdy spojrzałem na obraz, przeszył mnie dreszcz. Pearl była tam nadal, naga i nonszalancka, z papierosem w dłoni, byli też tam Westerlundowie i Philipsowie. Teraz jednak dołączyła do nich rodzina Cesarettich: Enrico i Salvina stali z tyłu, a przy otomanie, po prawej stronie rodziców, stała trójka ich dzieci.

Obraz był prawie skończony, bo wszystkie twarze oddano w najdrobniejszych szczegółach, ale żadna z nich się nie uśmiechała. Wszyscy wyglądali na zrozpaczonych jakby ktoś uwięził ich na płótnie i już nigdy nie mieli się z niego wydostać.

Patrzyłem długo na obraz, po czym odwróciłem się do Pearl, która właśnie zapalała papierosa.

- Co to ma znaczyć? — wykrztusiłem.

Pearl wypuściła długi kłęb dymu i odpowiedziała:

- Tylko mi nie mów, że nadal nic nie rozumiesz. Wiesz, kto ich zabił, prawda? Tylko ty to wiesz. Ale wystarczy, że wie to choćby jedna żywa osoba.

Znów spojrzałem na malowidło.

- Nadal nie rozumiem... Owszem, wiem, kto ich zabił, ale jak mam to udowodnić? Nie mogę pójść na policję, nie mam żadnych dowodów. Poza tym porwali Margot, moją przyjaciółkę. Powiedzieli, że jeżeli zawiadomię policję, zrobią jej krzywdę.

Pearl popatrzyła na mnie.

- Gideonie, ja też ich widzę... Kiedyś, za młodu, byłam piosenkarką. Pewnie nie widzę ich równie wyraźnie jak ty, ale widzę, jak przychodzą i odchodzą, otwierając i zamykając drzwi.

Zamilkła na chwilę i zaciągnęła się papierosem.

- Sęk w tym, że kiedy już umrą, nie mogą oskarżać żyjących o przestępstwa lub inne występki, nawet o tortury lub morderstwo. Zmarli nie mogą nazwać swoich zabójców po imieniu. Niebo nie jest dla ludzi żadnych zemsty. To miejsce przebaczenia i nowego początku.

- Nie wierzę w niebo, Pearl.

Wzruszyła ramionami.

- To nie ma znaczenia. Możesz je sobie nazywać, jak ci się podoba. To świat, do którego wszyscy udajemy się po śmierci.

- Mówisz, że zmarli nie mogą nazwać swoich morderców po imieniu?

- Wiesz, ilu żywych zostałoby wtedy niesłusznie oskarżonych przez zgorzkniałych lub rozgniewanych zmarłych? Śmierć to przejście w inny stan, a wtedy nieważne jest, co się z nami działo w poprzednim życiu.

- Ale przecież ja ich wszystkich widziałem. Rozmawiałem z nimi, nawet dotykałem ich. Pokazali mi, co im się stało, jak ich torturowano i zabito.

Uśmiechnęła się.

- Gideonie, oni ci niczego nie pokazali. Widziałeś i czułeś ich, bo jesteś bardzo wrażliwy. Zobaczyłaby ich każda osoba wystarczająco wyczulona na takie rzeczy. To tak, jakby się słuchało nagrań Elvisa. Nie żyje, ale nadal słyszymy jego śpiew... Albo jakby się oglądało

film z Busterem Keatonem, który też nie żyje, ale wciąż nas rozśmiesza.

- Wiedziałaś o tym od początku, prawda? — zapytałem. — Udajesz wariatkę, lecz wcale nią nie jesteś...

- Sam musiałeś do tego dojść. Nikt nie mógł ci tego powiedzieć.

- Wiedziałaś, że Kate wyśle mnie do Sztokholmu, Wenecji i Londynu, żebym zobaczył tych ludzi? Wiedziałaś też, w jakim celu...

- Próbowałam cię ostrzec, mój drogi. Nie rzuciłam cię na wodę bez koła ratunkowego. Przecież mówiłam, że Kate wykorzystuje cię do własnych celów. Ale ty twierdziłeś, że chodzi o przyjaźń i uczucia. Teraz musisz się dowiedzieć czego od ciebie chciała... musisz to zrobić, nie masz wyboru inaczej nie ocalisz Margot. Ona również w pewnym sensie jest zakładnikiem Kate.

- Nie rozumiem... — jęknąłem. — Nic z tego nie rozumiem.

Delikatnie dotknęła mojego policzka.

- Nie masz wyjścia, mój drogi. Skoro dałeś się wpuścić w te maliny...

- Ale co mam teraz zrobić?

Podeszła do biurka, zawalonego popielniczkami, słojami z nawilżaczem, pędzlami i książkami, i wróciła do mnie ze zdjęciem w zmatowiałej srebrnej ramce.

- To wskaże ci właściwą drogę — oświadczyła, wręczając mi je.

Wyblakła kolorowa fotografia przedstawiała jakąś rodzinę: ojca w okularach na nosie i garniturze z szerokimi klapami, matkę w kwiecistej sukience oraz młodą dziewczynę w podkoszulku, z aparatem ortodontycznym na zębach. Cała trójka stała przed dużym kolonialnym domem, otoczonym kwitnącymi wiśniami.

- To Kate — powiedziałem. — Tę fotografię zrobiono pod domem jej rodziców w Connecticut. Chyba miała wtedy jakieś czternaście lat.

Pearl kiwnęła głową.

- Dała mi to zdjęcie, żebym ci je pokazała, gdy nadejdzie właściwy moment.
- Co chcesz mi przez to powiedzieć? Że wróciła do domu rodziców?
- W pewnym sensie.
- Ale przecież jej rodzice nie żyją, w każdym razie tak mi powiedziała.
- A czy to ma jakieś znaczenie?
- Pearl, na litość boską! Teraz ty mówisz zagadkami, tak samo jak Kate!
- Nie, Gideonie. Nie zagadkami, ale wskazówkami — odparła Pearl. — Ci, którzy udzielają prostych odpowiedzi, zwykle nie mówią prawdy. Albo mówią niecałą prawdę. Natomiast ludzie, którzy dają wskazówki... pozwalają ci samodzielnie podejmować decyzje, prawda?

Spojrzałem na tył fotografii. Ktoś napisał na niej „Stara stacja pocztowa, Brinsmade Lane, Sherman, maj 1992”.

- Czy to znaczy, że powinienem tam pojechać? — zapytałem.
- To już zależy od ciebie — odparła Pearl, odwracając wzrok.

Cholera. Nadal nie wiedziałem, co mam robić. Moja sąsiadka była dziecinnością starą kobietą i mogła opowiadać brednie. Jednak obraz na sztalugach dowodził, że to, co mówiła, musi mieć jakiś sens. Westerlundowie, Philipsowie i Cesaretti patrzyli na mnie z płótna, jakby błagali o pomoc.

- Jeszcze jedno... — powiedziałem, zanim wyszedłem z mieszkania Pearl. — Dwa dni temu Kate oświadczyła, że zostały już tylko trzy dni, ale nie wyjaśniła, o co chodzi.

Pearl zrobiła zdziwioną minę.

- Pewnie chodziło jej o to, że czas ucieka — odparła. — Bo przecież ma taki paskudny nawyk, prawda? Ucieka i ucieka, choćbyś nie wiadomo, ile razy odwracał klepsydrę.



Podjechałem taksówką do Starlite Records i wyciągnąłem mojego kumpla Henry'ego Brickmana ze spotkania z jakąś kapelą country-rockową, która przypominała kruki z Dumbo.

- Stary, muszę pożyczyć twój wóz - powiedziałem. - Sprawa jest poważna, inaczej bym cię o to nie prosił.

Harry spojrzał na mnie zza błękitnych szkieł swoich okularów.

- Ten wóz jest nowiuteńki, Gideonie. Odebrałem go w zeszłym tygodniu.

- Obiecuję, że będę obchodził się z nim jak ze swoim.

- I to mnie martwi. Pamiętam tego pontiaca GTO, którym się rozbijałeś. Wyglądał jak koszmar blacharza.

Mimo to wręczył mi kluczyki i wkrótce opuściłem piętrowy parking w nowiutkim szarym malibu i ruszyłem Park Avenue. Niebo miało taki sam odcień jak lakier wozu i znów zaczął padać śnieg. Zastanawiałem się, czy mądrze robię, jadąc do Sherman, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Jeżeli Pearl miała rację, iż Kate podsuwała mi wskazówki, być może to rodzinne zdjęcie było odpowiedzią na wszystkie moje pytania.

Włączyłem radio w połowie reklam. Właśnie leciała muzyka do mrożonych placków „Mother Kretchmer's”, ta sama, którą wykorzystałem do piosenki Drzewo drogowskaz. Był to dziwny zbieg okoliczności, lecz umocnił mnie w przekonaniu, iż podjąłem właściwą decyzję.

- „Drzewo drogowskaz kierunek ci wskaże i leśnym traktem poprowadzi cię, a twoi bliscy zapłaczą z radości, kiedy znów zobaczą cię...”

Śnieg padał coraz mocniej i mimo że wycieraczki wciąż pracowały, coraz gorzej widziałem drogę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zacząłem się modlić, prosząc Boga, by mnie chronił.

- Boże... — zacząłem — ...weź mnie pod swoją opiekę.

ROZDZIAŁ 28

Było już ciemno, gdy znalazłem się na północnym brzegu jeziora Candlewood. Widziałem tylko wirujący śnieg. Dotarłem do Sherman i jadąc przez miasteczko, zobaczyłem niewielkie zaśnieżone podium dla orkiestry. Starsza pani w jaskrawożółtej parce, której pies czekał niecierpliwie, pokazała mi, jak dojechać do Brinsmade Lane.

Przez prawie dwadzieścia minut jeździłem tam i z powrotem drogą, usiłując odnaleźć dom rodziców Kate. Większość domów stojących przy Brinsmade Lane była ukryta za drzewami, a prawie każdy podjazd zamykała brama, więc nie mogłem podjechać na tyle blisko, by sprawdzić, jak wyglądają.

Już miałem się poddać, gdy Bóg wysłuchał moich modlitw. Szosą nadjechał biały cadillac CTS i skręcił w drogę dojazdową kilkanaście metrów przede mną. Kiedy skręcał, ujrzałem w światłach twarz kierowcy. Nie miałem wątpliwości, że to Victor.

Serce zaczęło walić mi jak młot. Przejechałem jeszcze jakieś osiemset metrów, po czym zawróciłem. Wyłączyłem światła, Podjechałem do dojazdu i zaparkowałem pod gałęziami warzyńca. Miałem nadzieję, że nie podrapałem lakieru.

Wsiadłem i ruszyłem dojazdem. Pokrywający go żwir zamarznął i trzeszczał pod nogami. Wkrótce zza drzew wyłonił się dom, ten sam, co na fotografii, którą dostałem od Pearl- miał takie same wysokie kominy i mansardy i rosły przy nim drzewka wiśni, choć o tej porze roku były bezlistne. Pod garażem stały dwa samochody: cadillac Victora i czarny ford explorer.

Nie miałem zielonego pojęcia, co Yictor tu robi. Kate powiedziała mi, że jej rodzice nie żyją, ale nie wspomniała, czy odziedziczyła ich dom. Może również tu była? Nie kontaktowała się ze mną od dwóch dni. Możliwe, że zamieszkała w Sherman, co tłumaczyłoby, dlaczego nie było jej rzeczy w mieszkaniu przy St Luke's Place. Ale trudno mi było uwierzyć, że nie miała tam choćby swetra lub bielizny na zmianę.

W salonie i na korytarzu domu paliły się światła. Przeciąłem trawnik, na którym przed laty zrobiono zdjęcie Kate i jej rodzicom, stanąłem na ośnieżonym klombie i zajrzałem przez okno do salonu.

Był urządzony w kolonialnym stylu, stały w nim krzesła i stoły z ciemnego dębu, a w oknach wisiały perkalowe zasłony. W ścianie po lewej znajdował się wielki kamienny komin. Był teraz wygaszony i pełen zimnego popiołu. Nad nim wisiał dziewiętnastowieczny obraz, przedstawiający kobietę w czepku. Miała ściągnięte w pełnym dezaprobaty grymasie usta.

Przez chwilę nasłuchiwałem. Byłem pewien, że z domu dobiega cicha muzyka. Po paru sekundach rozpoznałem melodię *Un bel di, vedremo* z *Madame Butterfly* Pucciniego. Była to aria mówiąca o śnie, w którym Butterfly widzi na horyzoncie dym z kominów statku Pinkertona i czeka cierpliwie, aż jej ukochany wejdzie na szczyt wzgórza nad zatoką i weźmie ją w ramiona. Oczywiście sukinkot wcale tak nie robi i na tym polega cały tragizm arii.

Un bel di, vedremo była ulubioną arią Margot. Słuchała jej bez przerwy i nawet próbowała ją śpiewać, lecz miała za niski głos. Przecież Victor nie puszczałby jej, gdyby Margot nie było w środku, prawda?

Przemknąłem wokół domu, kuląc się pod ścianą, aż dotarłem do kuchennego okna na tyłach. W kuchni panowały ciemności, lecz jej drzwi były uchylone, więc mogłem widzieć kawałek korytarza. Tuż obok drzwi frontowych wisiało lustro. Przez sekundę widziałem w nim Victora, gdy przechodził z pokoju do pokoju. W pierwszej chwili myślałem, że mnie zauważył, ale było to tylko złudzenie.

Wszedłem po schodkach i przekręciłem klamkę tylnych drzwi. Były zamknięte. Pomyślałem, że może uda mi się dostać do piwnicy albo otworzyć jakieś okno. Okrążyłem dom najciszej, jak mogłem. Po drodze przewróciłem stertę wypełnionych śniegiem donic. Znieruchomiałem na moment, myśląc, że Victor na pewno to usłyszał, lecz madame Butterfly wciąż głośno zawodziła i nikt nie wyszedł z domu, by sprawdzić, co się stało.

Na bocznej ścianie zobaczyłem niewielkie wysokie okienko, które prawdopodobnie oświetlało garderobę albo schody. Pod pobliską jodłą znalazłem stare drewniane krzesło z połamanym oparciem. Postawiłem je przy ścianie pod samym okienkiem.

Potem wziąłem zardzewiały rydel, który ktoś zostawił na ziemi, i wszedłem na krzesło.

Właśnie usiłowałem wsunąć ostrze rydla w szczelinę w ramie okna, gdy tuż za sobą usłyszałem skrzypnięcie śniegu. Odwróciłem się i omal nie spadłem. Przede mną, w czarnym płaszczu, wypuszczając kłęby pary z ust, stał Jack Friendly.

-No. no. Niech mnie, jeśli to nie nasz wścibski koleżka z Wenecji.. Cóż cię tu sprowadza, cwaniaczku?

Zszedłem z krzesła i zastawiłem się rydlem.

- Gdzie jest Margot? — zapytałem wyzywająco.

Jack podszedł bliżej.

- Jest cała i zdrowa, póki co — odparł. — I nic jej się nie stanie... pod warunkiem, że będziesz grzeczny. Co zamierzasz mi zrobić tym rydlem? Przerobić na grządki?

- Zaprowadź mnie do niej. Chcę sprawdzić, czy nie zrobiłaś jej krzywdy.

- Krzywdy? A dlaczego mielibyśmy robić jej krzywdę?

- Z tego samego powodu, dla którego skrzywdziliście Westerlundów, Philipsów, Cesarettich i Bóg wie ile jeszcze rodzin.

- Gideonie, interes to interes. Ktoś wygrywa i ktoś przegrywa, nic na to nie poradzisz.

- Skurwiel z ciebie, Jack.

Wyszczrzył zęby, a jego oczy rozblęły.

- Lubię tak o sobie myśleć.

Zaprowadził mnie do drzwi wejściowych. W połowie drogi cisnąłem rydel w śnieg.

W domu było jasno i bardzo zimno. Zalatywało stęchlizną, jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Madame Butterfly nadal zawodziła — jej głos zdawał się dobiegać gdzieś spod podłogi, na której staliśmy.

Z salonu wyszedł Victor, w płaszczu i czarnych skórzanych rękawiczkach. Mimo opalenizny widać było, że jest blady ze zmęczenia, a pod oczami miał worki. Nie zdziwił się na mój widok.

Pociągnął nosem i wytarł go palcem.

- Przemyślałeś moją propozycję, Gideonie? — zapytał.
- Bardziej interesuje mnie Margot. Jest tutaj? Nie skrzywdziliście jej?
- Jest tu i nie, przyjacielu, ale nie skrzywdziliśmy jej. Nie zamierzamy skrzywdzić ani jej, ani ciebie, pod warunkiem jednak, że będziecie współpracowali.
- Chcę się z nią zobaczyć.
- Jasne, nie ma sprawy. Chodź.

Ruszył korytarzem, skręcił w lewo, do kuchni, i otworzył drzwi po prawej. Madame Butterfly śpiewała tak głośno, że ledwo go słyszałem.

- Powiedziała mi, że lubi ten kawałek — oświadczył.

Zszedłem za nim po schodach do ogromnej piwnicy. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się stojaki na wino, wzdłuż drugiej — pudła z książkami, ozdobami choinkowymi i różnymi starociami. Margot leżała na wygniecionej czerwonej kanapie po drugiej stronie piwnicy. Miała oczy zawiązane kraciastym szalikiem, a nadgarstki i kostki spętane sznurem. Na podłodze tuż przy kanapie stał odtwarzacz CD.

Victor pochylił się i wyłączył muzykę. Margot natychmiast wrzasnęła:

- Wypuście mnie, śmierdziele! Nie możecie mnie tu trzymać! Puście mnie!

- Spokojnie — powiedział Victor. — Przyprowadziłem tu twojego przyjaciela, żeby sprawdził, czy nic ci nie jest.

- Co? Wypuść mnie! Pójdiesz za to do więzienia! Puść mnie!

Podszedłem do kanapy, przyklęknąłem i chwyciłem ją za dłonie.

- Margot, to ja.

- Gideon? Bogu niech będą dzięki! Zabierz mnie stąd, bo zaraz oszaleję!

- Już dobrze, kochanie. Chcieli, żebym im obiecał, że nic nie powiem o Penumbrze, i zgodziłem się milczeć.

- Błagam, Gideonie, zabierz mnie stąd! Bez przerwy grają mi tę muzykę! Puścili ją już chyba ze sto razy!

Jack uśmiechnął się i zaczął strzelać wszystkimi kłękami po kolei.

- To moja specjalność — oświadczył. — Lubię dawać ludziom to, co im się najbardziej podoba...

- Rozwiąż ją — powiedziałem. — Dałem ci słowo. Nikomu nie powiem, co zrobiłeś, choćbym miał smażyć się razem z tobą w piekle.

- Skąd u ciebie takie wrogie nastawienie do nas? — zapytał Victor.

- Wrogie? Powinni skazać was na śmierć za to, co zrobiliście.

Wzruszył ramionami.

- W Szwecji nie ma kary śmierci. W Anglii i Włoszech też nie. Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Sam powinienem cię zabić.

- Och, nie musimy posuwać się aż tak daleko. Proszę cię jedynie o milczenie w sprawie, której i tak nie możesz udowodnić. No i o to, byś przekazał mi prawo własności do mieszkania.

- Co? — zdziwiła się Margot. — Czego on chce od ciebie?

- Chce, żebym oddał mu swoje mieszkanie. Westerlundów, Philipsów i Cesarettich też zmusił do oddania mu ich domów.

- Lalo, nie możesz tego zrobić!

- Nie mam wyboru. Albo mu oddam mieszkanie, albo oboje znikniemy i nikt nas więcej nie zobaczy.

Margot nabrała powietrza w płuca i krzyknęła:

- Pomocy!! Niech nam ktoś pomoże! Pomocy! Zabierzcie nas stąd! Wezwijcie policję! Pomocy!!!

Victor przeczekał jej wrzaski, po czym powiedział:

- Nikt cię tu nie usłyszy, laleczko. Siedzisz w piwnicy domu znajdującego się kilkaset metrów od najbliższej drogi. Tyle samo jest do najbliższego sąsiada, więc nie zdzieraj sobie gardła.

Wstałem z klęczek.

- No dobra, Victor. Obiecałem siedzieć cicho i dostaniesz moje mieszkanie, gdy tylko załatwisz papiery. Możesz ją puścić.

Pokręcił głową.

- Nie jestem głupi, Gideonie. Obiecuję jednak, że wypuszczę ją, gdy tylko twój podpis wyschnie na umowie.

- Myślisz, że ci wierzę? — zapytałem. Starąłem się mówić spokojnie, by go nie rozjuszyć, ale byłem tak bardzo wściekły i przestraszony, że drżał mi głos. — Jesteś mordercą bez sumienia, Victorze. Może to Jack odwalił za ciebie całą brudną robotę, ale na twoich rękach jest tyle samo krwi.

- Ejże... — zaczął pojednawczo Victor. — Nie ma co się tak gorączkować.

W tej samej chwili wszystkie światła w piwnicy zgasły, pograżając nas w nieprzeniknionych ciemnościach.

- Pieprzone bezpieczniki! — zaklął Victor. — Jack, masz zapalniczkę?

Chciałem złapać Margot i rzucić się na schody, ale było tak ciemno, że nawet nie wiedziałem, gdzie dokładnie stoję. Poza tym wątpiłem, czy dobiegniemy do schodów, zanim nas złapią.

- Gideonie, nie ruszaj się! — ostrzegł mnie Victor. Najwyraźniej domyślił się, co zamierzałem zrobić. — Tylko spróbuj coś wywinąć, a przysięgam, że pożałujesz!

Jack zapalił zapalniczkę, lecz tymczasem włączyły się światła. Nie byliśmy już sami w piwnicy.

- Co jest, do cholery? — wymamrotał Victor.

Otaczali nas Westerlundowie, Axel, Tilda, Elsa i Felicia, Philipsowie, David, Helena i ich syn Giles oraz rodzina Cesarettich, Enrico, Salvina, Amalea, Raffaella i mały Massimo.

Byli w odświętnych szarych ubraniach, jak do kościoła. Stali w milczeniu, choć słyszałem ich oddechy. Czasem jedno z dzieci przestąpiło z nogi na nogę lub kaszlnęło. Wpatrywali się oskarżycielsko w Victora i Jacka, choć nikt nie powiedział ani słowa.

- Co to ma być, Gideonie? — zapytał Victor pełnym paniki głosem. — To twoja sprawka? To są hologramy, tak? To hologramy!

Victor zrobił dwa nerwowe kroki w stronę Massimo, który stał najbliżej niego, wyciągnął rękę i dotknął ramienia chłopca.

- Cholera! — krzyknął. — Oni są prawdziwi, kurwa, prawdziwi! Jezu Chryste, Gideonie, coś ty narobił, do cholery!?

Jack był jeszcze bardziej oszołomiony. Złożył ręce jak do modlitwy i wymamrotał pod nosem coś, czego nie rozumiałem.

Victor spojrzał na mnie.

- Zabierz ich stąd! — zażądał. — Słyszysz mnie, Gideonie? Weź ich stąd!

- Nie może — odparł kobiecy głos.

Odwróciłem się w stronę, skąd dochodził, i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Enrico i Salvina Cesaretti rozstąpili się, a

spomiędzy nich wyszła Kate i stanęła przy mnie. Również miała na sobie szarą suknię, lecz jej włosy lśniły i wyglądała bardziej promiennie niż w ciągu ostatnich tygodni.

- To sen... — jęknął Victor. — To nieprawda. To jakiś koszmar! Weź ich stąd, Gideonie, weź ich stąd!!!

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? — zapytała Kate. — On nie może ich zabrać.

Victor miał dziki wzrok, wyglądał, jakby za chwilę miał dostać ataku epilepsji. Jack, nie przerywając modłów, powoli opadł na kolana. Tym razem usłyszałem, jak mamrocze:

- ...odpuść mi moje grzechy, odpuść mi moje grzechy... Boże, daj mi jakiś znak... odpuść mi moje grzechy!

- Skąd się tu wzięłaś? — zapytałem Kate.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- To był dom moich rodziców. Nigdy go nie opuściłam.

- Weź ją stąd! — wrzasnął Victor. Poczułem krople jego śliny na twarzy. — Zabierz ją stąd! Zabierz ich wszystkich!

Kate pokręciła głową.

- Victorze, ludzie, których zabiłeś, nie mogli cię oskarżyć. Po śmierci musieli milczeć. Jednak Gideon może cię oskarżyć. Wie, co ty i Jack zrobiliście. Widział to na własne oczy.

- To koszmar, to tylko koszmar!

- Tak, Victorze. Twój koszmar — odparła Kate. — Ale ten koszmar jest niczym w porównaniu z koszmarem, który zgotowaliście tym niewinnym ludziom. Powiedz, Jack, bawiło cię torturowanie i zabijanie tym, co najbardziej kochali? Dobrze się bawiłeś, topiąc Elbę i Felicię, bo uwielbiały pływać? Albo wciskając Gilesowi do oczu klej modelarski, bo lubił sklejać samoloty? Podpalając Helenę na patio, bo lubiła gotować na dworze? Przyszywając Amaleę do materaca? Jesteś chory, Jack. Nie wystarczyło ci, że zmusiłeś ich, by oddali Victorowi

swoje mieszkania, ale jeszcze musiałeś ich wszystkich zabić. Musiałeś ich zetrzeć z powierzchni ziemi.

Przerwała na chwilę. Dyszała ciężko, lecz wyglądała na szczęśliwą, jakby brała udział w wyścigu i wiedziała, że go wygra.

- Te rodziny nie mogły cię oskarżyć. Ja też nie, ale Gideon może. To wasz koniec, Victorze, twój i Jacka. To wasz koniec!

- Gideon nie ma dowodów! — ryknął Victor. — Co on widział i kiedy? Jego słowo przeciwko naszemu!

- Tak myślisz? — zapytała Kate. — Więc co się stało z ludźmi, którzy tu mieszkali?

- Myślisz, że ci powiem? Oszalałaś chyba!

- Co z nimi zrobiłeś, Victorze? Gdzie się podzieli ludzie, do których należał ten dom?

- Chciałabyś wiedzieć? Przepisali go na mnie, a potem wyjechali Bóg wie gdzie!

- Zamordowałeś ich, Victorze! Gdzie oni są?

Victor obrócił się i wycelował w nią palec.

- Pieprz się! — wrzasnął. — Pieprzcie się wszyscy!

Kate nic na to nie odpowiedziała, tylko uniosła ręce, jakby w geście błogosławieństwa. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co robi, lecz nagle usłyszałem jakiś wysoki dźwięk — niemal na granicy słyszalności. Był coraz głośniejszy, a gdy narastał, stojący w piwnicy ludzie również unieśli ręce, zwrócili się ku Victorowi i Jackowi i zaczęli śpiewać.

Spoglądałem na nich po kolei, na Axela, Tildę, Elbę, Felicię, Davida, Helenę, Gilesa, Enrica, Salvinę, Amaleę, Raffaellę i Massima. Ich oczy błyszczały, a twarze wyrażały tak wielki triumf, że łzy nabiegły mi do oczu. Poznałem ich osobiście, rozmawiałem z nimi, grałem dla nich, ale widziałem również, co przeszli.

Dźwięk był coraz wyższy, aż w końcu stał się taki wysoki, że przestałem go słyszeć, jednak Victor i Jack zatkali sobie uszy. Po chwili Victor zaczął krzyczeć.

- Przestańcie! — zaskomlił. — Przestańcie! Zabijecie mnie!

Kate przerwała śpiew i podeszła do niego.

- Victorze, gdzie są ludzie, którzy tu mieszkali? — zapytała. — Powiedz, gdzie oni są!

Victor padł na kolana obok Jacka.

- Przestańcie! — zawył, rzucając głową na boki. — Zabijesz mnie, ty więdźmo!

- Gdzie są ludzie, którzy tu mieszkali? — powtórzyła Kate.

Victor wskazał palcem podłogę.

- Tu są, do cholery, dokładnie tu! Pod tą pieprzoną podłogą!

Kate odsunęła się od niego.

- No proszę — powiedziała. — Gideon już ma dowody. Koniec z wami!

Podniosła ręce i zamknęła oczy. Miała taki sam wyraz twarzy jak wtedy, gdy kochała się ze mną. Wydała z siebie głos, który rozbrzmiał jak tysiąc kościelnych chórów. Nie skierowała go na mnie, ale mimo to poczułem, że brzęczy mi w głowie. Zamazał mi się wzrok, a moimi wnętrzościami tak mocno targało, jakbym zjeżdżał rowerem po niekończących się schodach.

Pękły porcelanowe naczynia w jakimś pudle, strzeliły dwie żarówki. Victor wrzasnął jeszcze głośniej i zwinął się z bólu, waląc czołem o posadzkę.

- Nic nie widzę! — wrzasnął. — Nic nie widzę, oślepiłem!

Jack nadal zakrywał uszy. Podniósł się na jedno kolano, po czym niepewnie stanął na nogach. Odwrócił się do mnie. Jeszcze nikt nie patrzył na mnie z taką nienawiścią jak on. Zrobił chwiejny krok w moją stronę, niczym zombi, potem drugi.

- Ty chuju... — wysyczał. — Urwę ci łeb, kurwa! Zamachnął się pięścią, lecz odskoczyłem w tył i jego kułak minął mnie o dobrych kilkanaście centymetrów. Jack omal nie upadł. Jednak po chwili znów przysunął się chwiejnie i zamachnął. Odskokczyłem ponownie i znalazłem się pod ścianą.

- Myślałeś, że możesz ze mną pogrywać? — warknął. — Myślałeś, że możesz pogrywać z Jackiem Friendlym?

Wyprowadził następny cios, ale odbiłem go łokciem. Jack zatoczył się na mnie i prawie padliśmy sobie w objęcia. Poczulem zapach jego wody kolońskiej i zalatujący czosnkiem oddech. Kate i inni wciąż śpiewali wysokim głosem, aż zaczęły mnie boleć uszy, a wzrok znów mi się zamazał.

Z całej siły wałęnałem Jacka w brzuch, tuż pod mostkiem. Gdyby mnie ktoś tak przyłożył, padłbym jak zajeżdżony koń, lecz brzuch mojego przeciwnika przypominał wór cementu — ani drgnął.

Jack odwinął się i trafił mnie w obojczyk. Zgiąłem się wpół i stęknąłem, a on znów mi przyłożył, tym razem w policzek.

Zdawało mi się, że Kate mnie woła, ale w tym momencie Jack trafił mnie w usta. Poleciałem do tyłu i wałęnałem głową o ścianę. Przez kilka sekund widziałem wszystko w czerni i bieli, jak na negatywie.

Kiedy się pozbierałem, ujrzałem, że Jack wciąga Victora po schodach na górę. Wspinali się jak pijani, myląc stopnie i kurczowo trzymając się poręczy, by nie spaść z powrotem na dół.

Nikt me rzucił się za nimi w pogoń. Nie przerywając śpiewu, wszystkie rodziny podeszły do schodów i stanęły u ich podnóża. Victor upadł na kolana, lecz Jackowi po chwili znów udało się go postawić na nogi.

Kate podeszła do mnie i delikatnie dotknęła mojej szczęki.

- Gideonie, nic ci nie jest?

- Nie wiem. W głowie dzwoni mi jak w kościele.

- I tak jesteś bohaterem. Nie musiałeś z nim walczyć. Ani Jack, ani Victor nie uciekną, obiecuję ci, kochanie.

- Na razie nieźle im idzie.

- Nie uciekną — powtórzyła Kate i mocno chwyciła mnie za dłoń. — Dostaną to, na co zasłużyli. Będziesz miał dowody przeciwko nim. Jeśli dopisze im szczęście, dostaną dożywocie.

Weszliśmy po schodach. Z korytarza zobaczyłem, że Jack i Victor zostawili otwarte drzwi. Wiał lodowaty wiatr i do salonu wpadały wirujące płatki śniegu.

- Uciekli, cholera! — krzyknąłem.

- Zaufaj mi choć trochę — odparła Kate.

Podbiegła do otwartych drzwi, a ja ruszyłem za nią, osłaniając opuchnięte usta przed wiatrem.

Usłyszałem ryk włączanego silnika i tylne światła explorera rozbłysły na czerwono. Jack siedział za kierownicą, a Victor leżał bezwładnie na siedzeniu pasażera, opierając twarz o szybę. Wydawało mi się, że patrzy na mnie, lecz po chwili uświadomiłem sobie, że jego oczy wpatrują się w pustkę.

Explorer cofnął się i zakręcił w stronę szosy.

- No dobra, ufam ci - mruknąłem, odwracając się do Kate. - Ale jak ich teraz złapiemy?

Położyła dłoń na moim ramieniu i powiedziała tylko:

- Patrz.

Wbiłem wzrok w tumany śniegu. Explorer pędził ku bramie, ale nagle w jego reflektorach zamajaczyło dwanaście szarych sylwetek, blokując mu drogę. Przez wycie silnika znów dobiegł mnie wysoki śpiew.

Samochód zatrzymał się z poślizgiem, spaliny z rury wydechowej załśniły czerwienią w światłach stopu. Westerlundowie, Philipsowie i Cesaretti zaczęli powoli okrążyć explorera.

Zastanawiałem się, dlaczego Jack po prostu ich nie przejechał? Jednak po chwili dojrzałem, jak kręci się w fotelu, próbując cofnąć wóz. Zrozumiałem wtedy, że się ich boi. Wiedział, że nie żyją i że nie może ich ponownie zabić.

Opony explorera zawyły, lecz podjazd był mocno oblodzony i wóz zaczął zsuwać się w stronę rowu na poboczu.

Jack wrzucił pierwszy bieg, potem wsteczny, znów pierwszy bieg i wsteczny, i wreszcie samochód zaczął się powoli cofać. Jednak gdy przejechał kilka metrów, usłyszałem brzęk roztrzaskującego się szkła i ujrzałem deszcz żółtych iskier.

Pękły izolatory linii wysokiego napięcia, która biegła nad podjazdem. Kabel upadł w śnieg, rzygając iskrami i wijąc się jak rozwścieczona anakonda.

Explorer przejechał po nim tylnymi kołami. Gdy najeżdżał na mego przednimi, kabel wkręcił się w wał napędowy. Usłyszałem głośne łupnięcie i samochód stanął w miejscu. Tryskały spod niego iskry.

Dwanaście szarych sylwetek nadal blokowało dojazd do bramy. Śpiew ucichł. Jack usiłował uwolnić samochód, więc słyszałem tylko wycie silnika i jadowity syk kabla.

Kate ujęła moją dłoń. Miała bardzo zimne palce.

- Nie uciekną, Gideonie, nie mają szans.

Spojrzałem na nią. Ruch jej warg nie pasował do tego, co mówiła, jak na dubbingowanym filmie. Wydawało mi się, że wyprzedza mnie o kilka sekund... albo jest kilka sekund za mną.

Silnik samochodu znów zawył, lecz kabel owinął się mocno wokół wału i Jack, próbując ruszyć, tylko wkręcał go coraz bardziej.

Niemal przez minutę explorer stał na luzie, a potem drzwi po stronie kierowcy się otworzyły. Jezu, on chyba nie chce wysiąść? — pomyślałem. Prąd w tych kablach miał ponad cztery tysiące wolt.

Jack zaczął wymachiwać ręką, jakby wymacywał drogę. Musiał oślepnąć i pewnie dlatego zamordowane rodziny przestały śpiewać. Stały i cierpliwie czekały.

- Ty gnoju! — wrzasnął. — Nie mogłeś mnie pokonać sam na sam, co? Nie miałeś odwagi! Nie miałeś jaj, kurwa!

Nie wiem, czy to, co zrobił potem, uczynił naumyślnie. Nigdy nie wiadomo, co taki człowiek sobie myśli. „Zadałem ból i śmierć wielu ludziom, więc może już pora, żebym sam poczuł, jak to jest umierać w mękach?”.

Kiedy wysiadł i stanął na podjeździe, nie puszczając klamki, eksplodował w chmurze czarnych strzępów. Prąd przeskoczył po karoserii explorera i na ułamek sekundy wewnątrz wozu zaalało światło. Ujrzałem wtedy Victora Solwaya: oczy wychodziły mu z orbit, a jego usta były tak rozciągnięte, jakby śmiał się z jakiegoś koszmarnego dowcipu.

Zaraz potem zbiornik explorera rozdarł ogłuszający wybuch. Samochód wystrzelił w górę i upadł na bok, ogarnięty pło-mieniami.

- O Jezu... — jęknąłem.

Byłem w szoku. Dwanaście szarych postaci stało nieruchomo i obserwowało płonący samochód z takim spokojem, jakby paliła się sterta jesiennych liści. Tilda Westerlund spojrzała na nas ze smutnym uśmiechem. Kate pomachała jej.

- Co teraz zrobią? — zapytałem.

- Odejdą. Przyszli tu tylko po sprawiedliwość.

Podszedłem do szarych postaci. Ogień z płonącego explorera rozjaśniał ich twarze i rozświetlał oczy. Uścisnąłem rękę Axelowi i Tildzie, przytuliłem Elbę i Felicię. Objąłem Helenę, poklepałem Davida i Gilesa po plecach. Gdy Salvina ocierała łzy, Ettore ścisnął moją dłoń obydwoma rękami i powiedział:

- *Grazie, Gideon, grazie.*

Ich córki pocałowały mnie, a Massimo uścisnął mi dłoń i oświadczył:

- *Un giomo giocheremo insieme eon i miei giocattoli, si?*

Raffaella uśmiechnęła się i po chwili wahania przetłumaczyła:

- Mówi, że któregoś dnia będziecie bawili się razem jego zabawkami.

Zmierziłem włosy chłopca i odparłem:

- No pewnie. Zwłaszcza kolejką.

Po chwili zebrane na podjeździe rodziny zaczęły odwracać się od nas i znikać. Po kilku sekundach nikogo już nie było. Spojrzałem na Kate i powiedziałem:

- To dziwne, ale chyba będę za nimi tęsknił.

- Ja też.

- Chodźmy teraz uwolnić Margot.



Ponieważ linia została zerwana, w domu nie było prądu, ale w szufladzie kuchennej szafki znaleźliśmy sześć dużych białych świec. Zapaliliśmy je i wróciliśmy do piwnicy.

- Margot? Przybył twój rycerz w błyszczącej zbroi! — zawołałem.

- Co to był za hałas? — zapytała.

- Victor i Jack mieli mały wypadek. Urwała się linia wysokiego napięcia i kabel wkręcił się w koła samochodu.

Zdjąłem jej szalik z oczu i rozwiązałem ręce.

- Boże, Lalo, myślałam, że mnie zabiją — powiedziała.

- Nie musisz się już nimi przejmować. Prąd ich poraził, obaj nie żyją.

- Nie żyją? Żartujesz?

Ukląłem, żeby rozwiązać jej nogi.

- Wierz mi, na nic więcej nie zasłużyli — oświadczyła Kate.
- Nic ci nie jest, Margot? — zapytałem.
- Jestem cała sztywna i posiniaczona, mam dość Madame Butterfly do urzygania i muszę iść do toalety. Dziękuję ci, że mnie uratowałeś, bardzo, bardzo dziękuję! Jesteś superbohaterem!

Wstałem i powiedziałem do Kate:

- Chyba powinienem zadzwonić na policję. A także do straży pożarnej i elektrowni.
- Jeszcze nie — odparła. — Musisz coś przedtem zrobić. Znajdź dowód na to, że Victor i Jack byli mordercami. Chcę, żeby wyszło na jaw, co zrobili. Pomyśl o krewnych i przyjaciółach zamordowanych rodzin, którzy nigdy się nie dowiedzieli, co się z nimi stało. W szpie powiniem być kilof.
- Ale w tym domu mieszkali twoi rodzice...

Kate kiwnęła głową.

- Kiedy zniknęli, w końcu uznano ich za zmarłych, ale nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Teraz już wiemy.
- W takim razie ten dom też należy do Victora, prawda?
- Tak, to również własność Penumbry.

Przykucnąłem. Wiedziałem już, czego mam szukać. Na środku cementowej posadzki dostrzegłem nierówną prostokątną plamę o jaśniejszym odcieniu.

Nie musiałem pytać Kate o zgodę. Gdyby to ciała moich rodziców leżały pod podłogą, z pewnością chciałbym je wydobyć i zapewnić im należyty pochówek.



W szopie znalazłem zardzewiały kilof. Zaniósłem go do domu, obwiązałem sobie twarz chustką i zaatakowałem podłogę w piwnicy.

Na szczęście cement był suchy i i prawie cały dał się połupać. Mimo to musiałem kuć przez cztery godziny, zanim uderzyłem w wierzch dużej drewnianej skrzyni. Byłem spocony, brudny i wyczerpany.

Wyszedłem z piwnicy. Znalazłem Kate i Margot w salonie. Margot, przykryta płaszczem, spała na jednej z kanap, a Kate stała przy oknie, patrząc na wstający świt. Ogród wciąż tonął w śniegu, lecz zapowiadał się słoneczny, ciepły dzień. Podeszedłem do Kate i objąłem ją.

- Chyba ich znalazłem — powiedziałem. — Pod posadzką jest duża drewniana skrzynia, ale jeszcze jej nie otworzyłem.

Spojrzała na mnie.

- Przynajmniej zostaną przyzwoicie pochowani, nie tak jak reszta tych nieszczęśników.

Słońce przeświecało już przez korony obrzeżających podjazd kuków, które wyglądały, jakby stały w ogniu.

- W każdym razie udało się — stwierdziła Kate i spojrzała zegarek. — Patrz, już ósma. Została niecała godzina.

- Niecała godzina do czego?

Pocałowała mnie.

- Nie będziesz smutny?

- Smutny? Dlaczego?

- Te bilety... Pearl kupiła je za mnie, a klucze wzięła z biurka Victora. Czasem wpraszała się do niego na kielicha i pożyczyła je sobie, gdy nie patrzył.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Pewnych rzeczy nie mogłam sama zrobić. Nie miałam już karty kredytowej i nie mogłam wziąć niczego z mieszkania Victora.

- Myślałem, że tam mieszkałaś, ale gdy je przeszukałem, zrozumiałem, że się myliłem.
- Gideonie, nie mieszkam tam od trzech lat... dokładnie trzech, co do dnia.
- Powiedziałaś mi, że nie możesz odejść.
- Nie chodziło mi o mieszkanie, ale o Victora. Postanowiłam, że nie ujdzie mu na sucho to, co zrobił mnie i moim rodzicom.
- Nadal niczego nie rozumiem.

Znowu spojrzała na mnie tymi swoimi szarymi jak deszcz oczami, w których nagle rozbłyły łzy.

- Każdy dostaje trzy lata, by coś naprawić. Dostaje trzy cykle pór roku na to, by uporządkować swoje sprawy. Nie pytaj mnie, dlaczego tak jest.

- Naprawić? Co naprawić?

- Co tylko chcesz. Niektórzy w ogóle niczym się nie przejmują, inni załatwiają jedynie jakieś drobne, błahe sprawy, na przykład pomagają swoim bliskim odnaleźć zaginioną biżuterię, zdjęcie lub pamiątnik. Niektórzy sprawiają, że czuje się ich obecność, chcąc w ten sposób podnieść na duchu tych, których opuścili. Ja jednak chciałam, żeby Victora spotkała kara za śmierć moich rodziców i wszystkich innych. Tym właśnie „trzymał mnie” przy sobie. Wiesz przecież, że sama nie mogłam go oskarżyć. Nawet nie wiedziałam, co się stało z moimi rodzicami. Mogłam jednak namówić ciebie do pomocy i zgodziłeś się.

Poczułem, że w moje serce wsącza się straszliwy chłód.

- Kate, o czym ty mówisz?

Uśmiechnęła się i znów mnie pocałowała.

- Kiedy tamtego ranka, gdy wprowadziłeś się na St Luke's Place, spojrzałam na górę i ujrzałam cię w oknie, nagle zrozumiałam, że mnie zobaczyłeś. Zobaczyłeś mnie!

- Oczywiście, że cię zobaczyłem. Nadal cię widzę i czuję. Jesteś prawdziwa. Przecież inni także cię widzą.

- Tylko wtedy, gdy jestem przy tobie. To przez ten twój dar.

- Co ty chcesz mi powiedzieć? Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie wierzę ci.

- Gideonie, jestem taka jak inni, jak Westerlundowie, Philipsowie i Cesaretti.

- Nie wierzę. Jesteśmy kochankami, a jak by to było możliwe, gdybyś nie istniała? Jak moglibyśmy nimi być, gdybyś... — nie mogłem wykrztusić słów „nie żyła”. Chybabym wtedy oszalał.

Zaprowadziła mnie do siedziska w oknie. Usiadłem i chwyciłem jej dłoń, żeby nie mogła się odsunąć. Kto wie, czy zobaczyłbym ją znowu, gdybym pozwolił jej teraz wyjść z domu?

- Gideonie, nie mogę tu zostać dłużej, choćbym nawet bardzo tego chciała.

- Kto tak postanowił? Bóg?

Promienie słońca oblały już cały ogród i wszystko zaczęło iskrzyć.

- Wciąż masz swój dar. Możesz jeszcze pomóc bardzo wielu ludziom. Zbyt wiele morderstw uchodzi na sucho. Możesz

pomóc ofiarom wywalczyć sprawiedliwość, tak jak pomogłeś Westerlundom, Cesarctim, Philipsom,.. i Kilnerom

- Kilnerom?

- Moim rodzicom. Henry'emu i Joyce, a także mnie, Kate Kilner.

- No dobra — powiedziałem. Trząsałem się cały z nerwów i wyczerpania. — Przypuśćmy, że jesteś jakimś duchem. Tym właśnie jesteś? Oczywiście zakładając, że wierzę w duchy, a tak nie jest. Dostałaś trzy lata, by wszystko naprawić, i udało ci się to. Ale kto ci każe teraz odejść?

- Ja umarłam, Gideonie!

- I co z tego? Przecież cię widzę i czuję, więc jakie to ma znaczenie, skoro nadal możemy być razem? Mam dar, którym mogę pomóc innym. Kto mi zabroni go użyć, aby mieć to, czego pragnę? A ja pragnę ciebie, Kate!

Długo patrzyła na mnie w milczeniu, po czym wyrzała za okno. Po explorerze pozostał tylko wypalony, szerniały wrak. Brązowy dym nadal snuł się nad podjazdem.

- Nie wiem, kochanie — powiedziała w końcu. — Nie wiem, co teraz będzie. Wiem o życiu po śmierci tyle samo co ty.

- Więc zostań ze mną — odparłem.

Blask słońca w ogrodzie był oślepiający. Pocałowałem Kate we włosy i objąłem ją mocno w pasie, by czuć, jak oddycha. Dopóki ją przytulałem, wiedziałem, że nie odejdzie.



Nie wiem, ile czasu minęło, zanim zasnąłem. Mówi się, że bardzo zmęczeni ludzie zasypiają po jakichś siedmiu minutach. Kiedy zasnąłem, śniło mi się, że chodzę z Kate po ogrodach pałacu Droftningholm w Szwecji. W powietrzu wirowały błyszczące płatki śniegu, przypominające puch ostu.

Poczułem, że ktoś potrząsa mnie za ramię. Najpierw pomyślałem, że to jeden z przewodników chce mi powiedzieć, że idziemy w niewłaściwym kierunku, lecz kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Margot.

- Co się stało? — zapytałem.

- Mówiłeś przez sen. Chciałam sprawdzić, czy nic ci nie jest.

Zamrugąłem i rozejrzałem się po salonie.

- Nie, wszystko w porządku. Jezu, ależ tu zimno. Gdzie jest Kate?

- Kate? Nie widziałam jej.

Wyprostowałem się.

- Jak to? Była tu kilka minut temu. Siedziała tutaj.

- No tak, ale już jej nie ma — odparła Margot.

Wstałem, podszedłem do frontowych drzwi i otworzyłem je.

Na świeżym śniegu nie było żadnych śladów.

- Nie ma jej — mruknąłem.

- Może poszła po zakupy? — zasugerowała Margot.

- Może.

Zamknąłem drzwi i wróciłem do środka.

- Co to za śpiew, który słyszałam, gdy byłam w piwnicy? —zapytała Margot. - Nie chciałam cię o to pytać przy Kate.

- Czemu?

- Sama nie wiem... Ona też śpiewała? To był bardzo dziwny i bardzo smutny śpiew. Nie wiedziałam, czy mogę o to pytać po tym, co mi o niej opowiadałeś. Brzmiał jak pieśń duchów.



Usunięcie cementu z wieka skrzyni zajęło mi czterdzieści minut. Gdy je podważyłem, rozległ się cichy syk uciekających gazów, cuchnących jak bardzo nieświeży poranny oddech. W środku skrzyni znajdowały się zmumifikowane ciała barwy wędzonej skórki bekonu.

Więc tak właśnie Victor i Jack rozprawili się z rodzicami Kate. Zastraszili ich, torturowali i zmusili do przekazania aktu własności, po czym zabili i zacementowali pod posadzką piwnicy w ich własnym domu.

W skrzyni były dwie czaszki, każda z nich leżała po przeciwnej stronie. Nadal były pokryte skórą i włosami, jednak oczy zmarłych

skurczyły się i zbrązowiały. Czaszki szczyrzyły zęby, jakby cieszył je mój widok.

Nie chciałem ruszać szczątków, bo policja stanowa pewnie wolałaby zastać je w takim stanie, w jakim je znalazłem. Ale gdy podniosłem wieko, jedna z czaszek przetoczyła się i stwierdziłem, że pod nią leży następna, trzecia. Miała popielate włosy.

- Kate... — wymamrotałem.



Wróciliśmy do miasta koło siedemnastej, w samym środku szczytu. Wysadziłem Margot pod jej domem, po czym odwiozłem malibu mojemu koledze. Henry, który codziennie musiał wracać do domu w New Rochelle podmiejskim pociągiem, z ulgą stwierdził, że jego wóz nie jest poobijany.

- Wyglądasz jak gówno — oświadczył. — I tak samo pachniesz. Czy muzycy nie używają dezodorantów?

- Właśnie wykopałem trzy ciała — odparłem.

- Jaaasne... Wisisz mi stek w Angelo i Maksie.



Odwiedziłem Pearl. Siedziała w swoim różowym szlafroku i układała pasjansa.

- I jak poszło? — zapytała.

Dym z jej papierosa snuł się po pokoju i tańczył przy otwartym oknie niczym duch.

- Chyba dobrze. Wszystko skończyło się tak, jak powinno się skończyć.

Pearl wskazała głową malowidło na sztaludze.

- Też tak sędzę — mruknęła.

Podszedłem do obrazu. Był skończony, choć znajdowała się na nim tylko Pearl. Inni zniknęli — podobnie jak pod domem rodziców Kate: po prostu odwrócili się i już ich nie było.

Popatrzyłem na Pearl i zapytałem:

- Jak myślisz, dokąd ludzie idą po śmierci? I jak tam jest?

Zaciągnęła się głęboko, przymykając oko od dymu.

- Mówiono mi, że to tak, jakbyś znalazł się w filmie, tyle że nie jesteś tylko obserwatorem. Nie bój się, kiedyś to zrozumiesz, jak wszyscy zresztą. — Zamilkła na chwilę, po czym spytała: — Tęsknisz za nią, prawda?

Kiwnąłem głową. W gardle dusiły mnie łzy.

- Miłość to bardzo dziwna sprawa — stwierdziła Pearl. — Cierpimy, gdy jej nie ma. Ale kiedy ją czujemy, cierpimy jeszcze bardziej.

Wróciłem do siebie. Małkin czekała cierpliwie pod moimi drzwiami. Zamiauczała na mój widok i weszła ze mną do mieszkania.

- Jesteś głodna? — zapytałem, gdy zaczęła ocierać się o moje kostki. — No tak, musisz być głodna, głupie pytanie.

Cholernie trudno otworzyć puszkę sardeli, kiedy się płacze.